

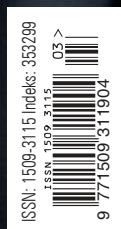
PERŁY I PLEWY
W KULTURZE 2018

NOWY ROK,
NOWA DIETA?

TAK CZY OWAK, ZAWSZE
ROMAN (GIERTYCH)

9 METRÓW
POD ŚNIEGIEM

KTO NAS OSZUKA W TYM ROKU



POLITYCY PARABANKI UZDROWICIELE TELEMARKETERZY

Akademia Leona Koźmińskiego
Komitet Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk
Polskie Towarzystwo Ekonomiczne
zapraszają na

SPECJALNĄ JUBILEUSZOWĄ KONFERENCJĘ NAUKOWĄ

W POSZUKIWANIU LEPSZEGO ŚWIATA

EKONOMIA I POLITYKA

28-29 stycznia 2019 r.

w siedzibie ALK w Warszawie, ul. Jagiellońska 59

28.01.2018 – WORLD DAY / 29.01.2019 – DZIEŃ POLSKI



Rejestracja pod adresem: kozminski.edu.pl/jubileusz_prof_kolodko

ORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



Polskie Towarzystwo Ekonomiczne

PATRON:



PARTNER GŁÓWNY:



eprasa.pl/ce084ea20d

PARTNER:



SPONSOR:



CYTATY

PROF. MARCIN KRÓL,
historyk idei

*Jest prawdopodobne,
że Kaczyński przegra,
a zwycięska opozycja
nie będzie wiedziała,
co robić, i dojdzie
do chaosu.*

„Polityka”

PROF. FRANK FUREDI,
brytyjski socjolog

*Większość liderów
politycznych to ludzie,
którzy manipulują innymi.*
„Tygodnik Powszechny”

JAROSŁAW KUŹNIAR,
Onet, multiinstru-
mentalista

*Prezydent Duda w social
mediach opowiada
swoją historię. Jest ona
nieskładna, nieuczesa-
na, nieprofesjonalna, często
bardzo banalna.*

„Angora”

MICHAEL DOUGLAS,
aktor amerykański

*Otaczajcie się ludźmi,
którzy są zabawni. Wtedy
będzie się wam lepiej żyło.*

„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kadry mierne, ale wierne

Druzgocąca dla klasy politycznej jest odpowiedź na pytanie CBOS, któremu z polskich polityków należy się miano polityka roku 2018. Kto najlepiej działał, zrobił najwięcej w interesie kraju, społeczeństwa i ludzi? Ponad połowa (53%) nie wskazała nikogo. A spośród kilkudziesięciu zgłoszonych tylko czterech dostało więcej niż 2%. Tytuł dla Morawieckiego (13%) i skromniutki 10% dla Dudy. Śladowe zaufanie. A jeszcze w 2002 r. Aleksander Kwaśniewski miał 35% wskazań.

Nie wiem, jak państwo, ale ja czuję rosnącą presję na zmiany. To już nie jest oczekiwanie jednych na powrót PO, a drugich, że może jednak jeszcze PiS. Do świadomości Polaków coraz szybciej przebija się inny komunikat. O jałowości i beznadziei wyboru między PO a PiS.

Obie postsolidarnościowe partie wyczerpały swój potencjał. W sferze idei już na początku zmian. Oszukując strajkujących Polaków, którzy walczyli o efektywniejszy i sprawiedliwszy dla nich ustrój, a obudzili się w kalekiej wersji kapitalizmu. W systemie preferującym najbardziej cwanych i bezwzględnych. Tego etapu jeszcze jako społeczeństwo nie przetrawiliśmy. Ludzie, którzy wiedzą najwięcej, ciągle są uwikłani w bieżącą politykę. I nie są chętni do uczciwych rozliczeń z przeszłością. Marnie wygląda też dorobek nauki. Gdzie są te badania, analizy, ekspertyzy, które by Polskę po 1989 r. opisywały na wszelkie możliwe sposoby? Zamiast tego mieliśmy i ciągle mamy naiwną wiarę w wolny rynek i kapitał, który nie ma ojczyzny. W bezinteresowność zagranicznych doradców. Był również taki kuriozalny etap, że najlepszą polityką gospodarczą jest brak polityki. Była wiara w cudowną moc podatku liniowego. Trudno uwierzyć, że takie brednie głosili wybrańcy narodu piastujący najwyższe funkcje w państwie. Ciągłe zresztą są doklejeni do publicznego cycka.

Kadry POPiS-u nawet huraoptymistom nie dają nadziei, że z nimi będzie mądrzej. Aspiracje Polaków w ciągu ostatniej dekady wzrosły ponad poziom kadr partii ubiegających się o władzę. Możliwości są więc dwie. Albo po raz kolejny zwycięski obóz przytłumi te aspiracje, albo pojawią się autentyczni reprezentanci obozu zmian. I będzie po POPiS-ie.

BĄKOWSKI

Czytelnicy mają dość Poczty

Kiedy w poprzednim numerze zaapelowaliśmy o sygnały o spóźniającej się prenumeracie, nie przypuszczaliśmy, że telefon będzie dzwonił co chwila. Oburzeni czytelnicy z całej Polski mają dość dostawiania PRZEGLĄDU w piątek lub z tygodniowym opóźnieniem.

Przypominamy więc, że PRZEGLĄD powinien być dostarczany prenumeratorom najpóźniej w środę. A my będziemy rozliczać Poczta Polską SA z każdego spóźnienia. Dlatego nadal prosimy o informowanie redakcji – telefonicznie, mejlowo lub listownie – o opóźnionych dostawach PRZEGLĄDU.

tel.: 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
PRZEGLĄD, ul. Inżynierska 3 lok. 7,
03-410 Warszawa



W NUMERZE

KRAJ

- 8** Polak – bardzo nieufny i równie łatwowierny
Kto nas oszuka w tym roku
- 12** Tak czy owak, zawsze Roman (Giertych)
Ulubieniec politycznych celebrytów
- 16** Syn ma pierwszeństwo
Ciepła posadka w Straży Granicznej
- 40** Rozmawiający z drożdżami
Piwa do świadomej konsumpcji
- 44** Warszawa. Powrót do życia

KULTURA

- 18** Perły i plewy 2018
Odkrycia i wysyp chał w kulturze
- 34** Prawdziwy Pożar w Burdelu
– rozmowa z Andrzejem Konopką
- 38** Culturalia
- 66** Kamila Bednarska
Niedotykalne intymności

ZAGRANICA

- 22** Prawica, królowa internetu
Media społecznościowe drogą do sukcesu
- 24** Szwabski szeryf
Korespondencja z Berlina
- 58** Bałkański Disneyland
Korespondencja ze Skopja

OPINIE

- 28** Jarosław Górski
Polska ciasnota
- 32** Ewa Nowakowska
Przeceniony Harari

ZDROWIE

- 48** Skąd w nas ten głód?
– rozmowa z dr Anną Januszewicz

OBSERWACJE

- 52** Dziewięć metrów pod śniegiem
Uwaga, lawina!
- 56** Bigos (nie tylko) sportowy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Kadry mierne, ale wierne
- 17** Bronisław Łagowski
Wysłuchać przyjaciół
- 26** Jan Widacki
Świętość odpowiedzi na pedofilię?
- 33** Roman Kurkiewicz
Trzeba zabić tych pieszych
- 43** Tomasz Jastrun
Jak prezydent już nie trzyma się Dudy
- 47** Ludwik Stomma
Jeszcze o pomnikach
- 51** Edward Mikołajczyk
Nowe ceny w obrocie słowami

22

ZAGRANICA



PRAWICA, KRÓLOWA INTERNETU

Media społecznościowe drogą do sukcesu



40

KRAJ

ROZMAWIAJĄCY Z DROŻDŻAMI

Piwa do świadomej konsumpcji



56

OBSERWACJE

DZIEWIĘĆ METRÓW POD ŚNIEGIEM

Uwaga, lawina!

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA



**PROF. DARIUSZ
ŁUKASIEWICZ**

Babcie i dziadkowie – bogowie,
mędracy i zrządy

PROF. LONGIN PASTUSIAK

Półmetek Trumpa

DR ANDRZEJ KRUSZEWICZ

Ptaki żyją według kalendarzyka

✉ Ogórek skasował Kutzowi przyjaciela

Po śmierci Kazimierza Kutza przetoczyła się w cywilizowanej prasie fala artykułów o tym wielkim artyście kina, telewizji i teatru, którego nazwisko stało się symbolem Śląska. Cieszy mnie to odkrywanie Kutza na nowo, mimo że przecież nie dawał o sobie zapomnieć publikacjami, z których wylażała jego rogata dusza wolnego człowieka, piętnującego ostrym piórem to, co głupie i szkodliwe w polskim życiu publicznym. Można było z nim się nie zgadzać, ale trzeba było myśleć. I za zmuszanie do myślenia go ceniłem.

Ci, którym było nie w smak to, co głosił, nie dali po jego śmierci żadnego oficjalnego państwowego nekrologu.

Nie popisał się też najmłodszy syn, który żegnając go na Śląsku, gdzie do starszych zawsze zwracano się z szacunkiem za dwoje, mówił o ojcu: „Kaziu, fajny facet” i okraślił to pożegnanie anegdotą godną menela. Nie wspomniał natomiast, dlaczego rodzina artysty umieściła go w domu opieki społecznej.

Zbulwersował mnie również znany satyryk i pisarz pochodzący ze Śląska Michał Ogórek. W artykule „Wyreżyserował Śląsk” w „Angorze” wspominał na końcu o próbie przemianowania położonego przy dworcu w Katowicach placu Wilhelma Szewczyka, przyjaciela Kazimierza Kutza, na plac Marii i Lecha Kaczyńskich. I zakończył słowami: „Ponieważ Lech Kaczyński nie był w jakikolwiek sposób związany ze Śląskiem, wywołało to wielkie niezadowolenie miejscowych i doprowadziło do sądowego anulowania nazwy placu. W sam raz będzie dla Kutza”. Tym samym Ogórek skasował Kutzowi przyjaciela. Niesmaczne!

Jan Cofałka

f Czy w Polsce załagł się makkartyzm?

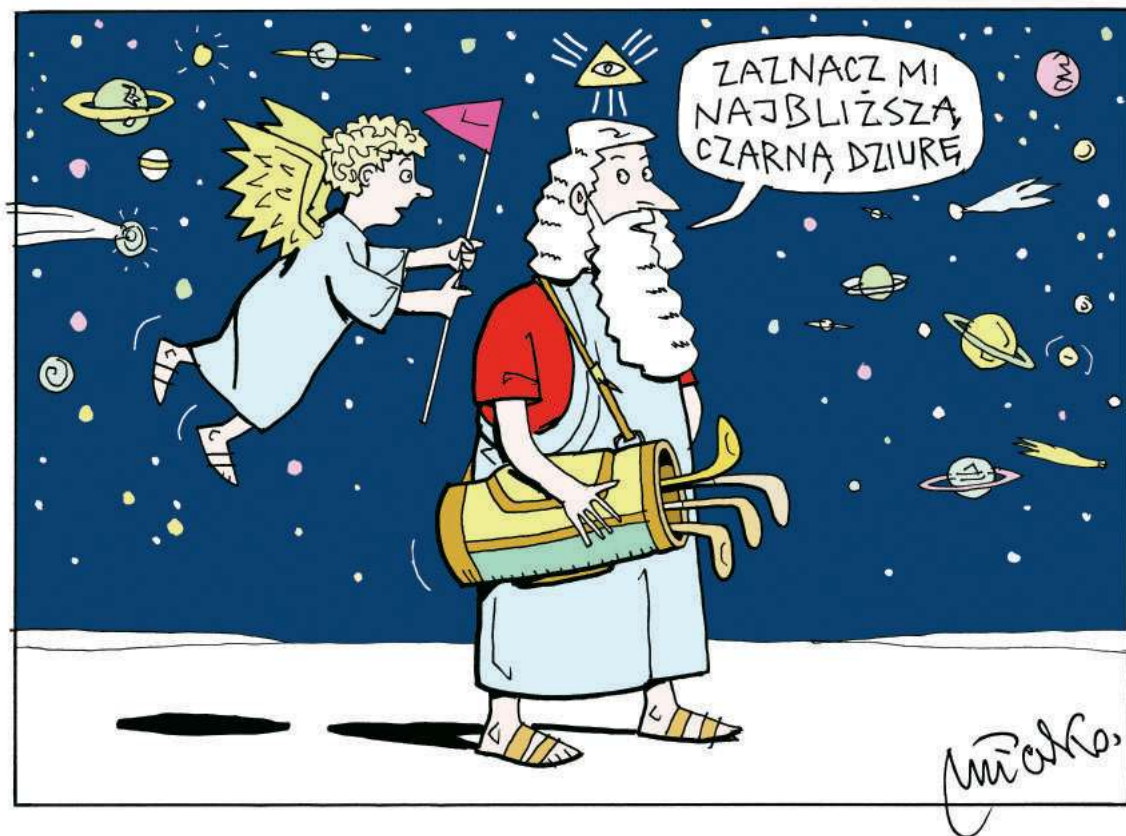
Za krytyczną opinię o stacjonowaniu w Polsce US Army jest się okrzykniętym szpiegiem Putina. Coraz powszechniejsze są wezwania do „przeciwdziałania kremlowskiej propagandzie”, co po prostu oznacza cenzurę i ostracyzm wobec niezgadujących się z mainstreamem. Stosowanie „klauzuli sumienia” przez kolporterów prasy jest powszechne. Ludzie krytyczni wobec zastanej rzeczywistości są marginesem. Społeczeństwo polskie zmierza w stronę społeczeństwa totalitarnego.

Marek Głowinkowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Andrzej Mleczko prezentuje rysunek, który przekazał na licytację podczas 27. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.



PYTANIE TYGODNIA | Rok 2018 zapamiętamy przede wszystkim z...

PROF. MICHAŁ ŚLIWA,

politolog i historyk, UP w Krakowie

Dla mnie, jako człowieka lewicy, wydarzeniem o pierwszorzędym znaczeniu było odsłonięcie w Warszawie pomnika Ignacego Daszyńskiego, w którego powstanie byłem zresztą w pewnym stopniu zaangażowany. Ma to wymiar symboliczny: po wielu latach przywrócono szacunek i godność tradycji, która wywarła doniosły wpływ na dzieje najnowsze Polski, a mianowicie tradycji pepeesowskiej, socjalistycznej, którą najpełniej uosabiał właśnie Daszyński. Jest to wydarzenie, które powinno dać współczesnym wiele do myślenia, zachęcić do zastanowienia się nad wieloma sprawami ludzkimi i społecznymi. To również dobry prognostyk, jeśli chodzi o sytuację i możliwości polskiej lewicy.

ANDRZEJ SKWORZ,

redaktor naczelny „Press”

To był rok dziennikarzy, a nie celebrytów internetu. Najpierw w styczniu Bertold Kittel wstrząsnął opinią publiczną reportażem „Polscy neonaziści”, w którym wraz z Anną Sobolewską i Piotrem Wacowskim udowodnił, że w Polsce dumnej

z walki z faszyzmem są ludzie, którzy apoteozują Hitlera, a europośtom i Tuskowi grożą śmiercią. Władza zareagowała po swojemu, nasyłając na dziennikarzy TVN własne media i podległą prokuraturę. Wiosnę zapamiętamy dzięki dziennikarzom „Dziennika Gazety Prawnej” i Onetu, którzy ujawnili absurdalną nowelizację ustawy o IPN i przeanalizowali jej skutki. Miała nas chronić przed fałszywą frazą o „polskich obozach śmierci”, a powieliła ją na całym świecie ponad 3 mln razy. Listopad był z kolei miesiącem Wojciecha Czuchońskiego i Agnieszki Kublik, którzy ujawnili, że na szczytach władz nad finansami kraju dochodzi do aktów korupcji. W efekcie szef Komisji Nadzoru Finansowego zamiast w gabinecie znalazł się w areszcie. Jednak jak ostatecznie ocenimy rok 2018, zależy od wyniku wyborów w 2019. Młyny propagandy TVP wciąż miały

PAULINA PIECHNA-WIĘCKIEWICZ,
działaczka polityczna i samorządowa

Na pewno z tego, że PiS nie zdobyło zbyt wielu nowych przyczółków w samorządach dużych i średnich miast, natomiast znaczącą siłę w całej Polsce poka-

zały komitety lokalne. W wielu miejscach wybrani z ich list nowi burmistrzowie i burmistrzynie, prezydenci i prezydentki są największymi zwycięzcami jesiennych wyborów. Zapamiętamy także to, że Robert Biedroń był jedną z osób, których pomysły wywoływały debatę publiczną, a tego właśnie potrzebujemy. Z kolei do pamiętnych rozczarowań należą złe zorganizowane przez państwo i nie w pełni wykorzystane obchody stulecia niepodległości. Nie została wokół nich zbudowana wspólnota, o co zresztą byłoby trudno przy tym, co partia rządząca robiła przez ostatnie lata. Co więcej, jak zwykle został praktycznie przemilczany pozytywny wkład lewicy w historię Polski.

czytelniczy PRZEGLĄDU



RYSZARD HRYCIUK

To początek upadku Morawieckiego, niczym nie różni się od Tuska... Taka polityczna kalka, Pinokio XXI w.

KATARZYNA NAJMROCKA

Z efektu „Kleru”.

Not. Michał Sobczyk

POLAK – bardzo nieufny i równie łatwowierny

Choć prawie dwie trzecie Polaków deklaruje się jako nieufni, coraz więcej daje się naciągać na sztuczki manipulatorów, hochsztaplerów i oszustów

Katarzyna Wierzbicka

Pewnego dnia przyszedł do mnie człowiek i powiedział, że nie uwierzę w to, co za chwilę od niego usłyszę. Zgodziłem się na spotkanie z ciekawości dziennikarskiej. A on zaczął od tego, że zawodowo manipulował i oszukiwał. Pracował w miejscu, w którym motywowano go do wciskania ludziom kitu za wszelką cenę. Im więcej kitu wcisnął, tym więcej mógł zarobić – mówi portallowi INNPoland Mateusz Ratajczak,

Siedem lat po aferze Amber Gold piramidy finansowe w Polsce mają się nieźle.

dziennikarz portalu Money.pl i autor wydanej niedawno książki „Łowcy z kotłowni. Dziki świat finansowych naciągaczy”, opisując, jak zdecydował się na jej napisanie. – Jednocześnie zgłosiło się do mnie kilka osób, które straciły pieniądze w dość podejrzanych okolicznościach. Podejrzanych, czyli mówiąc wprost: zostali namówieni przez telefon na potencjalnie bezpieczną inwestycję. Zastawili majątki, po kilku dniach lub tygodniach zostali z niczym.

Ratajczak postanowił sprawdzić otrzymane informacje, zatrudniając się w jednej z firm sprzedażowych jako „łowca frajerów” – miał dzwonić do ludzi, namawiając ich na „inwestycje”. Z jego książki można się dowiedzieć m.in., że podstawowa pensja zawodowego naciągacza jest niższa niż 1,6 tys. zł, reszta to prowizje. Oraz że łatwowierność jest cechą nie tylko desperatów stale pod kreską, ale także przedsiębiorców dysponujących sporym kapitałem.

– Widziałem listę wpłat w naszej firmie – opowiada Ratajczak. – Część z nich to drobniśka do 5 tys. zł. Ale byli tam też przedsiębiorcy, którzy mieli kapitał w granicach miliona złotych. Były tam rodziny, które na inwestycje wykladały oszczędności życia, spadki po rodzicach.

Sprawa firmy, w której zatrudnił się dziennikarz, trafiła do prokuratury. Według Ratajczaka ustalono, że we wrześniu zostało oszukanych 350 osób. Jego zdaniem jednak liczba ta była niedoszacowana. – Myślę, że to trzy-pięć razy za mało. Mieliśmy setki wpłat miesięcznie. Z tego, co ustaliłem, przyszedłem i tak w momencie, gdy firmie „gorzej szło”. A mowa tylko o jednym takim miejscu i o kilku miesiącach działalności. Tymczasem w samej Warszawie działało kilkanaście takich miejsc. W biurowych dzielnicach, w szklanych biurowcach.

Choć w książce Ratajczaka mowa jest o konkretnym rodzaju naciągactwa, działające w podobny sposób firmy nie wyczerpują repertuaru takich praktyk. W samym sektorze finansowym roi się od usług celujących w łatwowierność potencjalnych klientów: od chwilówek, przez promocje, superokazje i piramidy finansowe, po kryptowaluty. Nabierają się zarówno 30-latkowie, jak i emeryci, studenci i etatowcy, bogaci i biedni.

W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

– Zadzwoiła do mnie kiedyś pewna pani. Przedstawiła się z imienia i nazwiska, zaprosiła na spotkanie w jednym z warszawskich hoteli „po odbiór odkurzacza”. Mój akurat się popsuł, więc się zgodziłam – zaczyna swoją opowieść 70-lletnia Krystyna, literaturoznawczyni. – Poza tym obiecano mi żelazko i kom-

plet garnków, jeśli przyprowadzę znajomą. Pojechaliśmy na spotkanie w wyznaczonym terminie, a na miejscu okazało się, że wejście jest płatne 200 zł. Odkurzacze popsuły się po dwóch tygodniach.

– Jakis czas temu zaproponowano mi kompleksowe badania bez kolejki za 90 zł – żali się z kolei 68-lletnia Maria, emerytowana nauczycielka. – Wizyta rzeczywiście była bardzo



szybko, a na konsultację u swojego lekarza musiałabym czekać kilka miesięcy. Zresztą centrum medyczne poinformowało mnie, że wykonuje badania „objazdowo”, dziś w Warszawie, jutro w innym mieście. No to poszłam. Wyników nie mam do tej pory, a nie mogę nawet tam się dozwonić, bo przecież adres był tylko tymczasowy.

Zaczyna się zazwyczaj telefonem w godzinach wczesnopopołudniowych, z nieznanego numeru: „Dzień dobry, z przyjemnością informuję, że otrzymała pani zaproszenie do odbioru kompletu garnków. Jedyne, co musi pani zrobić, to...”. Albo: „Właśnie wygrał pan komplet pościeli z wielbłądziej wełny. Żeby

jednak wziąć udział w losowaniu, należy...". I niezmiennie: „Trzeba się szybko decydować, bo chętnych mamy bardzo dużo”, „Oferta została przygotowana specjalnie dla pana”, „To promocja tylko na dzisiaj, czas ucieka”.

Do zawaolowanych metod wyłudzenia pieniędzy – takich jak przytoczone powyżej – doliczyć należy zwykle oszustwa, przy których metoda „na wnuczka” jest już przeżytkiem, oszuści bowiem starają się przełamywać i prześcigać rozpoznawane schematy działań. „Gazeta Prawna” wymienia m.in. metodę „na policjanta”, „na inkasenta” czy „na lekarza” – oszust podaje się tu za wzbudzającego zaufanie pracownika budżetówki, nakłaniając potencjalną ofiarę, by wpuściła go do domu lub przelała swoje oszczędności na wskazane konto. Jako „policjant” ostrzega przed oszustwem i namawia, by złożyć oszczędności

o najnowszych metodach naciągania, które najczęściej są nagłaśniane przez media wirtualne. – Dochodzą dodatkowe czynniki natury psychologicznej, emocjonalnej i fizycznej. Osoby starsze mają inną percepcję, często niedostyszą, niedowidzą, nie przeczytają umowy. Co więcej, nawet jeżeli przeczytają, nie zawsze rozumieją techniczne pojęcia. Ale do tej niewiedzy się nie przyznają, bo się wstydzą – dodaje specjalistka. Wszystko to sprawia, że na sztuczki naciągaczy podatne są również osoby wykształcone i stosunkowo zaradne.

Wydaje się, że podstępna kradzież „na policjanta” i – nawet agresywny – marketing telefoniczny to dwie różne rzeczy. Z drugiej strony jedyna realna różnica między wyłudzeniem kilku tysięcy złotych za niewiele wartą kołdrę a ukradzeniem takiej samej sumy

przypadku Amber Gold – założonej w 2009 r. piramidy finansowej, która obiecywała klientom ponad 10% zysku od zainwestowanych pieniędzy. Trzy lata po powstaniu firmy jej prezes ogłosił upadłość, zostawiając na lodzie 19 tys. poszkodowanych inwestorów. Byli klienci spółki zostali oszukani łącznie na kwotę niemal 850 mln zł.

Zaledwie w ciągu ostatnich dwóch lat Polacy stracili na inwestycjach w piramidy finansowe 500 mln zł.

Tymczasem siedem lat po aferze Amber Gold piramidy finansowe w Polsce wciąż mają się nieźle. Jak podaje Forsal.pl, zaledwie w ciągu ostatnich dwóch lat Polacy stracili na inwestycjach w tego typu spółkach 500 mln zł. Największa działająca w kraju międzynarodowa



Nie przeczytałem, tylko od razu podpisałem...



Komornik wszedł mi na pensję, a do oddania mam prawie dwa razy więcej niż wzięłam!

Kampania „Zanim podpiszesz” współorganizowana przez siedem instytucji publicznych: Bankowy Fundusz Gwarancyjny, Komisję Nadzoru Finansowego, Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Sprawiedliwości, Narodowy Bank Polski, Policję oraz Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów miała ostrzec Polaków przed braniem pożyczek w parabankach.

w „policyjnym depozycie”. Jako „pracownik ZUS” obiecuje wyższy zasiłek po przeprowadzeniu „badania” przez „lekarza” – rzecz jasna, w domu badanego. Wiele wskazuje jednak na to, że policji trudno nadążyć za ciągle ewoluującymi formami oszustw. – Oni starają się zmieniać schematy, widząc, że jakaś metoda została wyeksploatowana lub nagłośniona przez media – wyjaśnia jeden z policjantów.

Jak twierdzi prezeska Krajowego Instytutu Gospodarki Senioralnej, łatwość manipulowania osobami starszymi wynika m.in. z wykluczenia cyfrowego – niekorzystającemu z internetu seniorowi trudniej sprawdzić nagabującą go firmę czy przeczytać

polega na tym, że w drugim przypadku naciągacz działa nielegalnie. Mimo różnego nazewnictwa metody stosowane przez złodziei i telemarketerów niewiele się różnią. Pozostaje pytanie, czy to pokrewieństwo jest efektem coraz bardziej uładowanych i nowoczesnych form działania przestępców, czy może odwrotnie – to niektóre rodzaje telemarketingu coraz bardziej przypominają metody regularnych oszustów.

Choć emeryci kojarzą się z typową ofiarą przeciętnego oszusta, łatwowierność nie jest jedynie domeną osób starszych, dotyczy również obywateli „z aspiracjami”, szczególnie gdy łączy się z apetytem na szybki zysk. Tak było w słynnym

piramida finansowa, DasCoin, ogłosiła upadłość kilka miesięcy temu. O ile klienci Amber Gold inwestowali w złoto, o tyle korzystający z usług DasCoin dali się nabrać na tzw. kryptowaluty, których wartość w ciągu paru miesięcy spadła tak, że – jak czytamy na portalu Money.pl – „najwięksi pechowcy mogli stracić blisko 70% zainwestowanych pieniędzy”.

– Badania przeprowadzane co jakiś czas przez Narodowy Bank Polski dotyczące kompetencji finansowych Polaków rzeczywiście nie wypadają najlepiej. Słabe kompetencje finansowe na pewno zwiększają podatność na manipulacje – mówi Filip Konopczyński z Fundacji Kaleckiego. ▶

► Z drugiej strony relacja między przedstawicielem sektora finansowego a potencjalnym klientem zawsze będzie asymetryczna. Nie jestem wcale pewien, czy sprawiedliwe jest wymaganie od ludzi bez wykształcenia ekonomicznego rozeznania w inwestycjach i manipulacjach, jeśli często nawet prezesi banków nie są w stanie właściwie oszacować ryzyka. Pamiętajmy

stronie „Gazety Krakowskiej”. Monika D. nie była jednak pierwszą ofiarą oszusta. „Daria D. poznała 49-letniego mężczyznę (...) w jednej z galerii krakowskich. Już na święta Bożego Narodzenia przywiozła go do domu na Podhale i przedstawiła rodzicom jako znanego w świecie onkologa ze Szwajcarii, który leczył Jana Pawła II w klinice Gemelli. Na liście pacjentów »hrabiego« miała być też córka

deklarowało 14% ankietowanych. Co siódmy respondent (15%) przyznał, że wierzy w trzy lub cztery wymienione zabobony, a co czwarty (25%) – w jeden lub dwa”, referuje CBOS w podsumowaniu swojego badania.

Jednak nie tylko nieracjonalność czyni nas podatnymi na absurdalne obietnice i pospolite sztuczki. Zdaniem dr. Konrada Maja z Uniwersytetu SWPS manipulatorów cechuje zdolność trafnej diagnozy potrzeb potencjalnych ofiar: – Niewątpliwie takie osoby, które wpływają na nas bezpośrednio i świadomie, mają szerokie kompetencje społeczne, potrafią rozpoznać nasze potrzeby, wstrzelić się w nasz sposób myślenia i system wartości. Potrafią wychwytywać subtelne sygnały. Czasem czają się na ofiarę niczym lew w trakcie polowania. Wybierają, do kogo mają podejść. Bo etap diagnozy zwykle jest wcześniej, zanim człowiek zostanie „zaatakowany”.

I rzeczywiście, celne rozpoznanie braków i aspiracji potencjalnej ofiary wydaje się kluczem do sukcesu. Dowodzą tego zarówno oferty alternatywnego leczenia kierowane do tych, którzy zawiedli się na oficjalnej medycynie, używana wobec emerytów na zasiłku metoda „na lekarza”, jak i reklamy chwilówek,

Łatwowierność nie jest jedynie domeną osób starszych, dotyczy również obywateli „z ambicjami”.

Jerzego Millera. Szybko obiecał dziewczynie ślub, i to nie było jaki, bo ceremonia miała się odbyć na Wawelu, za wynajęcie którego »hrabia« miał zapłacić 200 tys. euro. Ślubu miał udzielać sam kardynał Dziwisz”.

Według portalu Na Temat liczba działających w Polsce uzdrowicieli, znachorów i szamanów może sięgać nawet 100 tys.

Zdaniem antropologa kultury dr. Mirosława Pęczaka wiara w tego rodzaju usługi wiąże się z powrotem do zabobonności. – W ostatnich latach mamy do czynienia z tendencją odwrótu od racjonalnego myślenia – mówi badacz portalowi. – Przykład?

Proszę zobaczyć, jak zmieniła się oferta kanałów telewizyjnych typu Discovery: od popularyzacji wiedzy do audycji na temat UFO, duchów, zjawisk nadprzyrodzonych. To działa na myślenie widzów i Polska nie jest od tego wolna.

Wydaje się, że właśnie wiara w cuda i zjawiska mało prawdopodobne łączy ofiary znachorów i telemarketerów wciskających ludziom „okazyjne oferty”. Znamienne, że powodzenie jednych i drugich idzie w parze z niskim zaufaniem do innych deklarowanym, co wynika z badań CBOS, przez prawie dwie trzecie Polaków, a przy tym z wysokim odsetkiem wierzących w przesady. „Z deklaracji ankietowanych wynika, że ponad połowa dorosłych Polaków (54%) wierzy w przynajmniej jeden z 10 przesądów, w tym wiarę w co najmniej pięć z nich za-

Liczba działających w Polsce uzdrowicieli, znachorów i szamanów może sięgać nawet 100 tys.

bez pudła trafiające w finansową desperację klientów. Z kolei jeden z największych promotorów DaCoin w polskim internecie, Damian Żukiewicz, zachęcał do inwestycji setki osób, publikując filmy, na których m.in. palił banknoty, nagrywane w ekskluzywnych hotelach na rajskich wyspach. Jak widać, po-działo.

LICENCJA NA KŁAMSTWO

Jeśli wiedzę o świecie czerpać z reklam parabanków, pseudofirm maklerskich i ofert znachorów, można łatwo dojść do wniosku, że doży-wotnie bogactwo to jedynie kwestia odpowiedniej „inwestycji”, a luksu-



Reklamy pozabankowych pożyczek „na dowód” są wszędzie. Nie ma na nich informacji, że często trzeba spłacać wielokrotność pożyczonej sumy.

o tym, że w Amber Gold i w kryptowaluty inwestowali ludzie zamożni i wykształceni.

MIĘDZY POTRZEBĄ A ZABOBONEM

Choć manipulatorzy i naciągacze najczęściej polują na dobra materialne, sektor finansowy nie jest jedynym, w którym oszuści znajdują ofiary. W internecie roi się od naciągactwa wszelkiej maści i kalibru: od sesji leczenia specjalnymi kulkami za kilkaset złotych po „nowatorskie” metody nauki języka obcego w trzy miesiące. Kilka lat temu Sąd Rejonowy w Zakopanem skazał 50-letniego Zdzisława M. za „leczenie” seksem schorzeń onkologicznych dziewcząt z całej Polski. „Zdzisław M., przedstawiający się w Polsce jako hrabia Myszkowski, wpadł po tym, jak wyjechał za granicę razem z 19-letnią Moniką D. z Szaflar”, czytamy na

SUPLEMENTY ZA TYSIĄCE

Pan Andrzej z Bielska-Białej kupił na zasadach sprzedaży bezpośredniej od firmy MT Meditech suplement diety Cardiozym Forte za ponad 2 tys. zł. Farmaceuci twierdzą, że w rzeczywistości to zestaw ogólnodostępnych witamin, koenzymu Q10 czy mleczka pszczelego. W aptece taki zestaw można sobie skompletować za 500 zł.



sowe dobra mamy w zasięgu ręki. Do podobnych, choć nieco bardziej zgeneralizowanych wniosków można dojść, słuchając wypowiedzi polskich polityków.

Według słów samego Mateusza Morawieckiego Polska jest „fabryką Europy”, gdzie w 2017 r. rzekomo powstało dwie trzecie nowych miejsc pracy w europejskim przemyśle, a także „nowym domem dla 25 tys. uchodźców z Czeczenii” i ponad miliona Ukraińców, gdzie „podwyżki płac są najwyższe od 25 lat”. Tymczasem, jak wylicza OKO.press, w Polsce ochronę międzynarodową ma 2,4 tys. Czeczenów, tylko 9% pracujących w Polsce Ukraińców otrzymuje jakąkolwiek formę pomocy od państwa, a liczba nowych miejsc pracy w produkcji we wspomnianym przez Morawieckiego okresie to 111 tys. – wobec 591 tys. w przemyśle Unii Europejskiej. „Wyższy niż w 2017 r. realny

wzrost płac był w latach 1996-1998, 2006-2008, 2015-2016. Realnie płace w gospodarce narodowej w 2017 r. wzrosły o 3,4%, ale w niektórych sekcjach gospodarki wzrost jest niewysoki lub żaden”, kontrargumentuje OKO.press.

Politycy liczą na niekompetencję swoich odbiorców – dokładnie tak jak telemarketrzy w rozmowie z potencjalnymi klientami.

Zdaniem prof. Ewy Marciniak z Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego politycy liczą na niekompetencję swoich odbiorców – dokładnie tak jak agresywni telemarketrzy w rozmowie z potencjalnymi klientami. – Mówiąc nieprawdę, polityk doskonale wie, że kłamstwo, które może być atrakcyjne, dotrze do większej liczby wyborców niż jego sprostowanie – twierdzi badaczka.

– A większość polskich wyborców traktuje wypowiedzi swoich ulubieńców politycznych nie jako opinię, ale jako opis rzeczywistości.

Potencjalny zysk z manipulacji jest, według politologów, szybszy i pewniejszy niż np. podawanie rzetelnych danych i odpowiedniej faktografii. Kłamstwo zresztą to niejedyna stosowana przez polityków technika zdobywania poparcia. – Jasne jest, że im prostszy język, tym więcej

odbiorców przyciąga. Dlatego politycy lubują się w używaniu metafor i generalizujących stwierdzeń, takich jak „remontowanie domu”. Wiedzą, że większość ich odbiorców nie będzie wnikać w dokładne znaczenie tych słów – wyjaśnia prof. Marciniak.

– Wyborców mających podstawową, obiektywną wiedzę politologiczną jest ok. 30%. Reszta polskiego społeczeństwa ma wiedzę powierzchowną i tabloidową.

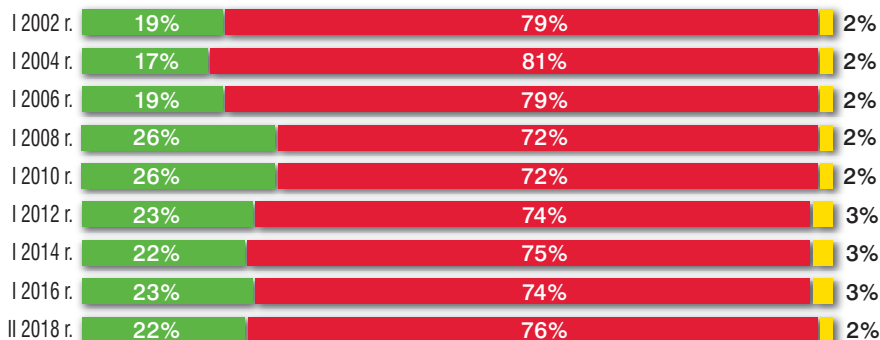
To czyni z nich łatwy cel wszelkich manipulacji.

Co zaskakujące, wiele wskazuje, że Polacy – mimo bolesnych skutków własnej naiwności – skłonni są więcej wybaczać manipulującym nimi przedstawicielom władzy niż pospolicym oszustom.

Prof. Ewa Marciniak: – Badania pokazują, że sympatia do wybranego polityka sprawia, że patrzymy przez palce na jego manipulacje. Dlatego osoby publiczne wykonują różne manewry służące tylko temu, by być „lubianymi”: życzenia noworoczne, pokazywanie się z dziećmi czy inne podobne zabiegi. I to często działa. Przyłapawszy ulubionego polityka na kłamstwie, wyborca prędzej powie, że „to tylko człowiek” albo że „to incydent”, niż zgłasza na kogoś innego. Żeby zmienić swój wybór, musiałby się przyznać do błędnego wyboru światopoglądowego, a to trudne. Dlatego większość wyborców przejdzie nad tym do porządku dziennego, mówiąc, że „polityka taka już jest”. I znowu zgłasza na tę samą partię co zawsze.

Katarzyna Wierzbicka

KTÓRA Z DWÓCH OPINII JEST BLIŻSZA PANA(I) POGLĄDOM?



■ Ogólnie rzecz biorąc, większości ludzi można ufać
■ W stosunkach z innymi trzeba być bardzo ostrożnym
■ Trudno powiedzieć

Źródło: CBOS, marzec 2018

Robert Walenciak

Tak czy owak, zawsze Roman (Giertych)

Objawił się nagle jako niemal polityk Platformy.
Zaczął się pojawiać na manifestacjach KOD,
na których skakał wraz z innymi

Kilka dni temu Rafał Grupiński, ważna postać w Platformie Obywatelskiej, zaręczał: „Na pewno Roman Giertych w naszym rządzie się nie znajdzie”. Oczywiście jego deklaracja jest bez znaczenia, nie takie rzeczy polscy politycy obiecywali i odwoływali. Większą wagę ma prosty fakt, że o tym się rozmawia. To świadczy, że Roman Giertych jest w grze.

W świecie polityki można być w grze na dwa sposoby. Po pierwsze, gdy ma się odpowiednie grono wyborców, tzw. elektorat, i sprawną ekipę. Z posiadaczem takiego pakietu każdy musi się liczyć. Ale jest i drugi sposób przebicia się do góry – bycie użytecznym. Oczywiście dla tych, którzy rozdają karty. Otóż Roman Giertych przetrenował obie metody. I po-przestał na tej drugiej. Jest użyteczny.

I.

Pierwsze wcielenie Romana Giertycha to lider Młodzieży Wszechpolskiej i Ligi Polskich Rodzin. Czegoś na prawo od Prawa i Sprawiedliwości.

Giertych odbudowywał endecję, gromił w wystąpieniach lewicę, liberałów, Brukselę, w roku 2001 wprowadził LPR do Sejmu, zdobywając 38 mandatów. To był całkiem przyzwoity wynik, bo PiS tych mandatów uzyskało wtedy 44. Czas w opozycji wykorzystał nie najgorzej, budując swoją pozycję w komisji śledczej badającej sprawę Orlenu.

Polskiego. Minister żądał od związkowców, by odcięli się od „komunistycznej przeszłości”. I zablokował im wszelkie drogi awansu. Żaden z nich nie otrzymał medalu Komisji Edukacji Narodowej, przyznanego wybitnym pedagogom. Za to został nim odznaczony osobiście przez szefa MEN znany „wychowawca młodzieży”, prałat Henryk Jankowski.

Co ważne, ks. Jankowski już od trzech lat był odsunięty od parafii, już wtedy ciążyły na nim oskarżenia o molestowanie ministrantów. Giertych jednak tym się nie przejmował. Wręczając medal, mówił, że prałat Jankowski „to człowiek legenda, który poświęcił wiele pracy również wychowaniu młodych pokoleń”, i atakowano go niesłusznie. „Ksiądz prałat Jankowski należy do tej Solidarności,

Gdy wybuchła awantura, Giertych wycofał się z antyowsiackowej kampanii. Za to nie wycofał się z wojny z „promocją homoseksualizmu”. I z tego powodu odwołał szefa Centralnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli, Mirosława Sielatyckiego. Za to, że CODN wydał podręcznik dla nauczycieli „Kompas. Edukacja o prawach człowieka w pracy z młodzieżą”. Celem tej publikacji stworzonej w 2002 r. przez Radę Europy była promocja praw człowieka. Według Romana Giertycha podręcznik miał służyć „promocji homoseksualizmu” w szkole.

Optował natomiast za wprowadzeniem do szkół lekcji patriotyzmu. „Przedmiotu” tego mieli „uczyć” oficerowie wojska zapraszani do szkół. Patriotyzm krzewić miały też lektury,

których kanon Giertych zaczął zmieniać. Jako lektura obowiązkowa miał wrócić m.in. „Po-

top” Sienkiewicza, planowano zaś wykreślenie „Trans-Atlantyku” Gombrowicza.

Szkoła miała także uczyć dyscypliny. Poprzez wprowadzenie mundurków i program „Zero tolerancji”. W jego ramach planowano wprowadzić zakaz przebywania nieletnich w miejscach publicznych po godz. 22, a sprawiający szczególne kłopoty mieli trafiać do szkół o specjalnym rygorze. Porządek w „normalnych” szkołach kontrolowały natomiast słynne Giertychowskie trójki, czyli zespoły, w skład których wchodził policjant, przedstawiciel gminy i wizytator z kuratorium.

Na polecenie ministra edukacji szkoły miały obowiązek na bieżąco

Jego głównym wrogiem w szkole był Związek Nauczycielstwa Polskiego.

W roku 2005 zdobył z Ligą Polskich Rodzin 34 mandaty (PiS – 155), ale, co ważniejsze, wszedł do koalicji rządowej. Od maja 2006 r. był w rządzie Jarosława Kaczyńskiego wicepremierem, ministrem edukacji. I wtedy pokazał, na co go stać.

II.

Kilkunastomiesięczny dorobek Giertycha ministra był na łamach PRZEGLĄDU opisywany parokrotnie. To jest dorobek – tak byśmy go dzisiaj nazwali – szalonego pisowca, więc tylko tytułem przypomnienia kilka osiągnięć.

Głównym wrogiem Giertycha w szkole był Związek Nauczycielstwa

która była wspólnym duchem narodu, która wyniosła nasze państwo. Do niej niektórzy się przyczepili, twierdząc, że to oni stanowią prawdziwy nurt, gdy tymczasem stanowili jego wypaczenie i aberrację”, głosił.

Obok ZNP wrogiem ministra była Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. MEN w piśmie skierowanym do kuratorów nakazało sprawdzić, czy organizacje charytatywne, a szczególnie WOŚP, nie wywierają „presji na uczniów, nauczycieli i rodziców do uczestniczenia w różnego typu akcjach”. Powodem miały być docierające do ministerstwa sygnały, że „WOŚP przymusza uczniów do uczestnictwa w swojej akcji”.



Dawniej ulubieniec ojca Rydzyka, dziś ulubieniec politycznych celebrytów.

sporządzać raporty na temat dziewcząt zachodzących w ciążę. Postanowiono również wciągnąć do programów nauczania propagowanie „czystości przedmałżeńskiej”. Minister Giertych reaktywował też zespół mający opracować scenariusze lekcji promujących naturalne metody antykoncepcji. O nowoczesnych środkach zapobiegania ciąży oczywiście nie wspomniano. Wszak związana z Radiem Maryja doradczyni Giertycha Hanna Wujkowska twierdziła, że powodują one bezpłodność.

U boku Giertycha w MEN zabłysnął wiceminister Mirosław Orzechowski. Zablokował on wprowadzenie zerówek dla pięcioletków, tłumacząc, że jest to „odciąganie dzieci od dzieciństwa”. MEN zawiesiło więc

program tworzenia przedszkoli we wsiach i małych miasteczkach. Orzechowski wielką popularność zdobył wypowiedziami na temat teorii ewolucji. „Teoria ewolucji to kłamstwo – mówił. – To opowieść o charakterze literackim” stworzona przez „niewierzącego starszego pana”. I tłumaczył, że nauczanie w szkołach ewolucji przypomina okres, gdy przekazywano kłamliwe informacje dotyczące zbrodni katyńskiej.

„Za Giertycha szkoła zdycha!”, wołali więc nauczyciele i uczniowie. 137 tys. Polaków podpisało się w ciągu kilku dni pod petycją o jego odwołanie. „Mamy ministra, który przynosi hańbę polskiej szkole, nie rozumie, na czym polega istota nauczania i dobro kultury narodowej”,

oceniał wspomniany Rafał Grupiński, proponując, by postawić Giertycha przed Trybunałem Głupoty.

Sprawy edukacji stały się obszarem wielkiej wojny ideologicznej, w której zapał Giertycha hamować musiał... Jarosław Kaczyński. Na szczęście koalicja PiS-Samoobrona-LPR rozpadła się i mieliśmy przedterminowe wybory. W ich wyniku władzę przejęła koalicja PO-PSL.

A Giertych? Wyborcy ocenili go jednoznacznie. LPR zdobyła w całej Polsce 209 tys. głosów, czyli 1,3% mandatów. Po tej klęsce złożył rezygnację i zadeklarował, że wycofuje się z polityki, wraca do praktyki adwokackiej.

III.

Teoretycznie jest tej deklaracji wierny. Ale tylko teoretycznie. Ciąg nie wilka do lasu. Roman Giertych krok po kroku powraca więc do polityki. Na razie pod płaszczykiem adwokatury. Jako ten użyteczny. Kiedy zaczął? Gdy do gazet zaczęły trafiać przecieki, że przyjaźni się z Michałem Kamińskim i Radosławem Sikorskim i w trójkę regularnie się spotykają? Chyba jeszcze nie wtedy.

Początkowo budował swoją pozycję, reprezentując wielki biznes. Na taśmach kelnerów nagrana jest rozmowa z roku 2014, którą prowadzi Leszek Czarnecki, właściciel Getin Banku. Czarnecki mówi tam o Giertychu mecenasie, chwalcąc jego bezwzględność: „Już 16 lat prowadzi Ryszardowi Krauzemu sprawę o egzekucję i kobiecie walczącej o odškodowanie powiedział: Pani umrze i nie zobaczy ani złotówki”.

Opowiada też o współpracy z Romanem Giertychem, który reprezentował Getin Bank w sporze zbiorowym z frankowiczami: „Rozmawiałem z Giertychem w sprawie reprezentowania nas w sporze zbiorowym. Gwarantuje nam, że przez pięć lat nie będzie w tej sprawie rozstrzygnięcia (śmiech), absolutnie może tak umowę podpisać (śmiech). (...) Wyniku nie może zagwarantować, to zawsze zależy od sądu, ale może zagwarantować, że go [wyroku] długo nie będzie. »No, postaramy się pomiędzy siedem a dziesięć lat, ale przez pięć to na pewno nie będzie. To mogę zagwarantować«”.

Współpraca z Kulczykiem, Krauzem czy Czarneckim na pewno była

► korzystna finansowo. Ale powrót do świata polityki rozpoczął od momentu, kiedy podjął się obrony interesów Michała Tuska, syna Donalda. To był rok 2012, Tuska juniora atakowały plotkarskie media za pracę dla OLT Express, czyli dla lotniczej spółki Amber Gold. Giertych u boku Tuska! Dla wielu to był szok.

A potem było już z górki.

IV.

Giertych przyciągał uwagę. Zaczął się pojawiać w mediach. I był coraz bliżej Donalda Tuska.

Gdy w roku 2015 PO zaczęła przyjmować na swoje listy politycznych spadochroniarzy, z prawa i z lewa, znalazła miejsce również dla Giertycha. Wystartował on do Senatu w podwarszawskim okręgu nr 41, jako kandydat niezależny. Platforma (podobnie jak PSL) nie wystawiła w okręgu swojego kandydata. Pomoc okazała się niewystarczająca. Giertych przegrał z Konstantym Radziwiłłem. Przyszły minister zdrowia dostał 100 tys. głosów, Giertych – 51 tys. Tuż za nim z niemal 50 tys. był kandydat Nowoczesnej... Start Giertycha okazał się więc kląpą. Ale nie zniechęciło to ambitnego mecenasa. Zresztą czasy PiS znakomicie mu posłużyły.

Medalem Komisji Edukacji Narodowej Giertych odznaczył znanego „wychowawcę młodzieży”, prałata Jankowskiego.

Giertych objawił się nagle jako niemal polityk Platformy. Zaczął się pojawiać na manifestacjach KOD, na których skakał wraz z innymi. Był aktywny na Facebooku, pisał felietony polityczne, których zbiór wydał, został stałym gościem w TVN 24, w „Newsweeku” i w innych mediach.

Do premiera Morawieckiego pisał tak: „Drogi Panie Mateuszu! Przepraszam za tak poufaty ton, który nie koresponduje z godnością Pańskiego urzędu, ale obydwaj wiemy, że ta przeszkoda wkrótce zaniknie...”.

A do wiceministra Zielińskiego: „Szanowny Panie Ministrze! Z niepokojem dowiedziałem się, że grozi Panu śmiertelne niebezpieczeństwo! Jak Pan powiedział, uzasadniając obecność dzielnych policjantów wokół Pana domu, niedaleko pańskiego miejsca zamieszkania znaleziono odciętą głowę! Szydercy i kpiarze,



którzy nie darzą tak wielką estymą osoby pana Ministra jak ja, uważają pewnie, że fakt znalezienia tej głowy ćwierć tysiąca kilometrów od pańskiego domu ma jakiekolwiek znaczenie dla oceny groźnego Pana niebezpieczeństwa. Przecież to oczywiste, że nikt nie ośmieliłby się wyrzucić czyjejs głowy prosto do Pana ogródka!”.

I tak co parę dni.

Łajał PiS. Celnie i boleśnie. Na tle niedojdowatej Platformy błyszczał. Już zresztą zapowiedział, że w wyborach 2019 najprawdopodobniej będzie startował jako kandydat niezależny (choć popierany przez PO) do Senatu. Zaczęto też przebąkiwać,

Tę nominację skomentowała Magdalena Środa: „Zarówno Andruskiewicz, jak i Giertych byli prezesami tej samej Młodzieży Wszechpolskiej, a Giertych jest dziś przeciwieństwem „ulubieńcem wszystkich od lewa (Miller) po centrum (Tusk)”. Ten sam, który wprowadził to nacjonalistyczne ugrupowanie do parlamentu, upodmiotowił je, rozhuśtał i nauczył roszczeniowości. A teraz przebrał się w skórę liberalnej owcy i skutecznie uwodzi politycznych celebrytów”. Pochwalił ją za to Robert Biedroń („Bardzo celny tekst Magdaleny Środy”) i dodał: „Jeśli nie dziwi nas Roman Giertych w przebraniu obrońcy demokracji i w najpopularniejszych opozycyjnych mediach, to tym bardziej nie dziwny się, że w obecnym rządzie znajdują miejsce jego polityczne dzieci”.

I w ten sposób wybuchła awantura. Bo Giertych szybko Biedroniowi odpisał na Twitterze: „Pan Biedroń nazywa mnie przebraniem obrońcy demokracji. Panie Radny! Od kilku miesięcy (odkąd porzucił Pan swoją dawną miłość – Słupsk) robi Pan wszystko, aby rozwalić opozycję i wzmocnić PiS. To Pan przebierasz się za obrońcę demokracji, gdy tymczasem jest Pan ostatnią nadzieją Jarosława Kaczyńskiego”.

Co ciekawe, w ataku na Biedronia Giertycha poparł szef „Newsweeka” Tomasz Lis, który dodał: „Dlatego jeden chodził na wszystkie demonstracje w sprawie Trybunału Konstytucyjnego i sądów, a drugi – broniąc dyskretnie – nie był na żadnej”.

Pokaz ignorancji i złej woli został ukarany, bo partner Biedronia Krzysztof Śmiszek opublikował zdjęcie z manifestacji w obronie sądów ze Słupska. I tam był Biedroń, zresztą bardziej tam pasował niż na manife-

że będzie kandydatem do objęcia resortu sprawiedliwości. On nie zaprzeczał. Otrzeptał się z niedawnej przeszłości i jakby nigdy nic ruszył do boju. Prokurator Piotrowicz z PiS albo Magdalena Ogórek...

W ten sposób, jako człowiek dla Platformy użyteczny, adwokat Tuska, antypisowy komentator, zaczął się dorabiać własnej pozycji. Nie wśród wyborców, nie miejmy złudzeń, bo ich nie przyciąga, ale w establichmencie PO. I nie jako samodzielny polityk, ale jako użyteczny człowiek do pewnych zadań. Tymczasem w owym pięknym scenariuszu powrotu pojawił się zgrzyt.

V.

Jest nim nominacja Adama Andruskiewicza, byłego lidera Młodzieży Wszechpolskiej, na stanowisko wiceministra cyfryzacji.

stacji w Warszawie. Śmiszek napisał więc: „Ma pan jeszcze szanse przeprosić za to kłamstwo ws. Roberta Biedronia. Rozumiem, że z warszawskiej bańki nie widać mniejszych miejscowości, ale zapewniam, i tam też broniono sądów i Konstytucji (a nawet wieszano jej preambułę w każdej szkole)”.

Czy ta awantura to burza w szklaneczkę wody? Raczej nie, to wierzchołek góry lodowej.

VI.

Pokazuje ona przecież elementarny spór o przyszłość opozycji. Kto ma być jej liderem i rozdawać w niej karty. I jaka ona ma być.

Jeżeli uznamy, że jedynym spoiwem opozycji ma być anti-PiS, karty rozdawać ma lider PO, czyli Grzegorz Schetyna, i opozycja idzie po wygraną, po stołki, a potem się zobaczy, to rzeczywiście Roman Giertych i Tomasz Lis mają rację. Biedroń w tym projekcie przeszkadza, trzeba go zniszczyć, spacyfikować. Obaj więc występują w roli ludzi użytecznych, w roli naganiaczy Schetyny.

Jeżeli natomiast uważamy, że opozycja powinna również mieć program dla Polski, wizję jej urzędzenia, i że musi się poszerzać o nowe środowiska, to rację ma Biedroń. Jest to zatem spór Polski „koryciarskiej”, gdzie sprawy programowe nie mają znaczenia, a liczy się, kto jakie miejsce zajmuje w obozie PO, z Polską, która zakłada, że ludzie głosują dla idei, że będą chcieli ją zmienić. I nie jest im wszystko jedno. Ten spór to też zapowiedź najbliższych miesięcy. Tego, jak będzie działał Giertych. I pewnie jak będą się zachowywać przychylne Platformie media.

To jest zresztą też kamyczek do ich ogródka. Robert Biedroń mówił to PRZEGLĄDOWI: „Byłem dla nich dobry, kiedy byłem miłym gejem, pijącym wodę z kranu w Słupsku, jeżdżącym na rowerze, dbającym o zwierzęta... To było miłe, to nikomu nie szkodziło, to sprawiało, że wołali: zobaczcie, jaki fajny ten Słupsk, jaki fajny prezydent (...). Dostawałem nagrody, każdego roku byłem wyróżniany w konkursie »Newsweeka« na najlepszego prezydenta, Tomasz Lis

wręczał mi dyplom, mam te wszystkie dyplomy. I nagle, kiedy powiedziałem, że wchodzę do wielkiej polityki, okazało się, że jestem najgorszym prezydentem! Nic mi się nie udało! Katastrofa! To jest myślenie z tej bajki”.

Za to w tej bajce, obok już złego Biedronia, błyszczą dobry Giertych, dobry Radosław Sikorski, Michał Kamiński, Kazimierz Marcinkiewicz, przenikliwy Ludwik Dorn... Wystarczy się zderzyć z Jarosławem Kaczyńskim, by wszystkie grzechy zostały wybaczone, przeszłość wybielona, by awansować do grona mędrców. Bo jest się użytecznym.

Patrzę na to i czuję dysonans, bo przecież od razu nasuwa się pytanie, czy to towarzystwo w podobny sposób nie traktuje nas, wyborców.

Robert Walenciak

* Dziś Roman Giertych wycofuje się z tamtej decyzji. Na zasadzie „łapaj złodzieja!”. „Przeczytałem tekst w »GW« o ks. Jankowskim. Jeśli to prawda, to należy jego pomnik rozebrać, nazwy ulic czy placów zmienić i odebrać mu wszystkie order i medale, które otrzymał (w tym ten, który mu dałem jako szef MEN za zasługi w okresie Solidarności)”, napisał na Twitterze.

CZARNE BRACTWO
BLACK KLANSMAN

JUŻ NA BLU-RAY™ I DVD

LEGENDARY FOCUS FEATURES UNIVERSAL PICTURES © 2018 Focus Features LLC. All Rights Reserved. FILMSTRADA

SYN MA PIERWSZEŃSTWO

Ciepła posadka w Straży Granicznej

Marek Kowszytów

Według „Faktu” jeden z synów Bogdana Sakowicza, wiceszefa CBA i białostoczanina rodem, dostał pracę w Podlaskim Oddziale Straży Granicznej po znajomości. Miał mu w tym pomóc były szef SG gen. Marek Łapiński, obecnie sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Obaj panowie znają się bowiem dobrze jeszcze z czasów służby w Urzędzie Ochrony Państwa, poprzedniku Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Przypadek Piotra Kaczorka, rzecznika CBA, zawieszono, gdy wyszło na jaw, że od lat nie spłaca kredytu zaciągniętego w SKOK Wołomin, to niejedyna ostatnio afery związana – pośrednio lub bezpośrednio – z pisowskimi tajnymi służbami. Zanim Kaczorek przykrył swoją historią inne ubiegłoroczne newsy, takie jak awans do Banku Światowego syna Mariusza Kamińskiego, koordynatora służb specjalnych, czy ulokowanie zastępcy Kamińskiego, Macieja Wąsika, jako przedstawiciela służb w Komisji Nadzoru Finansowego, przez chwilę było głośno o Bogdanie Sakowiczu, historyku po Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, wiceszefie CBA.

Syn Bogdana Sakowicza, Marce-
li, miał dwukrotnie przystępować do



Dobry ojciec to podstawa! Syn Mariusza Kamińskiego awansował do Banku Światowego, syn Bogdana Sakowicza trafił do Straży Granicznej.

testów psychologicznych, obowiązujących kandydata na współczesnego wopistę. Za pierwszym razem test oblał, za drugim szczęście mu sprzyjało – z trudem, ale zdobył wymaganą liczbę punktów. Informatorzy PRZEGŁADU twierdzą nawet, że ktoś mu ten test z życzliwości mógł podrasować i od 2017 r. syn pisowskiego prominenta jest już na stałe zatrudniony w Straży Granicznej.

– Z tymi testami w ogóle jest dziwna rzecz. Bywa, że nie dają sobie z nimi rady żołnierze po misjach, a zdają je cywile, którzy potem, już na służbie, strzelają sobie w łeb – mówi jeden z pracowników Straży Granicznej. Ostatni taki głośny wypadek przydarzył się kilka lat temu na placówce SG w Białowieży. Funkcjonariuszka przeżyła, ale prawie straciła wzrok.

Biuro Spraw Wewnętrznych SG dowiedziało się o skandalu z testami, ale działań nie podjęło. A przecież na stronie internetowej Wydziału V Zamiejscowego w Białymstoku tego biura, które ma łapać skorumpowanych strażników, stoi jak wół, że „korzyść osobista – jest to świadczenie o charakterze niemajątkowym polepszające sytuację osoby, która je uzyskuje (np. obietnica awansu, odznaczenie orderem, wyuczenie zawodu). Korupcją majątkową lub osobistą jest korzyść zarówno dla

siebie, jak i dla kogoś innego”.

Podwładni Sakowicza okazali się pod tym względem odważniejsi, ale to też niewiele dało. Były funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego: – Za przyjęciem do Straży Granicznej młodego S. stał ówczesny naczelnik kadr z Białegostoku, niejaki S.Z. (imię i nazwisko do wiadomości redakcji). Został wkrótce przeniesiony do centrali w Warszawie na polecenie gen. Łapińskiego, a z CBA wyleciały osoby, które sprawę rozpracowywały. Za rządów PiS niestety raczej nie ma co liczyć na wyjaśnienie tej historii. Wszystko jest zamiatane pod dywan.

Jakby na potwierdzenie tych słów w czerwcu 2018 r. Prokuratura Okręgowa w Radomiu umorzyła postępowanie w sprawie przekroczenia uprawnień przez ludzi w zielonych mundurach i Marceli S. mógł już śmiało i bez wyrzutów sumienia pójść na kurs podoficerski.

Nasze wiewiórki twierdzą, że po powrocie z kursu czeka na chłopaka ciepła posadka. Dosłownie ciepła. Zamiast bowiem w deszcz, śnieg czy burzę łapać przekraczających nielegalnie wschodnią granicę jakichś islamistów czy Wietnamczyków, Marceli S. ma dostać biurko w Wydziale Kadr i Szkolenia w Podlaskim Oddziale SG. Gdyby okazało się to prawdą, jego przypadek nabierze wielce symbolicznej wymowy. ■

Zaproszenie

Fundacja Żyć z pasją oraz Astra SA

mają zaszczyt zaprosić na uroczystą Galę „Dla mojej Babci, dla mojego Dziadka”
21 stycznia 2019 r. o godz. 15.30

w Urzędzie Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy,

ul. S. Żeromskiego 29, Scena Kameralna (wejście od ul. Jarzębskiego).

Podczas Gali zostaną wręczone nagrody laureatom Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego

„Dla mojej Babci, dla mojego Dziadka” – edycja krakowska

oraz statuetki „Człowiek z pasją” i „Firma z pasją”.

Honory Babci pełni HALINA KUNICKA, honory Dziadka – ANDRZEJ STREJLAU.

Prowadzenie: Zofia Czernicka, Michał Olszański, Conrado Moreno.

W Gali udział wezmą Honorowe Babcie i Honorowi Dziadkowie
z poprzednich lat oraz Przyjaciele Fundacji.

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Mieszkańcy Polski, a zwłaszcza – co dziwniejsze – polscy dziennikarze są święcie przekonani, że żyjemy w kraju pełnej wolności słowa i pod tym względem nasz kraj kontrastuje z Rosją, gdzie masowe media głoszą tylko to, co im Kreml każe. W rzeczywistości rosyjska prasa opozycyjna w swojej krytyce władzy potrafi być o wiele bardziej zasadnicza niż polska, która wyspecjalizowała się w złośliwości i ośmieszaniu, ale nie śmie poddać krytyce niebezpiecznych błędów rządu i całego obozu władzy. Zławsza telewizja, zarówno państwowa, jak i prywatna, jest w swoich przekonaniach zgłajszaltowana i tylko z rzadka, na zasadzie wyjątku, który ma ją uwiarygodnić, dopuszcza wypowiedzi zatroskane o ważne sprawy narodowe, zresztą nawet wtedy prezenter fachowo stosuje zagłuszanie puent.

W rosyjskiej telewizji w audycjach publicystycznych każdego niemal dnia występują ukraińscy politolodzy i publicyści reprezentujący poglądy zgodne z głównym nurtem ukraińskiej opinii publicznej, ostro, a nieraz gwałtownie krytykujący rząd moskiewski, ów diaboliczny Kreml i jego szefa. Ich wypowiedzi często są zakrzykiwane, ale nigdy do tego stopnia, żeby nie mogli przedstawić swojego poglądu. I to okazuje się

intelektualistka Ukrainy, pisarka i profesorka Oksana Zabuzko, jest bardzo zajęta, rozrywana na Zachodzie i u siebie. Czy by jednak nie dała się namówić na dłuższy wywiad dla polskiej telewizji, aby przedstawić nam swoje rozumienie misji, jaką ma do spełnienia dzisiejsza Ukraina w Europie i na świecie? Byłoby nad czym się zastanowić. Sensacyjne rzeczy dzieją się w gospodarce ukraińskiej, dziwne, że Polacy tym się nie interesują, a może się interesują, tylko nikt im nic ważnego nie mówi. W tej sprawie akurat polscy przedsiębiorcy (oby, broń Boże, nie doradcy) działający na Ukrainie mogliby nam może więcej powiedzieć niż ukraińscy. Dają pomysły na chybił trafił, a chodzi o to, aby Ukraińcy występowali w polskiej telewizji na takich prawach, na jakich występują w rosyjskiej. Nastąpiłoby poszerzenie wolności mediów, a na razie to jest najważniejsze.

Wśród przesądów, jakie odziedziczyłem po przodkach, znajduje się przekonanie, że katolicyzm daje lepsze zbawienie niż prawosławie. To przekonanie zaciera się, prawdę mówiąc, całkiem znika, gdy jestem wśród samych katolików, ale odnawia się, gdy mam do czynienia z prawosławnymi. Czy jestem

WYSŁUCHAĆ PRZYJACIOŁ

możliwe w czasie, gdy między Rosją i Ukrainą toczy się ostry konflikt nazywany wojną. Gdy przysłuchuję się tym krzykliwym sporom, co robię rzadko, tracę pewność, że zerwanie między Rosją i Ukrainą jest ostateczne. Utrzymuje się tam więź, której Ukraińcy zaprzeczają, ale nie mogą jej zerwać.

Pisarz ukraiński, który w tych sporach wypowiadał się krytycznie o pomajdanowym przewrocie, został zabity w Kijowie na ulicy w biały dzień. W mediach zachodnich, które sprawami ukraińskimi bardzo się interesują, nie było o tym wzmianki lub wzmianka nieauważalna.

Żeby telewizja polska dopuściła do głosu Rosjanina reprezentującego poglądy typowe dla moskiewskich kół oficjalnych lub choćby opozycyjnych, o tym mowy nie ma. Takie pomysły mogą się rodzić tylko w głowach moskiewskiej agentury. Proponuję rozwiązanie kompromisowe. Jesteśmy bardzo źle informowani o tym, co się dzieje na Ukrainie. Czy nie byłoby słuszne i możliwe zapraszać na dyskusję do TVP, Polsatu, TVN 24 ukraińskich publicystów i politologów? Najwięcej by nam użytecznych informacji dostarczyli ludzie w rodzaju prof. Wiatrowycza, dlaczego nie daje się mu przemówić do nas własnym głosem? Streszczenia jego poglądów mogą być stronicze i niewiarygodne. Polaków z pewnością by zainteresowało oświecenie przez politologów ze Lwowa i Kijowa rozszerzającego się kultu Bandery i UPA, polscy dziennikarze nie chcą, a może nie potrafią nic interesującego na ten temat napisać. Tak zwani ludzie kultury, przeważnie niższego szczebla, robią, co mogą, aby przybliżyć Polakom ukraińskie tematy, ale cóż oni mogą? Ja wiem, że czołowa

człowiekiem religijnym? Nie wiem, pod tym względem życie nie poddało mnie próbie, jeśli taka w ogóle jest możliwa.

Talleyrand mówił, że religia poza murami świątyni jest polityką. Gdyby dodał prawdziwie i banalnie, że i w świątyni bywa polityka, popsułby sobie aforyzm. My w Polsce wiemy, że polityka może się mocno zasiedzieć w świątyniach, tuż przy ołtarzach. Co więcej, wiemy, że polityka, ta spoza świątyni, w Polsce przekształcała się czasem w religię, ową gnozę narodową nie do wypalenia.

Z okazji jakiegoś sporu o przeznaczenie spadku niemieckiego proboszcza dla kościoła w Berlinie, w którym odprawiano modły w języku polskim, Carl Schmitt powiedział: „Polacy wszystko upolityczniają”. Nie wystarczył im kościół katolicki, musiał być polski.

Najbardziej aktywne kręgi rusofobiczne nie potrafią ukryć przyjemności, jaką im sprawił „topos” przyznający „autokefalię” ukraińskiemu prawosławiu. Nareszcie Poroszenko będzie mógł rzucać klątwę na Putina! Co dla Polaków znaczy ta pierestrojka na szczytach wschodnioeuropejskiego prawosławia? Czy nie pamiętamy roli, jaką prawosławie, a także wyznanie greckokatolickie odegrały w rzeziach wołyńskiej i wschodniogalicyskiej? Jeżeli nawet święcenia siekier nie było, to zostało ono realistycznie wymyślone. Religia w tym kraju jest ostoją nacjonalizmu, jego egzaltowaną postacią. Neobanderyzm nie stanie się dzięki autokefalii umiarkowany. Religia, jak wiadomo, stoi na cudach; niezależnie w jakiej „przestrzeni kanonicznej” się mieści, z nacjonalizmu potrafi czynić cnotę.

PERŁY I PLEWY 2018

Największą naszą porażką był... największy sukces, czyli odkrycia i wysyp chał w kulturze

Ostatni rok w polskiej kulturze był ciekawy. Z jednej strony, mieliśmy wielkie międzynarodowe sukcesy polskich twórców, takich jak Olga Tokarczuk czy Paweł Pawlikowski, z drugiej – bezprzykładne niszczenie instytucji, zespołów i inicjatyw kulturalnych przez... Ministerstwo Kultury. Minister Gliński już teraz uznawany jest przez wielu za największego od dekad szkodnika w rodzimej kulturze. Nie wykorzystano też kulturalnego potencjału wydarzenia, jakim było stulecie niepodległości.

Zapytaliśmy ekspertów i ludzi obcujących z kulturą na co dzień, co z naszego rocznego dorobku utkwiło im w pamięci, co się wydawało perłą, a co plewą.

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA,

pisarka, nominowana do Man Booker International Prize

PERŁY

Dla mnie ważnym wydarzeniem był festiwal literacki Frontera w Łucku – mogłam podróżować przez Wołyń do Łucka i byłam pod wrażeniem tego, że mimo wojny hybrydowej literaci w tym kraju spotykają się, próbują ratować dobre stosunki polsko-ukraińskie, organizują festiwal literacki na tak wysokim poziomie. To prawdziwa literatura ponad podziałami. Rok 2018 będzie mi się kojarzyć z powstaniem magazynu „Pismo”, wydaniem „Ucha igielnego” Myśliwskiego i nagrodą Bookera dla Olgi Tokarczuk.

PLEWY

Najgorsza decyzja minionego roku to nieprzyznanie dofinansowania „Dwutygodnikowi”. Byłam też zdegustowana sprawą cenzury Instytutu Książki. Otrzymałam korespondencję, która potwierdzała działania cenzury, w tym wykreślanie artystów i wątków homoseksualnych z katalogów promujących Polskę na zagranicznych targach książki. Niepokojącym symptomem jest wybieranie laureata Nike nie spośród powieści. Zbyt szeroki wachlarz gatunkowy szkodzi tej ważnej nagrodzie.

WOJCIECH CHMIELARZ,

pisarz, autor kryminałów

PERŁY

Sukcesem, który oczywiście wynika z pracy wielu poprzednich lat, jest liczba i intensywność festiwali literackich w Polsce. I tych gatunkowych jak Międzynarodowy Festiwal Kryminału, i tych poświęconych literaturze pięknej. Wspaniałe jest to, że sporo takich imprez odbywa się w mniejszych miejscowościach, czego przykładem są Góry Literatury w Nowej Rudzie i okolicach oraz Festiwal Stolica Języka Polskiego w Szczecinie.

PLEWY

Porażką roku jest zmiana rozliczania spotkań autorskich w bibliotekach. Do tej pory robiono to na podstawie umo-



Laureatka Bookera Olga Tokarczuk z tłumaczką Jennifer Croft.

wy o dzieło. Teraz bibliotekom każe się to robić na podstawie umów-zleceń, co wiąże się z wieloma komplikacjami i w rezultacie uniemożliwia lub utrudnia części pisarzy uczestnictwo w takich spotkaniach. Zainteresowanych odsyłam do listu otwartego, który na ten temat napisali do Ministerstwa Kultury i Instytutu Książki twórcy i ilustratorzy literatury dziecięcej.

ELŻBIETA SICZEK,

doktor muzykologii, dyrygentka chóru Camerata Varsovia

PERŁY

Z pewnością perłą było wydarzenie, które polską kulturę wspaniale eksponowało w Europie, czyli wykonanie „Pasji wg św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego z udziałem Montreal Symphony Orchestra i Warszawskiego Chóru Chłopięcego pod dyрекcją Kenta Nagano na Salzburger Festspiele.

PLEWY

Co do plew... w kontekście stulecia niepodległości wydaje się, że wśród rozlicznych wydarzeń zabrakło spójnej koncepcji prezentacji naszego muzycznego dorobku. Działo się bardzo dużo, pojawiały się rozmaite inicjatywy, ale zrobił się taki szum, że trudno było znaleźć punkty kulminacyjne, oprócz koncertu na Stadionie Narodowym, który miał program z gatunku miszmasz.

MICHAŁ ZDUNIK,
poeta, dramaturg, reżyser, eseista

PERŁY

Sukcesami w polskiej kulturze 2018 r. były bez wątpienia wielkie osiągnięcia naszego kina i wspaniałych dzieł: „Zimnej wojny” Pawła Pawlikowskiego i „Komunii” Anny Zameckiej. Bardzo cieszy fakt, że krajowy film stał się rozpoznawalną i cenioną marką. Z radością przyjąłem poza tym „Ucho igielne” Wiesława Myśliwskiego i zbiór „Wiersze wybrane” Tomasza Różyckiego. To w obu przypadkach znakomita, modernizująca literatura, która nie udziela prostych odpowiedzi, ale zadaje nierozwiązywalne pytania.

PLEWY

Jako czynnemu reżyserowi i dramatopisarzowi nie wypada mi mówić o porażkach czy niepowodzeniach innych, ponieważ jest to niejako wpisane w sam proces artystyczny. Zmartwiła mnie jednak sytuacja instytucjonalna, mianowicie nierozstrzygnięty konkurs na stanowisko dyrektora w Instytucie Teatralnym. Wielka szkoda, że nie przedłużono kadencji Dorocie Buchwald, bo była to gwarancja sprawnej i merytorycznej pracy tej zasłużonej jednostki.

ANNA KRÓL,

pomysłodawczyni Big Book Festival, pisarka i promotorka kultury

PERŁY

Do historii przejdzie kampania promocyjna „Ślepnąc od świateł”, serialu, do którego scenariusz napisał Jakub Żulczyk. Podobną skalą działań popisał się Netflix. Oryginalny serial „1983” wyreżyserowany m.in. przez Agnieszkę Holland był jednym z najważniejszych wydarzeń branży.

Literacko – ten rok należał do kobiet. Wspaniałe książki napisały dwie świetne reportażystki, Katarzyna Surmiak-Domańska („Kieślowski. Zbliżenie”) i Magdalena Grzebałkowska („Komeda. Osobiste życie jazzu”). W obu przypadkach to książki świetnie napisane literacko, ale również doskonale udokumentowane. Na uznanie zasługuje odważna i kontrowersyjna książka Joanny Ostrowskiej „Przemilczane” o przymusowej pracy seksualnej podczas II wojny światowej. Ze wspaniałym tekstem powróciła Małgorzata Rejmer. Jej „Błoto słodsze niż miód” to efekt kilkuletniego pobytu w Albanii. Dawno nikt tak pięknie i niebanalnie nie pisał o cierpieniu, przeznaczeniu i trudnej miłości do ojczyzny.

W teatrze doceniam produkcję „Wyjeżdżamy” w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego (Nowy Teatr) – o nieoczywistych relacjach i współczesności, która bywa tak rozczerwawiająca. Ciekawe rzeczy działy się w jednym z najbardziej ostatnio aktywnych społecznie teatrów Warszawy – Powszechnym. Wśród najciekawszych spektakli wymieniałabym „Bachantki” przygotowane przez reżyserkę Maję Kleczewską i dramaturga Łukasza Chotkowskiego.

Interesujące było również to, co się dzieje na pograniczu teatru i codzienności. Wydarzenia ulotne, jednorazowe, przybierające często model performance’u. Takie były przygotowane przez TR Warszawa performatywne czytanie „Innych ludzi” Doroty Masłowskiej na placu Defilad oraz stand-upy literackie z udziałem pisarzy w Big Book Cafe, w których wzięli udział m.in. Wojciech Kuczek, Zośka Papużanka, Mariusz Czuba czy Natalia Fiedorczuk-Cieślak.

Bardzo ciekawe płyty wydali Leski, Aga Zaryan i Dawid Podsiadło. Każdy z tych twórców szukał nowych brzmień i rozwiązań. Leski, znany dotychczas z delikatnego indie rocka, tym razem eksperymentował z elektroniką i melodiami nawiązującymi do brzmienia lat 80. Na szczególne uznanie zasługują jego teksty. Płyta „Miłość. Strona B” pokazuje świat bez lukru.

PLEWY

Największymi plewami było zamieszczenie wokół dwóch ważnych tytułów: „Dwutygodnika” od dekady mądrze opisyującego polską kulturę i sztukę oraz „Zeszytów Literackich” – pisma, które zostało zamknięte, a które pokoleniom humanistów kojarzy się z literaturą najwyższych lotów.

Porażką jest też milionowa publiczność na filmach Patryka Vegi („Botoks”, „Kobiety mafii”), który po kilku niezłych produkcjach ostatnich lat postanowił udowodnić, że Polacy kochają kino klasy C.

Do plew należy także debiutancka książka Blanki Lipińskiej „365 dni” i towarzysząca jej kampania promocyjna. Tekst będący, według jego autorki, polską odpowiedzią na fenomen „Greya” to produkt książkopodobny, kolejny, który nie poprawi gustu literackiego Polaków.



Krzysztof Penderecki na festiwalu w Salzburgu.

I plewa instytucjonalna, czyli pomysł ministra kultury połączenia państwowych studiów i wytwórni filmowych, by rzekomo poprzez centralizację zwiększyć budżet przeznaczony na produkcje filmowe.

WOJCIECH KUCZOK,

pisarz, dramaturg i eseista

PERŁY

Moje zachwyty roku to powieść Zyty Rudzkiej, rap-poemat Masłowskiej i znakomita większość Bieńczyko- ▶

►wego „Kontenera”. Sukces roku to frekwencja „Kleru” i jej wymiar społeczno-kulturowy. Totalna bezradność prawackich mediów wobec siły rażenia tego dzieła dała mi wiele uciechy.

PLEWY

Porażką kulturalną roku, a nawet 30-lecia, jest ministerstwo kultury narodowego Gliniński z wszystkimi jego działaniami. Od czasów Janusza Wilhelmińskiego nie było w żadnym rządzie, także komunistycznym, tak zajadłego resortowego szkodnika.

JAŚ KAPELA,

poeta, pisarz, troll i performer

PERŁY

Dla mnie wielką perłą 2018 r. była Bella Ćwir. Dla jednych wulgarna i wyzywająca, dla drugich brawurowa i awangardowa. Po prostu cudowna i kochana. Trashowa i queerowa postać Belli Ćwir podbija niszowe rejony internetu od czasu pierwszego przeboju „Dupsko”, ale w 2018 r. jej kariera nabrała tempa. Pierwsze koncerty w Warszawie, materiały w głównym wydaniu TVP, występy na pokazach mody, wywiady dla „KMaga” czy „Dwutygodnika”. I kolejne przeboje. Jak nie słyszeliście, to sprawdźcie. Takich artystek w Polsce potrzebujemy.



Nagrządzany dokument „Komunia” w reżyserii Anny Zameckiej.

PLEWY

Plewą była sprawa „Dwutygodnika”. Aż dziw, że ekipie Glinińskiego tyle czasu zajęło dostrzeżenie, że na łamach finansowanego przez niego pisma nie ma żadnej wysokiej kultury ani tym bardziej dziedzictwa narodowego. Tylko komiksy, lewactwo i koniec świata. Nic dziwnego, że Ministerstwo Kultury, szermując hasłami, że konieczne jest „zainteresowanie młodych ludzi literaturą współczesną, która nie funkcjonuje w obiegu komercyjnym”, oraz istnienie czasopisma, w którym „promowani będą autorzy wartościowych, ambitnych utworów literackich i innych dzieł kultury, a czytelnicy dostaną narzędzia i materiał do tego, by móc je rozumieć i interpretować”, cofa dotacje „Dwutygodnikowi”. Co prawda, nie znam w Polsce innego medium, które by równie dobrze jak „Dwutygodnik” realizowało cytowane cele, ale najwyraźniej autorzy są źli, a interpretacje jeszcze gorsze. Na miejsce „Dwutygodnika” MKiDN powołuje papierowy „Napis”, z naczelnym Józefem

Marią Ruszarem. Dzięki innowacyjnej szacie graficznej bazującej na estetyce późnych lat 90. i wysyłce 7 tys. egzemplarzy pisma do bibliotek raz na zawsze zostanie zażegnane ryzyko, że „wiersze Herberta, Miłosza czy Szymborskiej nie będą w pełni zrozumiałe”. Co spędza sen z powiek redaktora naczelnego Ruszara.

OLGA BYRSKA,

krytyczka sztuki i literatury

PERŁY

Perłami są, moim zdaniem, małe wydawnictwa tworzone przez pasjonatów, które wydają świetną literaturę i stopniowo przykuwają coraz większą uwagę czytelników oraz krytyków, a także liczne filmy i serie rodzimej produkcji, na temat których toczą się zażarte dyskusje wychodzące daleko poza obiegi medialny.

PLEWY

Plewą roku 2018 była przede wszystkim polityka MKiDN wobec szeroko pojętych instytucji kulturalnych. Zakochanie finansowania „Dwutygodnika”, skandaliczny proces (nie)wyboru dyrektora lub dyrektorki Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszeńskiego, wyrzucenie przez nowego – z nadania Piotra Glinińskiego – dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie jego wicedyrektora Piotra Rypsona to tylko kilka faktów. Ręczne sterowanie ministerstwa wprowadza zmiany tam, gdzie instytucje rzeczywiście wypełniają misję kulturotwórczą. Jednocześnie MKiDN skupia się na wydawaniu pieniędzy na budowę nowych muzeów i infrastruktury kulturalnej wzmacniającej ich narrację historyczną, podczas gdy od 10 lat prace w instytucjach kultury im podległych są zamrożone, a ludzie w nich pracujący ledwo wiążą koniec z końcem.

JAKUB MAJMUREK,

krytyk filmowy, publicysta

PERŁY

Największym sukcesem w polskiej kulturze był kolejny świetny rok polskiego kina. Z jednej strony, „Kler” okazał się największym hitem wyświetlanym w Polsce w XXI w., z drugiej, wraz z „Zimną wojną” polskie kino wróciło do gry o najważniejsze nagrody filmowe. Za kinem po raz pierwszy poszła też telewizja, w 2018 r. doczekaliśmy się jednego naprawdę dobrego polskiego serialu, „Rojst”, i jednego bezsprzecznie wielkiego – „Ślepnąc od świateł”. W sztukach wizualnych warto było zwrócić uwagę na takie wystawy jak „Czym jest oświecenie” w warszawskim MSN oraz „Awangarda i państwo” w łódzkim MS. Obie to przykład rzetelnej, erudycyjnej kuratorskiej roboty, która potrafi sięgnąć po klasyczne obrazy, by ułożyć z nich gęsty esej wizualny na temat historii i współczesności.

PLEWY

Kłęską była na pewno cała polityka kulturalna „dobrych zmian”. „Dobrozmianowcy” w kulturze nie potrafią zrobić nic własnego, czego zaś się dotkną – zniszczą. W tym roku mieliśmy kolejne zmarnowane sezony w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie i Teatrze Polskim we

Wrocławiu. Pod koniec roku władza wchodzi do Instytutu Teatralnego, wycofuje się ze wsparcia dla „Dwutygodnika” i zapowiada budowę superwytwórni filmowej. Dla kultury to katastrofa i trudno sobie wyobrazić jej rozmiary, gdyby rządy PiS miały trwać jeszcze cztery lata.

MONIKA MAŁKOWSKA,

krytyczka sztuki, dziennikarka i publicystka kulturalna

PERŁY

Niewiele było wystaw, które zapadną w pamięć na dłużej, na lata... Do takich należy wspaniała i rewelacyjnie zaprojektowana ekspozycja obrazów Wojciecha Fangora w Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia w Radomiu. To był wypas dla oczu! Niewątpliwie najpiękniejsza z dotychczasowych prezentacji sztuki tego artysty zmarłego jesienią 2015 r. Cudem też była przedłużona na życzenie publiczności (*sic!*) retrospektywa „polskiego Japończyka” Kojiego Kamojiego w Zachęcie. „Cisza i wola życia” naprawdę dawała wolę życia, czy raczej współżycia – ze sztuką. Oraz ciszę – wewnętrzną. Taką dobrą ciszę, otwierającą na spotkania z nowymi światami. Z rzeczy mniejszych, niejako pobocznych, podobała mi się rzeźba „Ochse” (baśniowy zwierz – ni to jednorożec, ni byk, ni kozioł – którego można było dosiadać) Pawła Althamera przedstawiona podczas Warsaw Gallery Weekend w Fundacji Galerii Foksal. A żeby mieć skalę porównawczą – wystawą życia (tak ją reklamowano: „jedyna

taka w życiu”) była monografia Pietera Bruegla w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum, zorganizowana w związku z 450. rocznicą śmierci niderlandzkiego mistrza. No ale w tym wypadku koszty własne muzeum w dużej mierze zwrócić się dzięki sprzedanym biletom.

PLEWY

Największą naszą porażką był... największy sukces, czyli odzyskanie niepodległości po 123 latach niebytu państwa polskiego. Z rocznicowych powodów (i z finansowym wsparciem instytucji oraz decydentów – no bo jak odmówić na tak zbożny cel?) nastąpił wysyp chał. Większość wystaw została wpisana do rozdzielnika „Niepodległa” i dofinansowana, jak na cud (nad Wisłą) przystało. Z wystaw „pod rocznicę” nic nie zachwycało – bo było dęte ideologicznie i cieniotkie artystycznie. Bo skąd brać arcydzieła, skoro było tego kilka na krzyż, a pokazów – dziesiątki? Niestety, Katarzyną Kobro i Władysławem Strzemińskim nie da się obkoczyć całego kraju z zagranicą (Paryżem) włącznie. Wszelkobecne wizerunki Piłsudskiego – czy to malowanego, czy fotografowanego, czy rzeźbionego – też jakoś nie poruszają intelektualnie ani nie dają powodów do dumy wykrzesanej z ognia twórczego, który rzekomo wybuchł w międzywojniu. Sumując: obchody stulecia odzyskania niepodległości zaowocowały sztampą. Jakby tych stuleci było na kopy...

Notował Rafał Pikuta

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOLA more than just music



LEGENDY BARDÓW XX WIEKU

ŻUKOWSKA - KORYCKI
NOWAK - SNOKOWSKI ORKISZ

10.02 | STODOŁA, WARSZAWA



LOREENA MCKENNITT

27.03 | ICE KRAKÓW
28.03 | DMIT ZABRZE



VOO VOO

14.04
STODOŁA, WARSZAWA



THE MYSTERY OF THE BULGARIAN VOICES FEATURING LISA GERRARD

10.06 | STODOŁA, WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA
(ul. Batorego 10, Warszawa)



Popularność ultrapravicowej włoskiej Ligi w mediach społecznościowych stworzył jej lider Matteo Salvini, dziś wicepremier i minister spraw wewnętrznych.

PRAWICA, KRÓLOWA INTERNETU

Media społecznościowe, niszowe serwisy informacyjne, transmisje na platformach wideo – w europejskiej sieci prawica dominuje

Mateusz Mazzini

Do tezy, że internet wygrywa dziś wybory, nie trzeba przekonywać już nikogo. Wystarczająco silnych dowodów na jej poparcie dostarczyły poprzednie wybory prezydenckie w USA. Niemal od początku kadencji Donalda Trumpa regularnie napływają wiadomości o farmach prorepublikańskich rosyjskich trolli, fałszywych informacjach kolportowanych za pomocą dziur w systemie bezpieczeństwa platform społecznościowych czy prywatnych przedsiębiorstwach oferujących usługi manipulacji doniesieniami medialnymi w sieci. Pod tym względem Europa pozostawała daleko w tyle, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Poza sporadycznymi doniesieniami o włamaniach hakerów i skandalem z firmą Cambridge Analytica, która miała mieć spory wpływ na przekaz medialny w czasie debaty brexitowej, do tej pory na Starym Kontynencie o polityce rozgrywanej się w sieci było raczej cicho. W dużej mierze wynika to jednak z podstawowej różnicy, jeśli chodzi o internetowy układ sił. Europejska prawica nie

musi się uciekać do fałszywych informacji, trolli czy ataków hakerskich. Wystarczy jej używanie dostępnych kanałów komunikacyjnych w sposób jak najbardziej tradycyjny – i tak nie ma w tym konkurencji. Jak widać na przykładach z Hiszpanii, Węgier, Włoch czy Polski, prawica w europejskim internecie króluje niepodzielnie.

Partię VOX w Hiszpanii założyło w 2013 r. pięciu uciekinierów z nie najlepiej radzącej sobie wówczas i targanej skandalami korupcyjnymi postfrankistowskiej Partii Ludowej (PP). VOX długi czas znajdował się na odległym marginesie hiszpańskiej polityki, aż w ubiegłym roku nadszedł przełom. W wyborach samorządowych partia zdobyła pierwsze cztery burmistrzostwa, wprowadziła też 13 deputowanych do parlamentów regionalnych. W skali kraju popiera ją średnio 3-5%, co sytuuje VOX na granicy progu wyborczego. Najwięcej zwolenników ma w południowej Andaluzji, gdzie chęć głosowania na nową siłę prawicy deklaruje ok. 11% wyborców. Podstawowym postulatem partii jest drastyczne ograniczenie imigracji do Hiszpanii. Z tej pozycji krytykuje ona nie tylko swój macez-

nik, Partię Ludową, ale przede wszystkim silnie proimigranckie hiszpańskie centrum i lewicę, czyli Ciudadanos, Partię Socjalistyczną (PSOE) i Podemos. Z pozoru zatem VOX jest po prostu kolejnym nacjonalistycznym ugrupowaniem, których w Europie przybywa w ostatnich latach błyskawicznie. Jednak hiszpańską formację wyróżnia źródło jej sukcesu – bardzo skuteczna kampania internetowa. VOX był pierwszą (w 2016 r.) hiszpańską partią, która założyła konto na Instagramie. Dziś ma w tym serwisie ponad 150 tys. śledzących, o 60 tys. więcej niż drugie w rankingu Podemos i ponad dwa razy więcej (!) niż i tak popularna w hiszpańskim internecie partia Ciudadanos, popierana przede wszystkim przez wielkomiejską klasę średnią, a więc osoby spędzające w sieci relatywnie najwięcej czasu. Na Facebooku również radzi sobie imponująco. Wprawdzie znacząco przegrywa z Podemos (niecałe 300 tys. fanów VOX wobec 1,2 mln w przypadku Podemos), ale strata do Ciudadanos jest już dużo mniejsza (niecałe 100 tys. polubień). Ważne jest natomiast, że VOX zostawia w tyle tradycyjne partie hiszpańskiego

duopolu – PSOE i przede wszystkim PP, czyli głównego rywala w walce o prawicowy elektorat.

Skąd się wzięła ta internetowa popularność? Pytanie jest o tyle zasadne, że sukces VOX na platformach społecznościowych zrodził się stosunkowo niedawno. Według danych firmy Prisa News, monitorującej ruch w hiszpańskim internecie, liczba fanów partii we wszystkich serwisach wzrosła w samym 2018 r. o 27%, co jest zmianą wręcz skokową. Klucz do popularności tkwi w prostocie i regularności przekazu. Manuel Mariscal, odpowiedzialny w partii za prowadzenie komunikacji w mediach społecznościowych, mówi w wywiadzie dla dziennika „El País”, że powolna śmierć tradycyjnych mediów stworzyła miejsce dla kanałów partyjnych: „Nikt już nie ufa tradycyjnym tytułom. Zamiast dawać wywiady do telewizji i gazet, którym nasi wyborcy i tak nie wierzą, postanowiliśmy sami przekazywać im informacje”. W ten sposób działacze nie tylko docierają do odbiorców bezpośrednio, ale też pozwalają im współtworzyć partyjną narrację. Na kontach VOX w mediach społecznościowych pełno jest bowiem krótkich, maksymalnie kilkudziesięciosekundowych filmików właśnie z wyborcami w roli głównej. Opowiadają oni o swoich problemach, głównie natury ekonomicznej. Zwracają uwagę na bezrobocie, nierówny dostęp do przywilejów społecznych, wykluczenie, zanik tradycyjnych wartości i roli rodziny. Filmy te, choć na pozór

być dużo, ale niezbyt długiej i skomplikowanej. Dlatego często korzysta z opcji tzw. historii na Instagramie i Facebooku. To opcja wyświetlania fanom obrazów i filmów, które znikają po 24 godzinach. Co ciekawe, aż 68% zwolenników VOX w mediach społecznościowych to kobiety. W ten sposób nowa hiszpańska prawica przeczy stereotypowi ugrupowania popieranego przede wszystkim przez mężczyzn.

Na podobnych zasadach swój sukces we Włoszech zbudowała ultrapravicowa Liga, dawniej znana jako Liga Północna. Jej popularność w mediach społecznościowych stworzył

podzielił on swoją służbę prasową na osobnych rzeczników dla mediów zagranicznych i krajowych, ale także był jednym z pierwszych polityków w krajach byłego obozu socjalistycznego, którzy zatrudnili w niej na stałe osoby odpowiedzialne za platformy społecznościowe. W przypadku Orbána najważniejsza jest spójność przekazu. Jak pisze w swojej analizie Sophie Schmalenberger z think tanku medioznawczego Mérték, wizerunek premiera Węgier jest niezmiennie oparty na tradycji i patriotyzmie. Zdjęcia publikowane na osobistych i partyjnych kontach pokazują Orbána jako męża stanu, z powagą i godnością

Prawica nie musi się uciekać do fałszywych informacji. Wystarczy, że używa dostępnych kanałów komunikacji.

przede wszystkim lider Matteo Salvini, dziś wicepremier i minister spraw wewnętrznych. Salvini był jednym z pierwszych włoskich polityków używających opcji transmisji na żywo do przyjmowania komentarzy od wyborców i odpowiadania na ich pytania. Robi to zresztą do dzisiaj, nierzadko rozmawiając na tematy niezwiązane z polityką, takie jak piłka nożna. W dodatku jeszcze w czasie kampanii transmisje prowadził w zupełnie nieformalny sposób, spacerując czy siedząc we własnym mieszkaniu. Mocno kontrastował w ten sposób chociażby z byłym premierem Matteo Renzim, który jeśli już pojawiał się w mediach społecznościowych, robił to zawsze na tle biblioteki pełnej opasłych tomów, zza ciemnego, ciężkiego biurka, podkreślając dystans dzielący go od elektoratu. Salvini jest jego przeciwnieństwem. Nie tylko regularnie dostarcza treści liczącemu ponad 3,3 mln osób gronu fanów na Facebooku, ale też dyskutuje w komentarzach, otwarcie polemizuje. Co najważniejsze, nie zmienił strategii po wejściu do rządu, dzięki czemu pozostaje najpopularniejszym politykiem we włoskim internecie.

Nieco inne, dużo bardziej zinstytucjonalizowane podejście do aktywności internetowej ma Fidesz Viktora Orbána. Struktura jego korpusu prasowego świadczy o tym, jak ważne dla premiera Węgier są internet i świat mediów. Nie tylko

reprezentującego Węgry podczas zagranicznych wizyt czy pracy w jego gabinecie. Na fotografiach regularnie pojawiają się symbole narodowe i budynki rządowe, co ma pokazać, że Orbán pracuje dla Węgier nieustannie, zawsze i wszędzie. W połączeniu z faktem, że niemal wszystkie tradycyjne media w kraju są już w mniejszy lub większy sposób kontrolowane przez Fidesz, daje to gwarancję tworenia nieskazitelnego, patriotycznego wizerunku premiera.

Dlaczego zatem w Europie prawica jest tak skuteczna w internecie, że swobodnie radzi sobie bez hakerskich włamań? Dużo w tym winy europejskich liberałów, którzy rozwój mediów społecznościowych zwyczajnie przespali. Podczas gdy w USA Barack Obama już w 2008 r. opierał kampanię na platformach internetowych i płynących z nich danych, na Starym Kontynencie wiele centrowych i lewicowych partii do dziś nie umie skutecznie zbudować wizerunku w sieci. W tej chwili strata do prawicy zdaje się tak duża, że trudno sobie wyobrazić jej nadrobienie. Jedyną nadzieją dla obozu liberalnego może być zjawisko, które politolog David Runciman z Uniwersytetu Cambridge nazywa „masowym wylogowaniem się”. Przyszłe pokolenia wyborców, zmęczone nieustannym pobylem w sieci, powrócą według niego do realnego życia. Zanim jednak to się stanie, media społecznościowe niemal na pewno pozostaną królestwem prawicy. ■

Europejscy liberałowie rozwój mediów społecznościowych zwyczajnie przespali.

kręcone w sposób zupełnie amatorski, są jednak profesjonalnie edytowane i obrabiane. Udział wyborców, ludzi „z sąsiedztwa”, połączony z pozornie nieprofesjonalną edycją, ma nadać partyjnemu przekazowi autentyczność. A ta, jak wiadomo, jest główną kartą przetargową nowej europejskiej prawicy. Bliskość społeczeństwa, zerwanie z elitami, brak mechanizmów filtrujących kandydatów, również tych do wystąpienia w partyjnych kanałach komunikacyjnych – VOX z zasad funkcjonowania współczesnego prawicowego populizmu czerpie garściami. W dodatku doskonale wie, jak działa internet – treści w nim musi

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

SZWABSKI SZERYF

Boris Palmer jest coraz mniej lubiany
w partii Zielonych, za to coraz głośniej wychwalany
przez mieszkańców Tybingi

13 listopada 2018 r., centrum Tybingi. Spacerując po starówce, Arne Güttinger spotyka przypadkowo burmistrza miasta, Borisa Palmera. 33-letni student pedagogiki nie należy do sympatyków polityka Zielonych i ośmiela się powiedzieć na głos: „O nie, znowu on... A taki miałem fajny dzień”. Palmer czuje się zaatakowany, wyciąga więc swoją legitymację, upoważniającą go jako burmistrza także do wykonywania czynności policyjnych, i pyta o dane rzekomego napastnika. Güttinger odmawia odpowiedzi i dochodzi do kłótni. Sprawa z pewnością rozeszła się po kościach, gdyby rozjuszony student nie poszedł nazajutrz do redakcji lokalnego dziennika „Schwäbisches Tagblatt” i jej nie nagłośnił. Tym razem już chętnie podał nazwisko. Przeczytawszy artykuł, Palmer nie odpuścił i nałożył na Güttingera mandat za „zakłócenie ciszy nocnej”. Następnie student oskarżył burmistrza o niepotrzebne zmuszanie go do „złożenia zeznań”. Wymiana ciosów między nieznanym dotąd mieszkańcem Tybingi a jej burmistrzem była w całym kraju szeroko komentowana, a prawnicy zastanawiali się, kto miał rację.

Doniesienia prasowe z kolejnych tygodni ściągnęły na Palmera falę kpin, a w berlińskich gazetach pojawiało się określenie „zaciętrzewiony szwabski szeryf” (przymiotnik *schwäbisch* w niemieckim nie jest pejoratywny, odnosi się po prostu do krainy należącej częściowo do Badenii-Wirtembergii, Szwabii – przyp. red.).

Gromy spadły na Palmera również ze strony kolegów z Die Grünen. Natomiast w lokalnych mediach niemal wszyscy redaktorzy wystąpili w obrobie burmistrza, atakując z kolei „bezczelnego studenta” i gazetę, która go wsparła. To listopadowe wydarzenie i jego medialne pokłosie wiele mówi o różnicach w postrzeganiu burmistrza w jego mieście i poza nim.

WYSZCZEKANY BURMISTRZ

Na zarzuty, jakoby „Schwäbisches Tagblatt” chciał zaszkodzić Palmerowi, redaktor naczelny Gernot Stegert odpowiedział: „Przecież ja też lubię naszego burmistrza. Uważam, że

ma talenty, i chciałbym, żeby pełnił swoją funkcję jak najdłużej. Dlatego tak mi przykro, że w innych miastach nieustannie się kompromituje”. W istocie Palmera można nazwać dostarczycielem krzyczących nagłówków. Co jakiś czas lubi kogoś sprowokować albo do siebie zniechęcić. Jesienią zeszłego roku podpadł berlińczykom. „Jako »zielony Badeńczyk« nie widzę w stolicy Niemiec niczego atrakcyjnego. Na berlińskich ulicach panują przestępczość, handel narkotykami i przygnębiająca bieda. Nie chciałbym mieć takich warunków w Tybindze”, tłumaczył w wywiadzie dla DPA. Wielu komentatorów uważa, że najpóźniej wtedy polityk Zielonych pozbawił się możliwości zrobienia kariery w Berlinie.

Być może jednak wcale nie chciał jej robić. W Tybindzie i Szwabii ludzie go kochają, w jego prowokacjach dostrzegają zaś wyłącznie odwagę i prostolinijność. W oczach

nie dokumentując sytuacji podobne do tej z listopada. Fotografuje osoby, które według niego weszły w kolizję z prawem, lub podaje numery rejestracyjne pojazdów, których kierowcy źle zaparkowali. Nie waha się przed krytykowaniem imigrantów, odbiegając tym samym od linii swojej partii. „Dla afrykańskich gwałcicieli nie będzie w naszym kraju taryfy ulgowej”, oznajmił zeszłego lata. Nic dziwnego, że swego czasu Palmer zdobył na uniwersytecie tytuł „najbardziej wyszczerzanego” studenta.

SOJUSZ Z AfD?

Nic tak nie denerwuje Palmera jak zarzuty, jakoby przejmował rasistowską retorykę Alternatywy dla Niemiec (AfD). „Uważam, że jest przeciwnie. Niemiecka prasa i politycy wiodących partii raczej bagatelizują ryzyko wynikające z niekontrolowanej migracji. I to

Boris Palmer: Jestem zielonym pragmatykiem, a nie idealistą.

wielu Palmer już teraz uchodzi za naturalnego sukcesora Winfrieda Kretschmanna, pierwszego premiera Badenii-Wirtembergii z ramienia Die Grünen. Choć czasem można odnieść wrażenie, że 46-letni polityk wzoruje się nie na Kretschmannie, tylko na populiście z Białego Domu. Chętnie atakuje ludzi, antagonizuje i podobnie jak Donald Trump czuje się niezrozumiany, po czym objaśnia swoje intencje w mediach społecznościowych. Na Facebooku ma ponad 42 tys. obserwatorów. Dziennik „Schwäbisches Tagblatt” może pomarzyć o tylu czytelnikach.

Palmer redaguje na FB własną „gazetę”, codziennie zamieszcza anegdoty, których jego zdaniem w normalnych mediach nie wolno publikować. Użytkowników zaskakuje co rusz nowymi zdjęciami ze swoich peregrinacji po Tybindzie, skrzęt-

dlatego wyborcy uciekają do skrajnej prawicy”, przekonuje. Berlińscy dziennikarze nie podzielają tej argumentacji, choć niekiedy żartują, że gdyby doszło do koalicji Zieloni-AfD, Palmer byłby doskonałym premierem. W każdym żarcie jest jednak ziarenko prawdy – propozycja Palmera przewidująca utworzenie w każdym kraju związkowym obozu dla karanych wcześniej uchodźców została ochoczo podchwyciona przez badeńską AfD i wniesiona do landtagu w Stuttgarcie. Jego książka „Nie możemy pomóc wszystkim” od miesięcy jest bestsellerem. Mimo że Palmer często bywa w swojej partii wyszydzany, może warto zadać pytanie, czy nie pragmatyzm takich ludzi jak on sprawia, że Zieloni zagospodarowali polityczne centrum, pokonując w niektórych landach SPD. „Jestem zielonym pragmatykiem, a nie ideal-



Burmistrz Tybingi stara się pokazać jako „swój chłop”. Na festynie wybił szpunt w beczce lokalnego piwa.

dzie o jeszcze jedną tekę – premiera całego kraju związkowego. „On na pewno otrzyma tę szansę, oby tylko ją wykorzystał”, martwi się Joachim.

Mimo częstych prowokacji Palmer nadal ma wśród Zielonych wielu zwolenników, a nawet lokalni krytycy nie odmawiają mu determinacji i skuteczności. Jeśli burmistrz nie wędruje po ulicach, to od 8.00 do 22.00 przesieduje w biurze w ratuszu, przy czym w godzinach wieczornych jego biurko oświetla tylko ekran komputera. „Wyłączam światło, bo szukam sposobów, aby oszczędzać prąd”, powtarza.

Pod jego egidą Tybinga przeistoczyła się z małego miasteczka uniwersyteckiego w badeńską Dolinę Krzemową. Jak grzyby po deszczu wyrastają na rubieżach miasta start-upy oraz inne innowacyjne projekty. Firma Amazon chce tu uruchomić swoje największe centrum naukowe na terenie Niemiec. Od 2007 r. powstało w Tybindze ponad 10 tys. nowych miejsc pracy. Przedsiębiorcy i ekonomiści cenią sobie łatwą komunikację z Palmerem. Burmistrz odpowiada ponoć na każdego SMS-a. „To człowiek czynu, on niczego nie owija w bawełnę”, zaznacza Joachim.

DO SZPIKU ZIELONY

Zresztą mimo antyimigranckich wypowiedzi Palmer przekonuje swoją polityką także wielu ekodziałaczy i tradycyjnych wyborców Zielonych.

stą. Nie przeszkadza mi, że osłabiały elektorat AfD”, zaznacza Palmer.

W Szwabii burmistrz Tybingi nie tylko dociera do wyborców Die Grünen, ale także przyciąga konserwatystów, którzy – jak to ujął – boją się o swoje córki. Ze względu na podobne wypowiedzi jest niepopularny choćby przez wielu studentów, czego przykładem była listopadowa sprzeczka z Güttingerem. Po tym jak burmistrz w maju 2018 r. publicznie naubił pewnego Afrykańczyka, który jechał po chodniku na rowerze („Azylanci nie powinni tak się zachowywać!”), odwróciło się od niego również wielu sprzymierzeńców z Zielonych i SPD. W wywiadzie dla „FAZ” Palmer wprawdzie pokornie przeprosił imigranta, ale zarzuty rasizmu odparł tyłem związłym, co nieprzekonującym: „Kierowałem się logiką, a nie rasizmem”.

„Boris jest bardzo zdolny, ale życzę mu, by czasami trochę odpuścić, bywał mniej spięty. To jego największa wada”, twierdzi Christoph Joachim, jeden z liderów badeńskich Zielonych. Jego zdaniem Palmer swoimi nieprzemyślanymi słowami co prawda przyciąga konserwatystów w Tybindze, ale odstrasza wyborców w mniejszych gminach, co może się odbić na sondażach całej partii. „Nie potrafię przesunąć swojego elektoratu z lewa na prawo tak szybko jak Palmer”, dorzuca Joachim radzi ponadto koledze, aby

czasem zastanowił się lub przepała, zanim wstawi coś do internetu.

CZŁOWIEK CZYNU

Boris Palmer urodził się w Waiblingen (niedaleko Stuttgartu) jako syn Helmuta Palmera, polityka legendy, który mimo że nie należał nigdy do żadnej partii, startował w sumie w 250 badeńskich okręgach wyborczych. Boris już jako dziecko towarzyszył ojcu w kampaniach i wiele się od niego nauczył. W latach 1993-1999 studiował matematykę i historię na uniwersytetach w Tybindze i w Sydney. Chciał zostać nauczycielem, ale zrezygnował z tych zamiarów, bo wygrał konkurs na stanowisko pracow-

W godzinach wieczornych, żeby oszczędzać prąd, biurko burmistrza w ratuszu oświetla tylko ekran komputera.

nika naukowego we frakcji Zielonych w Bundestagu. Szeregi tej partii, tyle że na lokalnym szczeblu, zasilili już jako student. W 2001 r. uzyskał mandat w stuttgartskim landtagu i powrócił do ukochanej Badenii, a sześć lat później został wreszcie burmistrzem Tybingi. Był wtedy stosunkowo młody (miał 34 lata), choć już wcześniej celował wyżej, ubiegając się, bezskutecznie, o fotel burmistrza Stuttgartu. Stolica Badenii nadal pozostaje na jego celowniku, lecz po wielu latach w Tybindze gra toczyć się bę-

W ostatnich latach Tybinga stała się rajem dla rowerzystów i kierowców samochodów elektrycznych, które można w wielu punktach miasta naładować. Natomiast każdy, kto chce tu wybudować dom, jest zobowiązany do częściowego zastosowania zasilania energią słoneczną. Emisja dwutlenku węgla w mieście ustawicznie spada, mimo że liczba mieszkańców rośnie. Kiedy Palmer wybrał sobie kiedyś mniej szkodliwy dla środowiska samochód służbowy produkcji japońskiej, ówczesny premier ▶

► Badenii, a dzisiejszy komisarz unijny Günther Oettinger nazwał go pół żartem, pół serio zdrajcą narodu. Na co burmistrz odparł: „Nie potrzebuję pojazdu, który ma 180 koni. Przecież przed nikim nie uciekam”.

Zresztą obecnie Palmer prawie wcale nie korzysta z samochodu, jeździ rowerem elektrycznym. Warto też zwrócić uwagę, że polityk należał do zdecydowanych przeciwników budowy podziemnego dworca Stuttgart 21, na krytyce którego wyrosło wielu zielonych, w tym sam premier Kretschmann. Dziś postawa liderów w tej kwestii wygląda nieco inaczej, jak zawsze, gdy po wygranych wyborach trzeba porzucić retorykę wiecową i zająć się do tego, co pozostawili poprzednicy w ratuszu. Niemniej jednak Palmer powtarza: „Jestem do szpiku zielony”.

Burmistrz zaskakuje konserwatywnymi poglądami nie tylko wtedy, gdy rozmowa z nim dotyczy drażliwego tematu uchodźców. W 2014 r. głośno skrytykował przerwanie doświadczeń na zwierzętach w Instytucie Maxa Plancka, nazywając uległość pracowników laboratorium wobec lewicowych działaczy regresem niemieckiej nauki. Swoją drogą, o czym wielu dziś zapomina, większość rodziny Palmera składa się z wyznawców poglądów chadeckich. Kuzyn Borisa Christoph Palmer jest aktywnym członkiem CDU, był także jednym z głównych architektów polityki Erwina Teufela, premiera Badenii w latach 1991-2005.

SPRZECIW LEWICY

Może dlatego burmistrz Tybingi uchodzi za gorącego zwolennika czarno-zielonych koalicji, czyli sojuszy z chadekami. Natomiast odrzuca już wszelkie układy polityczne z SPD, która niegdyś była naturalnym sojusznikiem, a dzisiaj dla badeńskiej frakcji Zielonych stała się co najwyżej kłopotliwą konkurentką. Konserwatywny Palmer należy również do przeciwników Wielkiej Koalicji, choć – co ciekawe – socjaldemokratów

krytykuje raczej z pozycji lewicowych. „Jeśli chodzi o energie odnawialne, lepiej, gdy Peter Altmaier rozmawia o tym z Jürgenem Trittinem niż z Sigmarem Gabrielem, który ulega wpływom lobby i chce dalej utrzymywać kopalnie węglowe”, oburzał się, gdy na początku 2018 r. nadzieje Zielonych na wejście do rządu federalnego okazały się płonne.

Warto się zastanowić, czy te poglądy od prawa do lewa można pogodzić. Czy można krytykować politykę migracyjną obecnego rządu RFN, wlewając zarazem otuchę w zielone i umiarkowane serca, oraz odgrywać niepoślednią rolę w układach z biznesmenami? Jak wiadomo, na rynku politycznych etykietek najbardziej pożądaną jest centryzm. Dorothea Kliche-Behnke z badeńskiej SPD uważa jednak, że walka Palmera o wyborców z wszystkich środowisk w ostatnich latach go zmieniła. Jej zdaniem burmistrz Tybingi coraz częściej nadmiernie się chwali swoimi rozległymi wpływami. Trudno też jej pojąć zacierzowanie, z jakim Palmer winę za złą prasę zrzuca na innych. „Boris Palmer przypomina mi dziś tragicznego bohatera, który zawsze chce mieć rację. Jego ostatnią kłótnię z Güttingerem uważam za punkt krytyczny w karierze”, ocenia działaczka SPD. Czy to tylko frustracja odrzuconego koalicjanta?

Faktem jest, że po lewej stronie sceny politycznej sprzeciw wobec Palmera nasila się. Na wielu słupach w Tybindze widnieją naklejki z napisem „AntiPa”, nazwą młodego ruchu, który coraz głośniej protestuje przeciw jego rządowi. Na niektórych murach pojawiły się też plakaty: „Niedojrzały. Nieokrzesany. Populistyczny. Palmer”. Burmistrz, który sporo czasu spędza na wędrownych ulicach, nie mógł ich nie zauważyć.

Wojciech Osiński

Rozum nie pozwolił abp. Gądeckiemu pójść na „Kler”. Ale tenże rozum nie przeszkodził mu krytykować filmu, którego arcybiskup – jak sam oświadczył – nie oglądał. Czy ten lub inny hierarcha obejrzy „Kler”, czy nie obejrzy, czy go skrytykuje po obejrzeniu, czy bez oglądania, problem pedofilii w Kościele istnieje i jest dostrzegany przez wiernych.

Kard. Nycz, skądinąd jeden z najsympatyczniejszych i najbardziej otwartych polskich hierarchów, powiedział, że świętość ma być odpowiedzią i reakcją na pedofilię w Kościele. Brzmi ładnie. Ale co naprawdę znaczy? Ci sami ludzie przestaną nagle być pedofilami, dręcząc ich parafie (dawniej nazywane zboceniami) odpuszczają, wygaśnię ich popęd seksualny? Ci, którzy wbrew zakazowi celibatu zaspokajali ten popęd w rozmaity sposób, nagle staną się wstrzemięźliwi i go przezwyciężą?

Wiara w zjawiska nadprzyrodzone jest istotą każdej religii. Ale gdy ksiądz kardynał chce pilnie stanąć przed obliczem Ojca Świętego w Watykanie, nie modli się, aby go tam przenieśli aniołowie, tylko rezerwuje bilet na samolot. Wiara we wszechmoc Boga nie wyklucza przecież racjonalnych działań praktycznych. „Panu Bogu trzeba pomóc”, mawiał jeden ze znajomych księży profesorów i nie czekając, aż nagle oświeci go Duch Święty, maszerował co rano do biblioteki.

Pedofilia w Kościele katolickim, a tak naprawdę rozmaite nadużycia seksualne, to przecież nie problem pojedynczych duchownych. Afery pedofilskie w Ameryce, Irlandii, Australii, Niemczech czy Polsce pokazują jednoznacznie, że jest to problem systemowy Kościoła. Jeśli rzeczywistość chce się go rozwiązać, trzeba „Panu Bogu pomóc”. Ale najpierw trzeba ten problem dostrzec. Nie rozwiąże się go, udając, że go nie ma, że to przypadki wymyślone przez wrogów Kościoła, a jeśli nie wymyślone, to najwyżej pojedyncze, w dodatku często wątpliwe. Nie mówiąc już o bijącej rekordy głupoty i obłądki wypowiedzi, że to dzieci uwodzą księży... Nie wystarczą nabożne zaklęcia i przepaszanie. Choć nawet na to niektórzy hierarchowie nie potrafią się zdobyć.

Człowiek jest dziki, człowiek jest zły.
O pogromie dzików czytaj w nowym numerze tygodnika „NIE”.



Z Galicji



Jan Widacki

ŚWIĘTOŚĆ ODPOWIEDZIĄ NA PEDOFILIĘ?

Jeśli nadużycia seksualne są wymysłem wrogów Kościoła, dlaczego w PRL, gdzie był postrzegany jako wróg numer 1, nie słyszało się o takich przypadkach? Dlaczego nikt ich nie nagłaśniał? W dodatku w sytuacji, gdy każdemu klerykowi już w seminarium zakładano teczkę, uzupełniając jej zawartość informacjami zbieranymi przez tajnych współpracowników, raportami funkcjonariuszy, informacjami z podsłuchów, obserwacji uroczystości kościelnych przez całe życie („przez cały okres posługi kapłańskiej”, jak powiedziano by w kościelnej nowomowie). Bezpieka dobrze wiedziała o wszystkich nadużyciach seksualnych duchownych, ale nie wykorzystywano tego propagandowo. Robiono z tego cenniejszy z punktu widzenia bezpieczeństwa użytek – wykorzystywano do szantażu przy werbunku tajnego współpracownika, a później do jego ewentualnego dyscyplinowania. Szło nieźle. Szacuje się, że w latach 80. status TW miało prawie 7 tys. osób duchownych.

Problem pedofilii i innych nadużyć seksualnych w Kościele nie jest więc nowy, nie został wykreowany przez nasze czasy. Był zapewne od zawsze. Jeśli teraz ujawnia się go w różnych krajach równocześnie, to widać, że jest powszechny.

Oprócz bicia się w piersi, przeprosin i wezwań osób duchownych do świętości konieczne jest coś więcej. Każde zjawisko, także to, ma przyczyny. Bez ich poznania i wyeliminowania, lub co najmniej zminimalizowania, walka ze skutkami będzie bezcelowa. Kościół ma dostatecznie dużo możliwości zbadania tych przyczyn. W katolickich uczelniach w Polsce i na świecie jest dostatecznie dużo uczonych, socjologów, psychologów, seksuologów, którzy takie

badania mogliby zrobić. Pytanie, czy Kościół rzeczywiście chce poznać te powody. Czy nie jest mu wygodniej poprzestać na przyczynach natury metafizycznej, zweksłować wszystko na słabość i grzeszność natury ludzkiej, pierwiastki zła i inne nieweryfikowalne czynniki? A może je zna, lecz woli udawać, że nie?

Wydaje się, że zjawisko nadużyć seksualnych w Kościele ma dwa zasadnicze powody. Jeden to celibat. Tysiące zdrowych mężczyzn, żyjących we względnie dobrobycie, nakazem celibatu nie może zaspokajać popędu płciowego. Jednego z najsilniejszych popędów. Niezaspokojenie go w sposób naturalny powoduje poszukiwanie surrogatów. Rodzi się chorobliwe zainteresowanie seksem. Z braku stałej partnerki poszukuje się ministrantów, dziewczynek chodzących na religię, kleryków, kolegów księży.

Coraz to nowe przypadki nadużyć seksualnych powodują jeden z najgłębszych kryzysów moralnych w Kościele.

Jak wykazują badania socjologiczne, wielu księży nie przestrzega celibatu, żyje w związkach z kobietami, ma dzieci. Władze kościelne dobrze o tym wiedzą. Wiedzą i co? Ano właśnie, tu dochodzimy do drugiej przyczyny. Od lat robią wszystko, by fakty te utrzymać w tajemnicy, a skandale seksualne z udziałem księży zatuszować. Równocześnie piętnuje się seksualność, za grzech uznaje homoseksualizm, seks pozamałżeński, używanie środków antykoncepcyjnych, bo celem współżycia ma być prokreacja. Prowadzić to musi do całkowitej anomii moralnej i jej skutku – gigantycznej obłudy. Z jednej więc strony silny popęd płciowy, którego nie można normalnie zaspokoić, z drugiej – poczucie

bezkarności i solidarności wpływowej korporacji są najbardziej prawdopodobnymi przyczynami tego zjawiska.

Czas myśleć nie o formie przeprosin, o granicach odpowiedzialności finansowej za wyrządzone krzywdy, ale o poważnej dyskusji na temat sensu celibatu. Tej dyskusji Kościół najwyraźniej jednak nie chce.

Celibat tak naprawdę funkcjonuje w Kościele powszechnie dopiero od soboru trydenckiego w 1563 r., choć w różnym zakresie obowiązywał już wcześniej (biskupów, prezbiterów, niektórych diakonów, a także zakonników). W Kościołach wschodnich związanych z Rzymem i uznających władzę papieża, np. w Cerkwi greckokatolickiej, nie obowiązuje, nie ma więc żadnego uzasadnienia dogmatycznego (te same dogmaty obowiązują w Kościołach rzymskim i unickich), a jedynie ekonomiczne.

Mówiono wprawdzie, że idzie o to, by kapłan w całości mógł się poświęcić służbie bożej, ale generalnie chodziło o to, by dobra kościelne nie były dziedziczone. Czy dziś ma to takie samo znaczenie jak w czasach soboru trydenckiego? Czy warto za to płacić taką cenę?

Na to pytanie musi sobie odpowiedzieć Kościół. Tymczasem coraz to nowe nagłaśniane przypadki nadużyć seksualnych powodują jeden z najgłębszych kryzysów moralnych w Kościele, który będzie miał swoje skutki społeczne. Przyśpieszy sekularyzację społeczeństw. Także tych, w których władze państwowe z upodobaniem oddają się publicznej dewocji, a Kościół odgrywa ważną rolę polityczną.

Jarosław Górski

POLSKA CIASNOTA

Horror mieszkaniowy przed wojną

Spośród obiegowych opinii dotyczących życia w PRL szczególnie żywotna jest taka, że stłoczono wtedy ludzi w maleńkich, standardowych mieszkaniach i że była to jedna z przemyślanych szykan państwa wobec obywateli, których w ten sposób chciano upodlić. A wynikało to z nędzy, która ogarnęła nasz kraj pod panowaniem komunistów. Peerełowska ciasnota i brzydota mieszkań jako degradacja po II RP, w której żyło się pięknie i przestrzennie, to zadziwiająco trwały mit historyczny, chyba tym trwalszy, im bardziej antykomunizm i tęsknota za II RP stają się jałową etykietką tożsamościową.

Peerełowska ciasnota mieszkań jako degradacja po II RP to zadziwiająco trwały mit.

A przecież przez cały okres II Rzeczypospolitej jednym z niewyobrażalnych dziś mankamentów życia większości jej mieszkańców, a także bardzo poważną barierą cywilizacyjną, blokującą wszelki awans społeczny, był – jak to nazywała prasa tamtego okresu – „głód mieszkaniowy”, czyli konieczność mieszkania w potwornej ciasnocie, w fatalnych warunkach higienicznych i przy braku elementarnej intymności oraz jakichkolwiek perspektyw i nadziei na poprawę stanu rzeczy.

CHAŁUPA JESZCZE Z PAŃSKIEGO DREWNA

Po I wojnie światowej 73% obywateli RP (według spisu ludności z 1931 r.) mieszkało na wsi i w małych miasteczkach, w warunkach skrajnego i wciąż pogłębiającego się przeludnienia. Najmniejsze było w dawnym zaborze pruskim, największe zaś w Galicji, gdzie w 1938 r. 100 ha ziemi musiało wyżywić przeciętnie 114 mieszkańców.

Duża część gospodarstw nie produkowała więc nawet takich nadwyżek, które pozwoliłyby zakupić drewno do rozbudowy domu, kiedy powiększała się rodzina gospodarza lub rodziny jego dzieci. Większość przedwojennych domów wiejskich budowana była jeszcze w czasach pańszczyzny lub niedługo po jej

zniesieniu, kiedy chłopci nie kupowali budulca na wolnym rynku, ale otrzymywali od pana w ramach jego powinności feudalnych bądź tzw. serwitutów. Tradycyjnie składały się one z dwóch izb: większej, białej, zamieszkiwanej tylko latem, i mniejszej, czarnej, a więc ogrzewanej od pieca kuchennego, do której zimą sprowadzała się cała wielopokoleniowa rodzina, często wraz ze zwierzętami gospodarczymi. Kilka lub kilkanaście

osób na ok. 15-20 m kw. powierzchni mieszkalnej musiało się wyspać, spełnić obowiązki małżeńskie, ugotować jedzenie, odrobić lekcje, naprawić ubranie i narzędzia gospodarcze, wyleczyć chorą krowę, urodzić dzieci i umrzeć.

Władze II RP ograniczały napływ ludności wiejskiej do miast przez bezwzględne egzekwowanie obowiązku meldunkowego. Można by napisać, że w miastach wcale nie było lepiej, jednak często ekonomiczni imigranci ze wsi, którym udało się tam zaczepić, wspominali, że

Lokator, a zwłaszcza sublokator, mógł być wyrzucony na bruk z dnia na dzień.

w porównaniu z domową miejską ciasnotą wydawała się im ogromnym awansem.

DROGO I CIASNO

Jak wyglądała sytuacja mieszkaniowa w przedwojennej Warszawie w porównaniu choćby z peerełowską, można sobie wyobrazić dzięki przytoczeniu kilku danych. W 1938 r. Warszawa miała ok. 1,3 mln mieszkańców, po wojnie podobną liczbę osiągnęła w latach 70. Tyle że przed wojną powierzchnia miasta wynosiła 141,5 km kw., a w 1977 r. – 484,6 km kw. Oznacza to, że taka sama liczba

ludzi tłoczyła się przed wojną na trzy i pół razy mniejszej powierzchni miasta. Co więcej, ponad trzy czwarte warszawiaków mieszkało w granicach miasta sprzed 1916 r. (32,73 km kw.), kiedy okupacyjne władze niemieckie pozwoliły na rozrost metropolii poza linię carskich fortyfikacji.

Warszawa przedwojenna, podobnie jak inne duże polskie miasta, w śródmieściu zabudowana była bardzo gęsto XIX-wiecznymi kamienicami z oficynami otaczającymi tzw. podwórka studnie, do których nie docierały światło dzienne ani wiatr pozwalający na wymianę powietrza. Układ tych kamienic znamy choćby z „Lalki” Bolesława Prusa, w której mamy obraz kamienicy Łęckich: mieszkania z oknami od ulicy na pierwszym i drugim piętrze, ze skanalizowanymi łazienkami i ubikacjami, wyposażone w instalację elektryczną i gazową, złożone z czterech-ośmiu pokoiów, przeznaczone były dla bogatych najemców. Mieszkania na wyższych piętrach były już mniejsze, często jedno-, dwuizbowe. Za to mieszkania w oficynach, wiecznie ciemne, których nie można było porządnie wywietrzyć, przeznaczone dla uboższych lokatorów, pozbawione były wygod,

budowane były jak, z cienkimi, często na jedną cegłę, ścianami zewnętrznymi, przez

które zimą przechodził niedający się opanować chłód.

Ceny komornego w Warszawie były bardzo wysokie. Choć w latach 20. wprowadzono urzędową kontrolę czynszów najmniejszych, jedno- i dwuizbowych mieszkań oraz zakaz ich podnoszenia, dopóki trwała umowa najmu, to zjawiskiem powszechnym i pogłębiającym się było wynajmowanie przez lokatorów części mieszkania sublokatorom. Mały, samodzielny pokój przy rodzinie kosztował 60-80 zł miesięcznie, przy miesięcznych zarobkach np. niewykwalifikowanego robotnika wynoszących 80-100 zł, a wykwalifi-

kowanego robotnika, nauczyciela czy niższego urzędnika – 120-150 zł (na prowincji niższe były i zarobki, i ceny wynajmu). Łóżko sublokatorskie w wieloosobowym pokoju to koszt 20-50 zł, a łóżko dzielone z innym sublokatozem (np. ślusarz pracujący w dzień wynajmuje to samo łóżko z piekarzem pracującym w nocy, co było dość częstą kombinacją) 15 zł. Do tego płacono się za węgiel, elektryczność, wodę, jeśli była w mieszkaniu, a także za pranie pościeli. Często sublokatorzy mieli wyznaczone godziny przebywania w mieszkaniu, które w nocy było sypialnią, a w dzień zamieniało się w warsztat rzemieślniczy.

JA Z CÓRKĄ W KUCHNI, A TU SUPLIKATORY

W powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Doktor Murek zredukowany” została przedstawiona scena negocjacji głównego bohatera z warszawską lokatorką, oferującą sublokatorskie miejsca:

„– Z góry płacić trzeba. Ja tam łatków, ni łachudrów nie potrzebuję. I jak pan chcesz: z pościelą, czyli też bez?

– To zależy, ile będzie kosztować.

– Z pościelą 30, bez pościeli 25 i szkoda gadać. Targować się idź pan do Żydów. U mnie wszyscy tak płacą.

Odstąpiła na bok i ruchem podbródka wskazała żelazne łóżko, stojące w kącie, nieco powyginane, lecz zakryte czystą, kolorową kapą z narkrochmalonego kretonu.

– Tutaj – dorzuciła krótko.

Oprócz wskazanego w pokoju stały jeszcze trzy łóżka i ceratowa kanapa. Mniej więcej przez środek pokoju przeciągnięty był drut, na którym wisiała rozsunięta obecnie kwiecista perkalowa kotara. Drewniana podłoga wyszorowana była do białości i w kierunkach widocznie bardziej uczęszczanych, zasłana rozłożonymi gazetami.

W małej kuchence obok stało duże, meblowe łóżko, komoda i stół, przykryty żółtą ceratą, przeświecającą spod ażurowej, szydełkowej serwety.

– A kto tu jeszcze mieszka? – zapytał Murek.

– Pański interes? Ludzie mieszkają. Porządne ludzie. Ja z córką w kuchni, a tu suplikatory”.

Doktor Murek i tak nieźle trafił, bo stać go było na miejsce w pokoju pięcioosobowym. Bardziej zapobiegliwi lokatorzy umieli wstawić do niewielkich pokoi nawet 10 łóżek, a spóźnieni sublokatorzy, często bez różnicy płci, szli do swojego, depcząc po śpiących. Właściciele warszawskich sklepów i składów towarów wynajmowali przyjeżdżającym z prowincji studentom za kilka złotych ką w magazynie, wprost na skrzyniach z towarem. Mieli z tego podwójną korzyść: dodatkowy grosz i zaoszczędzony wydatek na nocnego stróża. Nielegalnych „sublokatorów” przyjmowali za drobną opłatą na noc dozorczy magazynów kolejowych. Przytułki dla bezdomnych pękały w szwach, a często mieszkali

lokatorzy woleli nie dojeść, oszczędzać na higienie czy zdrowiu, niż zalegać gospodarzowi z komornym. Na porządku dziennym były eksmisje pod nieobecność lokatorów i bez ich wiedzy, polegające na wyniesieniu ich rzeczy na podwórko.

Nie budziło zdziwienia także wymuszanie od lokatorów prac porządkowych i remontowych, pracy w warsztacie rzemieślniczym. Młode kobiety wynajmujące sublokatorskie łóżka mogły być niemal pewne, że będą świadczyć gospodarzowi usługi seksualne. Do dziś przetrwała legenda dozorców przedwojennych domów studni, związanych emocjonalnie z kamienicą i jej lokatorami – legenda w dużej mierze nieprawdziwa, gdyż dozorczy bardzo często



Komisarz spisowy wypełnia arkusz spisu powszechnego u bezdomnej kobiety mieszkającej na klatce schodowej, grudzień 1931 r.

w nich ludzie chodzący codziennie do pracy w biurze, których nie stać było na sublokatorski ką.

NA BRUK!

Właściciele domów i mieszkań byli dla swoich lokatorów panami życia i śmierci. Wprawdzie w Polsce obowiązywała ustawa o ochronie lokatorów, ale była tak zawiła, przewidywała tyle wyjątków i różnic dla dawnych zaborców, że w zasadzie chroniła tylko lokatorów lokali państwowych i samorządowych. Lokator, a zwłaszcza sublokator, mógł być wyrzucony na bruk z dnia na dzień, a gdyby się opierał, właściciele mogli liczyć na pomoc policji. Nic więc dziwnego, że

zatrudniani byli bez wynagrodzenia, wyłącznie za prawo zamieszkiwania w klatce zwanej dozorcówką (jedynie ich dochody pochodziły ze zwyczajowych opłat za nocne otwieranie bramy i napiwków za różne usługi dla lokatorów). Mała bohaterka opowiadania Zofii Nałkowskiej „Mieszkanie” tak wyjaśniała powód wyrzucenia mamy przez gospodynię:

„Bo gospodyni teraz potrzebuje komórki na składzik, to dlatego. Gospodynini mamę wzięła darmo za dozorczynię. Mama zamiecie podwórce, zamknie bramę i za to ma mieszkanie. A teraz gospodyni nie wiem co robi, żeby się mama tylko wyniosła. A gdzie mama pójdzie, jak nic ma z czego płacić? Jak gospody- ▶

ni zobaczy, że mama rano zamiata, to mamie wyrwie miotłę i tą miotłą bije po głowie, i wypędza mamę za bramę. To mama tak płacze, że nie wiem. A my się z Andzię zamykamy na klucz od środka, żeby ona nie weszła do mieszkania i nie wyrzuciła rzeczy”.

BUDY WOKÓŁ CHLUBY

Jeszcze gorsza sytuacja niż w Warszawie była choćby w Łodzi, gdzie zarobki były dużo niższe, a po odzyskaniu niepodległości budowano bardzo mało. Robotnicy i robotnicy tódzkich fabryk, którzy sprowadzili się do miasta w latach 30., wynajmowali piwnice i miejsca w halach fabryk zamkniętych z powodu bankructwa, gdzie bezpośrednio na posadzce układali sienniki do spania. Chlubę odrodzonej ojczyzny – Gdynię – budowano w charakterystycznej dla polskiej państwowości kolejności: najpierw budynki wojskowe, potem port i jego otoczenie, następnie urzędy i mieszkania dla wojskowych i urzędników. Ściągający tu za zarobkiem robotnicy z całego kraju koczowali więc w wyrastających jak grzyby po deszczu na obrzeżach miasta samodzielnie skleconych drewnianych budach, w namiotach albo wynajmowali od kaszubskich chłopów izby w domach i zabudowaniach gospodarczych, w których spa-



Większość przedwojennych domów wiejskich zbudowano jeszcze w czasach pańszczyzny lub niedługo po jej zniesieniu. Zdjęcie z powiatu sarneńskiego.

li w nieprawdopodobnym ścisku, nie tylko bez bieżącej wody, prądu czy ubikacji, ale często także bez ogrzewania zimą. Jeszcze pod koniec lat 30. ponad 30% mieszkańców Gdyni żyło w warunkach urągających naszemu wyobrażeniu o cywilizacji. Zbigniew Uniłowski w reportażu z 1939 r. „Gdynia na co dzień” tak opisywał wizytę na gdyńskim koczowisku:

„Większość [budynków] to naprędce sklecone nory, jakieś deski i drągi połączone przemyślnymi

sztuczkami, oblepione błotem, obetkane szmatami, o dachach z karbowanej blachy, z na pół zgniłych desek pokrytych ziemią, porastających trawką; żałosne schrony tłoczące się w górę jedno nad drugim, z ustępami tuż przy oknach, wszystko razem skotłowane, cuchnące, ociekające brudem ludzkim niby wielka latryna. Wsadzam głowę w otwór i widzę wewnątrz przerażone, sfłoczone w mroku widma ludzkie. Dziecko jakieś podskoczyło do drzwi, rozjaśniło się trochę, i szybkie moje spojrzenie przyłapało trawę rosnącą pod narą, obskurne wiadro i skrzynię zamiast stołu, staruchę w czarnej koszuli z siwymi skołtunionymi włosami, która skryła się za zasłonę z gazet – po-przetykanym wypalonymi zapalnikami. Cofnąłem głowę, krztusząc się od zaduchu, i powlokłem się dalej”.

Efekty głodu mieszkaniowego to nie tylko brak elementarnego komfortu ogromnej większości obywateli II RP, ale także niedające się zwalczyć epidemie chorób zakaźnych: gruźlicy, duru brzuszego, jaglicy, kiły, szkarlatyny czy niemal codziennych biegunek. Nauczyciele zwracali uwagę, że dzieci przeganiane z przeludnionego mieszkania na podwórze, choćby bardzo się starały, nie są w stanie powtórzyć lekcji. Urbaniści podkreślali fatalny stan nerwów (dziś powiedzielibyśmy stres) i moralną degradację ludzi pozbawionych jakiegokolwiek poczucia intymności, które skutkowały m.in. wzrostem



**Wyślij SMS
o treści DZIELNA
pod numer 74567
i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)**

Dzielna pewnie jeszcze latami wraz z adeptami sztuki jeździeckiej wydeptałaby dobrze jej znane ścieżki, ale zrobiła to, czego żaden koń nie powinien zrobić swojemu przedsiębiorczemu panu. Rozczarowała go i zawiodła. Nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań. Nie przyniosła zadowalającego zysku. Nie mogła dłużej wozić na swym grzbiecie klientów, a przecież przedsiębiorczy pan zapraszał armię ludzi, by jeździli na jego zwierzętach. Od świtu do zmierzchu. W Polsce, kraju ułańskich tradycji, konie się trzyma po to, by na nich zarobić, a niewdzięczna Dzielna, która miała u niego dużo pracy, dach nad głową i miskę owsa, okazała się koniem chorym.

W zestawieniu z szacowanymi kosztami leczenia, korzystniej przedsiębiorczemu panu było sprzedać Dzielną do handlarza i pozbyć się problemu.

Dzielna to zwykła, blisko 10-letnia klacz. Koń, jakich wiele, pracuje na swoich właścicieli. Koń, jakich wiele, zostaje skazany na rzeź, gdy nie może już pracować.

Dla Dzielnej jest miejsce, bezpieczny dach nad głową. Jeśli pomożesz, zdążymy ją uratować. Potrzeba 4500 zł, aby zapłacić za jej życie i transport. Mamy czas 20 stycznia. Dziś dla Dzielnej każda złotówka jest na wagę życia. W jej imieniu prosimy, pomóż.

Jeśli chcesz i możesz jej pomóc, dokonaj wpłaty z tytułem Dzielna na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.



Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl



agresji i przestępczości czy rozluźnieniem obyczajowym.

NIESKUTECZNE STARANIA

Władze państwowe i samorządowe II RP podejmowały pewne starania zmierzające do zmniejszenia głodu mieszkaniowego w miastach, zupełnie jednak ignorując potrzeby większości polskich obywateli mieszkających na wsi. Jednak takie regulacje jak choćby zakaz budowania domów z oficynami w Warszawie i innych dużych miastach czy kredytowanie małych mieszkań ze środków budżetowych (notabene regulamin Ministerstwa Skarbu do Ustawy z dnia 29 kwietnia 1925 r. o rozbudowie miast za małe uznawał mieszkanie dwuizbowe o wielkości do 65 m kw. i pięcioizbowe o powierzchni do... 130 m kw.) służyły w praktyce wyłącznie dobrze sytuowanym kandydatom na właścicieli i najemców nieruchomości: średnim i wyższym urzędnikom, oficerom, wyższej kadry przemysłowej, a więc górnym 3-5% najlepiej zarabiających mieszkańców stolicy. Najmniejsze, dwuizbowe mieszkanie na rozluźnionej w ten sposób warszawskiej

nie zmniejszy głodu mieszkaniowego. Kilka robotniczych spółdzielni zawiązanych w latach 20. szybko i spektakularnie zbankrutowało. Była wśród nich słynna warszawska Zdobycz Robotnicza, która w latach 1926-1931 zabudowała uroczymi kamieniczkami białeńskie nieużytki. W 1931 r. spółdzielnia zbankrutowała, a już w połowie lat 30. jedynym śladem po robotniczym charakterze osiedla była nazwa. Sukces odnosiły nieliczne spółdzielnie urzędniczo-inteligenckie oraz wojskowe, których udziałowcy zarabiali znacznie powyżej średniej krajowej.

POLITYKA PAMIĘCI I NIEPAMIĘCI

Małeńkie M-3, zgodne z gomułkowską normą, przewidującą dla małżeństwa z dzieckiem 37 m kw. mieszkania z łazienką i kuchnią, które dziś jest niemal symbolem peelowskiej nędzy mieszkaniowej, dla większości ludzi pamiętających życie w przedwojennych miastach i wsiach było ogromnym awansem życiowym i cywilizacyjnym. W PRL dość szybko, za życia jednego pokolenia, poprawiła się sytuacja mieszkaniowa

W czarnej izbie zimą mieszkała cała wielopokoleniowa rodzina, często ze zwierzętami gospodarczymi.

Ochocie kosztowało na przełomie lat 20. i 30. ok. 35 tys. zł, a więc 10-letnie zarobki kapitana Wojska Polskiego lub 30-letnie wykwalifikowanego robotnika z fabryki. Uganiający się za niepewnymi 2 zł zarobku warszawski tragarz nie miał nawet co marzyć o takim luksusie.

„Mieszkanie w nowo budowanym domu – wskazywał Stanisław Tołwiński w piśmie „Mieszkanie Dom Osiedle” w 1929 r. – jest niedostępne dla rodziny robotniczej, choćby było najskromniejsze swymi rozmiarami i zaopatrzone tylko w najniezbędniejsze urządzenia higieniczne”. Ten pionier warszawskiej i polskiej spółdzielczości mieszkaniowej, współtwórca m.in. Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego, zdawał sobie sprawę z tego, że w warunkach istniejących w II RP także budownictwo społeczne nie zlikwiduje ani w znaczący sposób

większości obywateli. A co za tym idzie, poprawiły się jakość życia, możliwość uczestnictwa w kulturze i korzystania z edukacji, a także stan higieny i zdrowia.

Dlatego więc, wbrew doświadczeniu życiowemu naszych rodziców i dziadków, pamiętamy Polskę Ludową jako okres regresu? Nie jest to chyba wyłącznie zasługa dzisiejszej polityki i propagandy historycznej, dążącej do apologii II RP i degradacji PRL. Historię wszędzie piszą elity, a my w Polsce wolimy się identyfikować raczej z towarzyszami husarskimi niż z pańszczyźnianą mierzwą i raczej z tymi, których PRL z ośmiu pokoiów w Alejach Ujazdowskich przesiedliła do M-4 na Sadybie, niż z tymi, którzy do tego samego M-4 trafili z czarnej izby lub sublokatorskiego legowiska.

Jarosław Górski jest pisarzem, dziennikarzem, nauczycielem i popularyzatorem wiedzy. Mieszka w Warszawie

KSIĄŻKI

Lech M. Nijakowski

Ludobójstwo Historia i socjologia ludzkiej destrukcyjności

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2018

Pojęcie ludobójstwo (ang. *genocide*) stworzył Rafał Lemkin, polski prawnik żydowskiego pochodzenia, jako kombinację greckiego *genos* (rasa, plemię) i łacińskiego *cide* (zabijanie). Choć pojęcie to upubliczniono dopiero w 1944 r., opisywało zjawisko mające długą historię. Lemkin miał w pamięci rzeź Ormian w imperium osmańskim w latach 1915-1916 – pierwsze totalne ludobójstwo w historii.

Później z przerażeniem obserwował zbrodnie Niemców i ich sojuszników. Ale przykładów można podać więcej. Ludzkie dzieje spływały krwią już od narodzin cywilizacji.

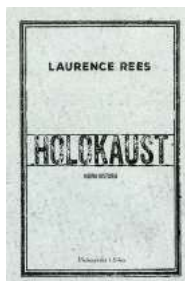
Chociaż w literaturze światowej jest ogromna liczba książek naukowych i popularnonaukowych oraz encyklopedii na ten temat, w Polsce brakuje popularnonaukowej książki, która pozwoliłaby zapoznać się z podstawowymi ustaleniami studiów nad ludobójstwem. Autor stara się wypełnić tę lukę. Jako socjolog jest zainteresowany przede wszystkim procesami, które prowadzą do masowej eksterminacji, oraz dynamiką samego ludobójstwa. Książka zawiera opisy wszystkich ludobójstw, które spełniają definicję przyjętą przez autora, a także wielu zbrodni z pogranicza, takich jak czystki etniczne czy masowe masakry. Mają one pozwolić na wyostrenie granicy między ludobójstwem a innymi masowymi mordami.

Laurence Rees

Holokaust Nowa historia

Przekład Łukasz Praski
Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

Brytyjski historyk, autor licznych książek i filmów dokumentalnych o II wojnie światowej, analizuje każdy aspekt Holokaustu – od narodzin idei, aż do wyzwolenia obozów koncentracyjnych. Wyczerpująco, a jednocześnie w pełni zrozumiale opowiada historię najbardziej haniebnego okresu w dziejach ludzkości. Informacje pochodzące z najnowszych badań są w tej książce wzbogacone o wstrząsające wywiady. Ta książka ma nie tylko wstrząsnąć, ale przede wszystkim pomóc zrozumieć, jak mogło dojść do tak ohydnej rzezi.



Przeceniony Harari

Dwie rady dla polityków lewicowej opozycji:
poproście o wsparcie intelektualne i więcej
czytajcie, mniej mówcie

Ewa Nowakowska

Prof. Jan Widacki w PRZEGLĄDZIE (nr 1/2019) życzy nam na rok 2019, żeby po nadchodzących wyborach do europarlamentu, a potem do Sejmu i Senatu „Polska NIE BYŁA (podkr. moje – E.N.) tak wielka jak Kaczyński na drabince, tak piękna jak marszałek Terlecki, tak mądra jak poseł Suski, tak kulturalna jak posłanka Pawłowicz, tak prawdziwa jak premier i tak szlachetna jak poseł Piotrowicz. Żeby była normalna”.

Dodałabym do tych NIE: niezłomność prezydenta Dudy, uczciwość ks. Rydzyka, empatię wicepremier Szydło, wdzięk minister Kempy. Czy te życzenia mogą się spełnić, skoro wedle badań mniej niż 20% Polaków śledzi wydarzenia polityczne? Skoro nie ma tu wychowania obywatelskiego, nie ma debat o priorytetach ani sporów o cele, jakie chcielibyśmy osiągnąć w przyszłości? Nie ma autorytetów – ani moralnych, ani politycznych, ani naukowych. Nie ma instytucji otoczonych powszechnym szacunkiem, bo przecież i parlament, i rząd, i pozał się Boże Kościół robią wszystko, aby na szacunek nie zasługiwać.

Zbliża się czas dwóch wielkich kampanii wyborczych. Czy ktoś oczekuje ścierania się przemysłanych propagandzistów programowych? Debat z udziałem trybunów różnych orientacji politycznych? Rankingu kompetencji, talentów, wykształcenia, dorobku zawodowego lub politycznego kandydatów? Ja spodziewam się znanego scenariusza, wzbogaconego o elementy groteski i kina grozy. Wybrańcy, namaszczeni przez partyjnych liderów, stoczą bój o mandaty. Ilu o coś więcej niż pieniądze, władza i możliwości szafowania przywilejami? Będą pojedynki na haki, oszczerstwa i zniewagi, wylewanie prawdziwych i spreparowanych brudów. Zagładanie do sypialni i do wychodków. Festiwal kłamstwa i perwersyjnej hipokryzji. Wyciąganie dziadków z PZPR i babek z szeregów

kościuszkowców. Wilki ustroją się w owcze skóry, jadowite węże przebiorą się za bezzębne etole zdobiące ramiona promotorów, a hieny szukające padliny będą udawały trawożerców. Każda broń może być użyta, byle była celna, byle przeciwnik padł i wypadł z gry. A po wyborach obudzimy się w nowej-starej rzeczywistości. Bo to Polska właśnie.

„Jeden Polak to istny czar, dwóch Polaków – to awantura, trzech Polaków – och, to już jest wielki problem!”. Tak z literackim wdziękiem ujmował polską specyfikę Wolter. Monteskiusz zaś w połowie XVIII w. diagnozował: „Nadużycie praw w Polsce polegało na tym, że nie karały one tego, kto je zuchwale przekraczał”. Wystarczy zmienić czas przeszły na teraźniejszy, prawda? Otto von Bismarck określał problem z niemiecką

Żyje ekonomista światowej sławy, podziwiany za granicą, a w kraju lekceważony – prof. Grzegorz Kołodko. Mądra opozycja powinna każdego dnia nękać go pytaniami o gospodarkę.

rzeczowością: „Pozwólcie Polakom samodzielnie rządzić, a sami się wykończą!”. Czy w XXI w. oceniamy nas inaczej?

PiS nie ma zaplecza intelektualnego. Jakie zaplecze ma Platforma? Nie wiem, nie słyszę. Lewica? Też z nim się nie obnoszą. Robert Biedroń powołuje się na paru myślicieli, których nazwiska coś mówią może kilku procentom mieszkańców tego kraju (Zygmunt Bauman, Joseph Stiglitz, Janis Warufakis). Niedawno zmarł prof. Zdzisław Sadowski, wybitny ekonomista. Politycy nie kwapili się do czerpania z jego wiedzy, bo niby po co, skoro każdy to samorodny mędrzec, a co trzeci doktor, promowany przez mentorów z prowincjonalnej szkoły wszystkiego najlepszego. Ale ta wiedza pozostała, jeszcze jest czas, by z niej skorzystać! Żyje inny, młodszy ekonomista światowej sławy, podziwiany za granicą, a w kraju lekceważony – prof. Grzegorz Kołodko. Mądra opozycja powinna każdego dnia nękać go pytaniami o gospodarkę. O to, co zrobić i jak to

zrobić, aby znaleźć się w głównym nurcie globalnych przemian po ewentualnym odbiciu władzy. Czy ktoś do pana dzwonił, profesorze?

Są inni ludzie nauki. Wielu nie odnalazło się w Polsce posolidarnościowej (i nikt ich nie szukał), żyją gdzieś na emigracji wewnętrznej, mają jakieś przemyslenia, może coś piszą do szuflady. Mam dwie rady dla polityków lewicowej opozycji: poszukajcie mądrzejszych od siebie (naprawdę tacy są!), posłuchajcie ich, poproście o wsparcie intelektualne! Słuchajcie uważnie zwłaszcza wtedy, gdy mają dla was ostre słowa krytyki. Mam wrażenie, że politycy, jeśli już zwracają się do ekspertów, to do takich, którzy im schlebiają. A to nie są eksperci, tylko klakierzy. Niczego się od nich nie nauczycie. Druga rada: czytajcie! Napisało się i wydano sporo książek, którym warto poświęcić czas i uwagę. Więcej czytajcie, mniej mówcie! A gdy mówicie, niech każda wypowiedź niesie w sobie przesłanie: zwięzłe, na ważny temat, nacechowane szacunkiem dla potencjalnych wyborców. Obiecanki cacanki zostawcie rządzącym – i tak ich w tym nie prześcigniecie. Jest taka

stara zasada: lepiej mniej, za to lepiej!

W sprawie czytania: marzę, by ktoś z polskich wydawców zebrał i spopularyzował bodaj część dorobku naukowego prof. Zygmunta Baumana. Domyślam się, co ich powstrzymuje. Wydawnictwo Literackie zaofiarowało w 2018 r. trzy – piękne edytorsko! – tomy prac Yuvala Noaha Harariego, nad którymi dyskutują obecnie intelektualiści na całym globie. Wymarzony prezent na święta dla inteligenta. A tu, proszę bardzo, w warszawskich księgarniach Harari przeceniony o 20%. Co oznacza, że nabywców brak. Wstyd, ale i pewna korzyść – można uczyć się od niego za mniejsze pieniądze. A warto. Ot, taki drobiazg. Pisząc o pułapkach, w jakie ludzie wpadają za sprawą nieograniczonego zaufania do GPS-ów, Harari ostrzega: „Zdolność odnajdywania drogi jest jak mięśnie – nieużywana zanika”. Można to odnieść do wielu dziedzin naszego życia, ale politykom ta przestroga przyda się szczególnie.

Autorka jest socjologiem i publicystką

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Czy konstruowanie sztucznej inteligencji na potrzeby przyszłych pojazdów autonomicznych (czyli takich, którymi kieruje nie człowiek, ale komputer) może pomóc zrozumieć, dlaczego o niektórych śmierciach milczymy (sześciorgo bezdomnych, którzy w świąteczną noc spłonęli w pustostanie na warszawskim Żeraniu), a mówimy, słyszymy, oglądamy, dyskutujemy, podziwiamy konferencje ministrów w innej sprawie (tragiczna śmierć pięciu 15-letnich dziewczyn z Koszalina, Julii, Karoliny, Amelii, Małgorzaty i Wiktorii, które zginęły w pożarze podczas zabawy w escape roomie, pokoju ucieczki *nomen omen*, z którego nie było ucieczki...). O pierwszym zdarzeniu krótkie info, głównie w warszawskich mediach, jeden dzień po śmierci, żadnej kontynuacji, wyjaśnień, żadnych imion ani historii życia spalonych. Byli bezdomni, zmarginalizowani, bez przyszłości, więc bez wysiłku stracili też przeszłość, nie byli niczyją nadzieją, nie wiemy, kto przyszedł na ich pogrzeb i czy pochowano ich obok siebie, nie wiemy, czy ktokolwiek jakkolwiek

ne do tych, które podejmują dzisiaj „żywi, ludzcy” kierowcy. Ankiety wypełniło niemal 40 mln ludzi, w tym sporo Polaków. Wyniki przeanalizował pan Tomasz Kwarciański z Polskiego Instytutu Ekonomicznego i porównał ze wskazaniami innych europejskich nacji (m.in. Francuzów i Norwegów). Generalnie mniejsze szanse na przeżycie mają grubi i biedni, starsi i mężczyźni, ci, którzy przechodzą na czerwonym świetle. Wybory Europejczyków oscylowały wokół tych samych wielkości. Polacy z ankiet w jednej kwestii radykalnie jednak się odróżniali, osiągając wyniki poniżej średniej globalnej i najgorsze w Europie. Tym aspektem było traktowanie pieszych. Ich życie Polacy cenili znacznie mniej niż pozostali Europejczycy biorący udział w eksperymencie. Co może nie zaskakuje, dane o wypadkach, w tym śmiertelnych, pokazują skalę przełożenia powyższych poglądów na real – w Polsce w wypadkach z winy kierowców ginie statystycznie najwięcej pieszych, a prawie połowa to piesi na pasach.

TRZEBA ZABIĆ TYCH PIESZYCH

odpowiada za ich śmierć, bo przecież sami sobie zawiniли, zaprószyli ogień, poza tym były tabliczki „Wstęp wzbroniony”. I przede wszystkim miejsce, w którym nocowali w zimową, bożonarodzeniową noc, nie było ich, nie mieli do niego żadnych praw, nielegalnie zatem próbowali przeżyć noc w schronieniu, pod dachem. Noc najważniejszego święta dla Polaków i Polek.

Z koszańskiemi nastolatkami jest oczywiście inaczej: znamy ich imiona, treść kazania na pogrzebie, wiemy, że zostały pochowane obok siebie, minister grzmiał (jak zawsze poniewczasie), straż pożarna dopadła wszystkie escape roomy w Polsce i przeprowadziła kontrole, tu zamknęła, tam zaleciła zmiany – i dobrze. Były młode, były kobietami, życie było przed nimi, nie zawiniły, chciały się zrelaksować urodzinowo. Wszystko to stawia ich śmierć radykalnie wyżej w hierarchii śmierci zauważonych, docenionych – wydaje się to niemal oczywiste. Ale czy naprawdę?

Policja już aresztowała 28-letniego chłopaka, który ten interes rozkręcił, spędzi on teraz miesiące w oczekiwaniu na pokazowy proces. Ponieważ państwo, pobierając od niego podatki, nie określiło, jakie warunki musi spełnić takie miejsce, bo nie będzie się wtrącać do działalności gospodarczej i gry wolnorynkowej ani do tego, że prywatne działa, jak mu państwo albo Europa nie przeszkadza.

Co ma do tego sztuczna inteligencja? Otóż jedna z najlepszych na świecie uczelni politechnicznych, Massachusetts Institute of Technology, przez kilka ostatnich lat przeprowadzała globalny (internetowo) eksperyment, który miał przygotować do opracowania reguł, według których pojazdy autonomiczne będą podejmować graniczne decyzje, kogo zabić, jeśli wypadek będzie nieunikniony (według algorytmów). Uznano, że wirtualny kierowca powinien podejmować decyzje analogicz-

Inną kwestią jest kolejna polska anomalia – określenie przez policję i prokuraturę winy za śmierć pieszych na pasach. Takich wyników nie przynoszą statystyki w żadnym innym kraju. Za ten akurat rodzaj śmierci, w porównaniu z udziałem w jakimkolwiek innym wypadku, w nieproporcjonalnie innym procencie odpowiedzialni oficjalnie, według policji i prokuratury, są piesi. Radykalnie bardziej winni. No cóż, martwi nie dokładają roboty policji i prokuraturze.

Co z tego wszystkiego wynika? Niewiele, poza krążącą nad polską polityką ustawodawczą mantrą o konieczności gruntownej zmiany podejścia i ustanowienia bezwzględnej pierwszeństwa pieszych na pasach i – tu już moim zdaniem – poza nimi. Ale na to polskiego parlamentu od prawie trzech dekad nie stać. Będziemy zatem wysłuchiwać tyrańców o zapewnieniu bezpieczeństwa jako priorytecie, banialuk o terrorystach i uchodźcach, a realny problem śmierci tysięcy ludzi rok w rok – pozostanie nietknięty. Cóż, powie ktoś, to demokratycznie przecież, tak Polacy uważają, tacy są, nie można ich na siłę doginać – to jednak ograniczanie naszej Przenajświętszej Wolności. W tym wypadku wolności zabijania. Nie „potrącania”, jak piszą i nie oduczą się nigdy polskie media. Eksperyment MIT nazywał się Moral Machine. Jestem głęboko przekonany, że ustanowienie reguł decyzji moralnych, dotyczących życia innych, na podstawie badań internetowych przypadkowych uczestników to ślepa ścieżka. Z drugiej strony może inaczej ta zmiana nie przyjdzie do Polski, kraju, w którym rozlega się niewygaszalna pieśń o moralnej wyższości, która przekłada się na rekordy zabójstw drogowych...

Uważajcie na siebie, szczególnie na pasach, wy, młodzi, szczupli, dobrze ubrani, przechodzący na zielonym. Pozostali – liczcie na łut szczęścia. Polska nie wybacza.

Rozmawia Artur Zaborski

Wierzysz w znaki?

– Charakteryzuje mnie rozbudzona wyobraźnia, mam w sobie część magiczną. Może nie aż tak, żeby nie przechodzić pod drabiną albo barykadować się w schronie w piątek 13, ale wierzę w moc sprawczą ludzkiego umysłu. Trwam w przekonaniu, że jeśli intensywnie o czymś się myśli, to się zdarzy, niezależnie od tego, czy to jest dobre, czy złe. Kiedy o czymś marzyłem, zupełnie niechcący potem to się realizowało.

Przykłady z życia?

– Moja wiara w to, że zostanę aktorem, doprowadziła do tego, że teraz rozmawiamy, choć po drodze natrafiałem na wyboje. Wiele sytuacji było na tyle trudnych, że z innym nastawieniem odpuściłbym, ale coś wysyłało mi sygnały, że mam próbować dalej. Wytrzymałem i udało się. W dorosłym życiu zawodowym i prywatnym też coś mi daje znaki, jaką drogą powinienem albo nie powinienem iść.

Dlaczego zdecydowałeś się na udział w emitowanym w AXN serialu „Znaki”?

– Tym razem to nie znaki, ale predyspozycje. Pewna moja lokalność i rys małomiasteczkowy, który mam, mimo że od kilku lat mieszkam w Warszawie, tutaj pracuję i żyję, na pewno predestynowały mnie do tej roli. W scenariuszu znalazłem materiał, który znam. Sam pochodzę z małej miejscowości, z zaledwie tysiącem mieszkańców. Do niedawna było to najmniejsze miasto w Polsce, w którym ludzie żyli z uprawy ziemi, ale miało prawa miejskie od 700 lat. Znam dobrze lokalne klimaty i zależności trójpodziału władzy pomiędzy proboszczem, burmistrzem i komendantem policji. Twórcy to we mnie dostrzegali, a ja zobaczyłem coś, co znałem z życia. Na tym budowałem.

W rodzinnym miasteczku musisz być totalną gwiazdą.

– Na szczęście tak nie jest. Dla mieszkańców jestem Andrzejem Konopką, który tam się urodził i wychował – chodził do podstawówki i zawsze był obecny w jakiś sposób. Chociaż szkołę średnią i studia kończyłem gdzie indziej, nieustannie wracałem do domu. Mój pobyt tam nie jest niczym nadzwyczajnym i chciałbym, żeby tak zostało. Mam tam teraz



swój dom wakacyjno-weekendowy, ale docelowo ma mi służyć na spokojną emeryturę. Z żoną i dziećmi spędzamy tam wolny czas, a nasza obecność budzi pozytywne reakcje. Jeśli ktoś zobaczy mnie w telewizji, to gratuluje i mówi, że fajnie wypadłem. Nie traktują mnie jak celebryty, tylko jak swojego człowieka.

Pytają o aktorską kuchnię?

– Ostatnio biegałem po pastwiskach nad Pilicą, gdzie zaczepił mnie znajomy facet, który pokierował rozmowę na temat swojego kumpla, interesującego się starymi pojazdami. Ma ich kilka z okresu II wojny światowej. Od razu zaproponował mi, że gdyby była potrzeba użyczenia takich aut do filmu historycznego, to mam tylko dać znać. Może jeszcze będzie okazja, żeby te pojazdy i tę okolicę w telewizji czy kinie odkryć.

W „Znakach” odkrywacie dla polskiego widza piękno Gór Sowich, regionu z wielkim potencjałem.

– Mam nadzieję, że nasz serial będzie dla Kotliny Kłodzkiej tym samym, czym „Wataha” HBO dla Bieszczad. Miejscowość, w której dzieje się akcja, znajduje się w Górach Sowich, miejscu niezwykłym nie tylko ze względu na krajobraz. Tam działał pierwszy w Europie seryjny morderca, który szczątkował zwłoki i zamykał w wekach. Sprzedawał je potem na targach jako przetwory mięsne, co spowodowało kryzys przemysłu mięs-

PRAWDZIWI POŻAR W BURDELU

Nasz menedżer
zniknął z pieniędzmi,
pozostawiając nas
w długach

ANDRZEJ KONOPKA

– aktor teatralny i filmowy,
współzałożyciel kabaretu
Pożar w Burdelu



nego, kiedy cała afera się wydała. Z kolei podczas II wojny światowej to miejsce odegrało wielką rolę w akcji o kryptonimie „Riese” – powstał cały kompleks tuneli i sztolni w Górach Sowich, które nie do końca wiadomo czemu miały służyć, bo hitlerowcy nie zostawili żadnych dokumentów. To tam może być ukryty złoty pociąg, o którym legendy co rusz powracają. **Ogromne pole do popisu dla wyobraźni scenarzystów.**

– Legend nie brakuje – mówi się choćby o mitycznym pierwiastku potrzebnym do produkcji bomby atomowej, który tam miał występować. To miała być ta cudowna broń, o której Hitler mówił pod koniec wojny. Mieliliśmy fantastycznego specjalistę od lokacji, który prowadził ekipę w takie miejsca, gdzie nikt jeszcze nie był. W serialu możemy zobaczyć zamknięte kopalnie, które wyglądają jak wielki kanion, kojarzą się z Kolorado. Jestem pewny, że mało kto uwierzy, że one są w Polsce. Niewiarygodne, jakimi miejscówkami dysponujemy.

Dlaczego nie oglądamy ich w polskich filmach i serialach?

– Być może ze względów produkcyjnych. Łatwiej trzymać ekipę w Warszawie, niż wysłać ludzi na zdjęcia w Góry Sowie czy Bieszczady. Miałem przyjemność grać w „Watasze” i wiem, co to za przedsięwzięcie logistyczne zapewnić tylu ludziom wikt, opierunek, nocleg, nie mówiąc już o transporcie przez co najmniej trzy miesiące. Z kolei miejsc klimatycznych w Warszawie czy na Mazowszu jest raczej mało. Osoby odpowiedzialne za lokację

Tam, gdzie zaczyna się celebryctwo, kończą się sztuka i aktorstwo.

zapuszczają się coraz dalej, zaczynają wychodzić poza wielkie miasta. Przybywa ludzi, którzy szukają historii podziemnych, zapomnianych.

Sam też takich miejsc szukasz. Promowałeś Pragę, zanim była modna.

– Kiedy dostaliśmy od władz samorządowych lokal na Pradze, od-

kryłem, jak cudownym miejscem jest okolica placu Hallera. Działaliśmy tam z naszą inicjatywą Dzika Strona Wisły, która była klubem scenicznym, przez trzy lata. W tym czasie otworzyło się tam mnóstwo nowych lokali, które potwierdzają trend szukania prawdziwej tkanki miejskiej, co będzie się rozwijać.

Dlaczego Dzikiej Stronie Wisły już nie ma?

– Powodem jest historia Pożaru w Burdelu. Nasz menedżer zniknął nagle z pieniędzmi, pozostawiając nas w długach. W ramach cięcia kosztów trzeba było zamknąć lokal.

Facet się znalazł?

– Przepadł jak kamień w wodę. Oczywiście zgłosiliśmy sprawę policji. Kiedy się o tym dowiedział – prawdopodobnie zauważył, że zablokowali mu karty płatnicze – dał znać, że żyje. Poprosił o wycofanie zgłoszenia o zaginięciu i tak się stało. Obecnie przebywa podobno w Warszawie, ale nie pokazuje się na ulicy. My, aktorzy, dopiero wtedy dowiedzieliśmy się o sytuacji finansowej przedsięwzięcia.

Długo z wami pracował?

– Trzy lata. Wszyscy byli zadowoleni. Nagle z dnia na dzień umówił się na spotkanie z kimś od nas i nie przyszedł. Wtedy zaczęła się cała afera. Teraz Pożar w Burdelu jest w formie przejściowej. Nie wiadomo, jak będzie dalej działać. Poza sytuacją z menedżerem każdy z zespołu po prostu poszedł w swoją stronę.

Przedsięwzięcie jest szalenie popularne. Nie poddacie się chyba?

– To już marka. Sytuacja z menedżerem nie może spowodować, że projekt nagle upadnie. Zmienia się po prostu taktyka działania, bo dziś trudno nam zebrać cały zespół, który bardzo się rozrósł. Nie mamy też właściwie miejsca – funkcjonowaliśmy nie w teatrze, tylko w klubie, a to dodatkowe utrudnienie. Był taki okres, kiedy czułem się zmęczony tym wszystkim, ale na szczęście to nie instytucja teatralna, w której jestem na etacie. Michał Walczak i Maciej Łubieński, którzy to wymyślili, dawali nam dużą samodzielność i wolność. Ja w pewnym momencie skorzystałem z furteczki. Chciałem robić inne rzeczy, choćby „Znaki”, i wycofałem się z kilku odcinków Pożaru. Paliwem do scenariuszy było zawsze to, co



► nam się w życiu przytrafiło. Historia z menedżerem jest materiałem na opowieść o rozpadzie grupy i wspólnoty, a to coś, co dzieje się także w naszym kraju, więc będzie mogło się stać mocnym komentarzem. Już się cieszę na myśl o powrocie do tej wspólnoty. **Tak traktujesz ekipę, z którą pracujesz – jako wspólnotę?**

– Mam coś takiego, co na swój użytek nazwałem syndromem kolonijnym. Wziąłem to z dzieciństwa, kiedy po każdym, nawet najkrótszym wyjeździe, na biwak harcerski czy obóz, przyjeżdżałem do domu i miałem trzy-cztery dni takiej ostrej melancholii. Cholernie tęskniłem za ludźmi, z którymi spędzałem czas. Nawet jak kogoś nie lubiłem, to tęskniłem za atmosferą wyjazdu, za spotkaniami. Wtedy oczywiście pisałem listy do tych ludzi. Teraz jest łatwiej – mamy telefony, te wszystkie komunikatory, media społecznościowe. Mimo to po każdym takim przedsięwzięciu ten stan ciągle u mnie występuje. Przez 30 dni zdjęciowych budują się silne więzi międzyludzkie, nie ma na to siły. W takim organizmie jak ekipa każdy

Andrzej Konopka – wychowywał się w Wyśmierzicach. Pracował jako nauczyciel wychowania fizycznego, montażysta w Teatrze Nowym, by wreszcie podjąć studia aktorskie. Współpracował z wieloma warszawskimi teatrami. Od września 2012 r. odgrywa postać burdeltaty w kabarecie Pożar w Burdelu, a w Teatrze WARSawy wystawia stand up „Duszpasterz hipsterów”. Aktualnie można go oglądać w serialu „Znaki” emitowanym w AXN i AXN Player.

od każdego jest troszeczkę uzależniony. Trudno potem wrócić do życia.

Jak po karnawale.

– Właśnie. Wyłączasz się z rzeczywistości i żyjesz tym, co kręcisz. Podobnie jest na festiwalu filmowym, gdzie przez tydzień nie wychodzisz z kina, każdy dzień ma swój rytuał. Wychodzisz z pokoju hotelowego i jesz śniadanie, idziesz na film, potem obiad, potem drugi film i trzeci, potem koniecznie siedzenie w klubie festiwalowym i niekończące się rozmowy. Po czymś takim trudno wrócić do obowiązków, pracy, szkoły, dzieci. Z planu „Znaków” wracało mi się wyjątkowo trudno.

Co było w nim wyjątkowego?

– Ekipa była młoda i wszyscy bardzo dobrze się kumali. Było poczucie

humoru, co zawsze jest elementem wiążącym grupę. Czulem, że wszyscy żartują na ten sam temat, i mówię tu o całej ekipie, nie tylko o aktorach – o kierowcach, oświetlaczach, mekapistkach, o całej bandzie, która pracuje przy takim przedsięwzięciu. Druga sprawa to postawienie na jakość. Na planie dostałem bonus w postaci spotkania z fenomenalnymi aktorami – Heleną Sujecką, Małgorzatą Hajewską, którą pamiętam jeszcze ze Starego, gdzie jako student oglądałem ją w spektaklach „Lunatycy” czy „Rodzeństwo” Krystiana Lupy, i Mirkiem Kropielnickim, którego Krystyna Janda ściągnęła do Polonii. To są zawodowcy nieograni w telewizji, bo „Znaki” nie muszą się ścigać z produkcjami Polsatu czy TVN, w których



unicef
dla każdego dziecka

Umieram z głodu
Uratuj dziecko takie jak Lemi!

Trwa kryzys żywnościowy w Sudanie Południowym.
Wpłać darowiznę na unicef.pl/sudan

Znaki



bije się w *glamour* i stawia na twarze spoglądające na nas nieustannie z okładek żurnali. Tam się ogląda celebrytów, a nie historię, która jest esencją. Dla mnie tam, gdzie zaczyna się celebrytstwo, kończą się sztuka i aktorstwo. W „Watasze” czy w „Znakach” znane twarze nikogo nie udają, a przestępcy nie wciągają ze szklanego stołu kokainy, tylko robią takie polskie marne interesy. W tym jest nasz skarb, że nie udajemy Hollywoodu, tylko stawiamy na lokalność.

Stoicie blisko rzeczywistości?

– Dużym walorem produkcji było doświadczenie ekipy w robieniu docu-dram, czyli dokumentów fabularyzowanych, na potrzeby których musi przeprowadzać rozmowy z policjantami. Ma ten temat świetnie udokumentowany. Nam zależało, żeby być bliżej codzienności niż gatunku, dlatego kiedy mój bohater kogoś aresztuje, to nie powala go jednym ruchem ręki, tylko niezdarnie się z nim szarpie, a kajdanki mu się zacinają. To jest momentami aż żenująco-śmieszne, ale tak właśnie to wygląda naprawdę. U nas, w Polsce, jeszcze funkcjonuje status policjanta nedorajdy, który nie miał pomysłu na siebie. Ja uważam, że aby uprawiać ten zawód, trzeba mieć zadrę i mocne pragnienie sprawiedliwości. Wiadomo, że czarne owce wszędzie się zdarzają, ale naprawdę za walkę o dobro i przestrzeganie prawa płaci się ogromną cenę. Ta praca to najczęściej po prostu ludzkie szambo, okropne historie, w które nie można wejść, a potem wyjść nieubrudzonym. Nie da się ot tak, zdjęć rękawiczki i mundur i spokojnie pić kawę. Zawsze jakiś osad zostaje. Uprawianie każdego zawodu wpływa na człowieka, powoduje skrzywienie zawodowe.

Aktorstwo też?

– Absolutnie. Aktorzy są w czołowie, jeżeli chodzi o wpływ zawodu na konstrukcję psychiczną i emocjonalność. Bycie aktorem to sprzedawanie swojego człowieczeństwa w bezwstydnym sposób. Im bardziej człowiek pokrzywiony, pokiereszowany wewnątrz, tym ciekawszy aktor. Ale w drugą stronę niestety to też działa. Aktor nie może być człowiekiem banalnym. Ekspresja czasami przenosi się z teatru na życie i dla osób postronnych jest to nie do wytrzymania. Tak samo jak potrzeba bycia ze zdwojoną siłą, stania przed kamerą, występowania na scenie, bycia w centrum.

Aktorzy za wszelką cenę trzymają się sceny albo filmu, nawet jeśli muszą rozmiąć swój talent na drobne.

Sam pragniesz stać w centrum?

– Byłbym fałszywy, gdybym powiedział, że uprawiam ten zawód tylko dlatego, że lubię poezję. Patti Smith powiedziała, że bycie na scenie powoduje u niej taki dziwny stan umysłu, w który wprawia ją poczucie, że może z ludźmi na widowni zrobić wszystko, co chce. To niesamowite doświadczenie, kiedy kilkaset osób czeka na każdy twój ruch, spija każde twoje słowo. Zdarzają się takie magiczne momenty, kiedy tworzyście z publicznością jedność, oddychacie tym samym powietrzem, odkrywacie wspólną wrażliwość. Tego nie da się wyrazić w słowach, to jest tak unikatowe doświadczenie, nieporównywalne z niczym innym. Dla tych momentów warto uprawiać ten zawód. One przenoszą człowieka do innej rzeczywistości, która wciąga i potrafi aktorem mocno zakreślić.

Brzmi jak trip narkotykowy.

– To jest tak samo uzależniające jak narkotyk, co moim zdaniem tłumaczy, dlaczego ludziom tak trudno odejść z zawodu. Jeżeli raz ktoś tego zakosztował, naprawdę nie da rady potem powiedzieć: „Nie, ja już się nie nadaję, jestem za stary, muszę robić coś innego”. Aktorzy za wszelką cenę trzymają się sceny albo filmu, nawet jeśli muszą rozmiąć talent na drobne, po to tylko, żeby coś takiego jeszcze raz przeżyć.

Sam masz dystans do swojej pracy?

– W ogóle mam duży dystans do wszystkiego, ale ironia i dystans są bronią obosieczną. Pomagają w zachowaniu zdrowego rozsądku, ale czasem są niełatwe do pokonania. Momentami trudno mi przez nie przekonać do czegoś, a w tym zawodzie trzeba przekonywać. Aktor musi być pewny swego na sto procent. Tylko wtedy można być wiarygodnym. Nie mogę podważać w sobie sensu tego, w czym tkwię, bo to mnie na dzień dobry kasuje jako artystę.

Nie masz wrażenia, że praca aktora jest trochę podobna do pracy policjanta? Musisz wczuć się w inne osoby, znaleźć ich motywację...

– Jeśli dobry policjant chce złapać bandytę, musi wejść w jego skórę i myśleć jak on, żeby przewidzieć jego

następny ruch. Coś takiego jest też w aktorstwie – kiedy grasz postać, musisz wiedzieć, jak ona działa. Potrzebne są więc absolutna determinacja i przekonanie do tego, co się robi. **Masz w sobie dużą determinację? Zawsze walczysz do końca?**

– Jeżeli jest casting, to idę na niego i robię wszystko, żeby dobrze wypaść, przygotowuję się, poświęcam czas, ćwiczę. Ale jeżeli czuję, że nie ma chemii, że coś nie wyszło i dlatego ktoś nie dzwoni, to nie jestem z tych, którzy wydzwaniamy do reżyserów albo castingowców i proszą, że może spróbujemy jeszcze raz.

Odpuszczasz bez żalu?

– Nie wiem, czy wierzę w los albo w fatum, ale uważam, że jeżeli coś ma mi się zdarzyć, to się zdarzy, bo jest gdzieś tam zapisane. Żal nie ma dla mnie sensu.

Artur Zaborski

BETTE I JOAN

Sztuka Antona Burge'a „Bette & Joan” odśladania kulisy jednego dnia z życia gwiazd na planie filmu Boba Aldricha „Co się zdarzyło Baby Jane?”. Rzecz miała miejsce prawie 60 lat temu (1962), przynajmniej ich wspólna praca, bo dialogi, kąśliwe uwagi, drobne intrygi obu wiecznie rywalizujących aktorek to już sprawa wyobraźni autora. Spętanej jednak albo uwiązanej do źródeł biograficznych, wspomnień, anegdot, a więc dość bliskiej prawdziwym wydarzeniom.

Marzena Trybała i Halina Chrobak stworzyły na scenie wiarygodne portrety niegdyśszych ikon amerykańskiego kina. Chrobak jako Joan Crawford gwiazdowała, nosiła się z królową. Trybała nie kryła plebejskich korzeni Bette Davis. Na malutkiej scenie teatru Druga Strefa Sylwester Biraga wybudował dwie garderoby



artystek niczym rozłożoną księgę. Po lewej stronie usytuował królestwo Davis, po prawej Crawford. Komizm przedstawienia oparł na kontraście osobowości i wynikających z tego zachowań obu artystek. Nie zapomniat przy tym o odrobinie liryzmu, kiedy gwiazdy wspominają swoje największe role albo wracają myślami do życia osobistego, które nie szczędziło im rozczarowań. Powstał spektakl wsparty na solidnym rzemiośle aktorskim, błyskotliwych ripostach i monologach przesycanych tęsknotą za minionymi czasami. Zmienny w nastrojach wieczór do smakowania w teatrze.

Tomasz Miłkowski

Anton Burge, „Bette & Joan”, tłumaczenie Michał Ignar, reżyseria i scenografia Sylwester Biraga, Teatr Druga Strefa w Warszawie, premiera 27 grudnia 2018

ZASŁUCHAJ SIĘ

Michał Jaros FLOATING BRIDGES

Multikulti Project

Michał Jaros jest nie tylko znakomitym jazzmanem grającym na instrumencie największym i o najniższym brzmieniu, ale także świetnym kompozytorem i aranżerem. Dowodzi tego płyta, na której



zgrupowano osiem jego utworów wykonywanych z różnymi artystami: pianistą, trębaczem, saksofonistą i perkusistą. Są tutaj kawałki z ciekawym tematem melodycznym i improwizowanym przebiegiem, czasem gra trio: fortepian, kontrabas, perkusja, czasem tylko duet saksofonu i kontrabasu, który

zwykle wykonuje swoje dudniące pizzicato. Ale dwie kompozycje Jarosa, gdzie grają wszyscy, opatrzone tytułem „Floating Bridges” i „Floating Bridges II” są rewelacją. Tutaj kontrabasista posługuje się smykami i wydobywa z instrumentu tajemnicze szmery, cieniste dwudźwięki, inspirując partnerów do naśladownictwa i improwizacji. W tych dziełkach twórca udowadnia, że dobry jazz nie musi się kojarzyć z hałasem, za to wywołuje niesamowite wizje. Jazz z najwyższej półki.

Bronisław Tumiłowicz

ZAJRZYJ TU

RECHOWICZ/SMAGA. KOŁO

Zbiór ponad stu obiektów fotograficznych, wykonanych wspólnie przez Hannę Rechowicz i Jana Smagą, przywołuje historię domu przy ulicy Lekarskiej w Warszawie, gdzie artystka mieszka do dzisiaj. Dom to dzieło w procesie, kształtowane od początku lat 50. przez małżeństwo artystów Rechowiczów, po śmierci Gabriela rozwijane przez jego żonę. To miejsce z bogatą przeszłością – przez kilka dziesięcioleci centrum spotkań środowiska artystycznego Warszawy: architektów, plastyków i filmowców.

**WARSZAWA, ZACHĘTA,
19 STYCZNIA-17 MARCA**



SERIAL

NA EKRANACH



DETEKTYW

W 2015 r. emerytowany detektyw Wayne Hays wraca wspomnieniami do dawnej sprawy zniknięcia 12-letniego Willa i jego 10-letniej siostry Julii. Policjant przypomina sobie pierwsze dni i tygodnie po rozpoczęciu śledztwa oraz wydarzenia z 1990 r., kiedy on i jego były partner Roland West zeznawali w sądzie jako



świadkowie w związku z przełomem w tej sprawie. Akcja trzeciej serii „Detektywa” toczy się w trzech różnych okresach i opowiada o makabrycznej zbrodni popełnionej w hrabstwie Ozark. W roli głównej w nowym sezonie występuje zdobywca Oscara Mahershalah Ali.

**HBO I HBO GO,
OD 14 STYCZNIA**

PŁOMIENIE

reż. Lee Chang-dong, prod. Korea Południowa, już w kinach

Zamożny Ben ma pewność siebie, uwagę kobiet i poczucie bezkarności, a więc to wszystko, czego brakuje nieśmiałoemu Jong-soo, aspołecznemu pisarzowi ze wsi, zakochanemu w Hae-mi. Kiedy dziewczyna wraca z wakacji w Kenii z Benem u boku, tworzy się miłosny trójkąt. Jednak filmowi daleko do klasycznego melodramatu. W ekranizacji opowiadania Murakamiego stawką w walce klas są konsekwencje układu społecznego, a nie serce kobiety. Tu karty już zostały rozdane, a pozycje przypisane. Bierny Jong-soo nawet nie próbuje stawiać w szranki z Benem, lokalnym Gatsbyem, który coraz częściej wciąga chłopaka do swojego świata – a to na przyjęcie, a to by zapalić wspólnie skręta. Chce mu pomóc czy raczej upokorzyć? Trudno pojąć, o co im wszystkim chodzi, ale właśnie zagadka najbardziej w „Płomieniach” pociąga. Zagadka, która kieruje nie do jednoznacznego rozwiązania, ale do refleksji nad tym, jak długo jeszcze porządek, w którym miejski japiszon bryluje przed ubogim proletariuszem, jest w stanie się utrzymać. Co musi się zdarzyć, żeby pogardzany Jong-soo upomniał się o swoje? I czy potrzebuje do tego noża?

Artur Zaborski



FESTIWAL

AKCJA



**TYDZIEŃ FILMU
NIEMIECKIEGO**
Warszawa 18-24.01.2019
Kino Muranów, ul. Andersa 5

TYDZIEŃ FILMU NIEMIECKIEGO

Niemieckie kino cały czas podejmuje dialog z polityką oraz problematyką społeczną i mierzy się ze skomplikowaną, wieloznaczną przeszłością swojego kraju. Organizatorzy Tygodnia Filmu Niemieckiego zadbali, by program wydarzenia nawiązywał aktualne trendy i był blisko tego, co trapi niemieckie społeczeństwo. Pośród produkcji, które będzie można zobaczyć w ramach kolejnej edycji, powraca kilka zagadnień: dziedzictwo kulturalne, czasy NRD, kryzys migracyjny, tożsamość i osobista wolność. **Szczegóły na: www.kinomuranow.pl.**

WARSZAWA, KINO MURANÓW, 18-24 STYCZNIA

DADA DANCE

VII Dwubiegunowe Międzynarodowe Spotkanie Performerów

Tegoroczna edycja dedykowana jest pojęciom ruchu, choreografii, tańca impulsywnego, poezji wizualnej oraz łączeniu tych sfer z muzyką eksperymentalną. Do uczestnictwa w festiwalu zaproszeni zostali artyści, dla których taniec i dźwięk są najważniejszym polem eksploracji, jako inspiracja zaś często służy im twórczość dadaistów. W spotkaniu wezmą udział Giovanni Fontana, Zora Snake, Zbigniew Warpechowski, Bill Coleman, Gordon Monahan, Bartolomé Ferrando, Oleg Kulik, Anatoli Vlassov, Dina Khuseyn i Patryk Lichota.

**SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA
SZTUKI, 18-19 STYCZNIA**



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Ewa Smolińska-Borecka

Na początku był prezent na 31. urodziny, dziewięć lat temu. Od taty i brata Łukasz dostał zestaw startowy dla domowego piwowara. Może dlatego, że od lat pasjonował się robieniem nalewek? Kupił 30-litrowy gar i się zaczął. Wciągnęła go ta produkcja i bycie kiperem piwa. Dziś żartuje z urodzinowego zestawu. – Dla taty i brata to był interes życia – śmieje się Łukasz Kojro, właściciel browaru rzemieślniczego Palatum w warszawskim Marysinie Wawerskim. – Wydali na prezent chyba po 90 zł każdy, a dzięki temu mają teraz nieograniczony dostęp do mojego piwa. I wiedzą, że nigdy go nie zabraknie, bo nawet jeśli w domu nie ma ani jednej butelki, zawsze jest jakieś 20 tys. litrów w tankach.

Statystyczny Polak, wliczając niemowlęta, wypija rocznie 100 litrów piwa. To znacznie więcej niż w latach poprzednich: w roku 1990 było to 30,4 litra na mieszkańca, w 2000 r. – 66,9 litra, w 2010 r. – 90,5 litra. Coraz chętniej piwosze sięgają nie po piwa przemysłowe – a trzech największych producentów włada aż 81% rynku – ale po rzemieślnicze. Bum na piwa z minibrowarów rozpoczął się kilka lat temu. I wyrosła elita konsumentów, którzy traktują picie piwa jak ceremonię. Wyrosła też grupa piwowarów zapaleńców, którzy są po trosze rzemieślnikami, a po trosze artystami, jak właściciel Palatum.

PRACOWITY DZIEŃ

Łukasz jak zwykle zaczął dzień od crossfitu. Kiedyś śmiał się, że wymagana porcję ruchu i ćwiczeń siłowych zapewnia mu praca w browarze – bo trzeba przenosić worki ze słodem albo beczki z piwem, trzeba dziesiątki razy w górę i w dół poruszać się po stromych schodach między zakładem a biurem na piętrze. Teraz doszedł do wniosku, że to nie wystarczy, więc prawie codziennie rano idzie do siłowni.

Na środę zaplanował w browarze Palatum dużo pracy: nalewanie do butelek i beczek piw Luna (Oatmeal Stout, czyli stout owsiany, co znaczy ciemne piwo górnej fermentacji z dodatkiem owsa) i Siren (New England Pale Ale) oraz warzenie nowego piwa – Sauria (Hoppy Sour Ale). Trafi ono do pustego już tanka, czyli zbiornika, w którym

ROZMAWIAJĄCY Z DROŻDŻAMI

Piwa rzemieślnicze to często małe dzieła sztuki do – jak mówią piwowarzy – powolnej i świadomej konsumpcji



Anna i Łukasz Kojro w swoim browarze Palatum.

odbywa się fermentacja i leżakowanie. To nowo warzone piwo właściwie nie jest nowe, bo już dwa razy było produkowane w browarze Łukasza. Ale tym razem zostaną użyte inne drożdże. Najpierw Łukasz dobiera słód, odważa odpowiednią ilość. Nie produkuje go, ale sprowadza z polskich słodowni. Ma ochotę opowiedzieć o każdym z kilkadziesiąt słodów w magazynie. Namawia do próbowania. Rzeczywiście

różnią się smakiem: ten jest łagodny, tamten ma smak karmelowy, inny – doprowadzony w słodowni niemal do przypalenia – smakuje kawą.

– Moja praca jest kreatywno-konceptyjna – wyjaśnia Łukasz. – Wymyślam sobie piwo, które ma wyglądać i smakować w określony sposób. Do tej wizji dobieram odpowiednie słody, chmiele. Piwowarstwo jest trochę jak gotowanie – pojawia się jakiś pomysł,

np. jasne piwo z truskawkami, i bazując na moim doświadczeniu oraz posiadanych surowcach, podejmuję próbę jego realizacji. Zrobiłem jako piwowar, zarówno domowy, jak i profesjonalny, grubo ponad 400 różnych piw, więc mam doświadczenie. Jeśli jednak zakładam jakieś nietypowe połączenia smakowe, to wykonuję małą warkę testową.

Ślód nie jest śrutowany, ma całe ziarna. W browarze Łukasza śrutuje się ślód na miejscu, potem wrzuca go do kotła zacierno-warzelnego i zalewa ciepłą wodą. Tak powstaje zacier. Kocioł jest ponad 40 razy większy niż garnek, na którym Łukasz trenował umiejętności piwowarskie, ale jak na warunki przemysłowe nieduży – o pojemności 1,3 tys. litrów. Zbiorniki, zwane unitankami albo tankofermentatorami, w których potem następuje fermentacja i leżakowanie, są niemal dwa razy większe – mają po 2,5 tys. litrów. Żeby zapełnić zbiornik, trzeba dwa razy wykonać proces warzenia.

RĘKODZIEŁO

Najpopularniejszy rodzaj piwa w XX w. i teraz to lager, czyli piwo produkowane przy użyciu drożdży dolnofermentacyjnych. Tymczasem pojawiła się grupa klientów, którzy szukali bardziej wyrafinowanych smaków. W rezultacie w drugiej połowie lat 70. w USA, a potem w wielu innych krajach dokonana się piwna rewolucja. Zaczęto tworzyć piwa nowofalowe, zazwyczaj w stylu ale, do produkcji których wykorzystuje się inne drożdże – górnofermentacyjne. Były to piwa nowatorskie, z użyciem różnych niekonwencjonalnych dodatków. Produkowane w małych browarach, zyskały nazwę craftowych, od angielskiego słowa craft – rękodzieło.

W Polsce piwna rewolucja zaczęła się w 2011 r. Za jej początek uznano premierę browaru kontraktowego Pinta, który wypuścił na rynek pierwsze rzemieślnicze piwo nowofalowe Atak Chmielu. Od tego momentu coraz częściej pojawiają się nowe inicjatywy piwowarskie i nowe piwa. Twórcy portalu Polska Mapa Piwna sporządzają zestawienia browarów. Z ostatniego, dotyczącego grudnia 2018 r., wynika, że w kraju funkcjonowało 236 browarów. Najwięcej w województwie śląskim – 28, dolnośląskim – 25 oraz małopolskim, wielkopolskim

i mazowieckim – po 23. Według portalu Zwrotnica w 2018 r. polskie browary wypuściły na rynek 2013 nowych piw. Browar Palatum Łukasza Kojry zajął szóste miejsce pod względem liczby premier.

NA DWA ETATY

Anna Kojro, żona Łukasza, z uśmiechem wspomina czasy, kiedy mąż został domowym piwowarem i w prawie każdy weekend od godz. 7 do 15 okupował kuchnię. A ona się wkurzała. Ta nowa pasja ją zaskoczyła, choć znali się od czasów liceum. I zapewne sądzili, że ich przyszłość jest przewidywalna: ona będzie lekarzem weterynarii, on – absolwent chemii na PW i podyplomowych studiów w zakresie zarządzania i marketingu – będzie pracował w jakiejś międzynarodowej korporacji. Łukasz był najpierw w korporacji działającej na rynku spożywczym, potem w takiej z rynku kosmetyków. – Znam ludzi, którzy z wielką goryczą wspominają pracę w korporacjach, ale ja uważam, że bardzo wiele im zawdzięczam – mówi. – Mogłem w praktyce nauczyć się marketingu, zarządzania biznesem, rozmawiania z klientami, negocjacji.

Ale zanim zdecydował się na samodzielny biznes, minęło kilka lat. Najpierw nawiązał kontakt z innymi domowymi piwowarami. Anna przyznaje, że traktowała to jego piwowarstwo jak uprzykrzającą życie pasję. – Pocieszałem ją, że mogło być gorzej, gdybym był zapalonym wędkarzem – żartuje Łukasz. – W weekendy byłbym poza domem.

Pod koniec 2013 r. wraz z trzema zaprzyjaźnionymi piwowarami domowymi postanowił stworzyć tzw. browar kontraktowy, czyli taki, który nie ma własnych urządzeń, tylko wynajmuje linię produkcyjną w innym browarze. Pierwsze piwo miało premierę w lutym 2014 r. Ponad rok trwało warzenie w tym browarze, kiedy pojawiło się wyzwanie dla Łukasza. Jego ojciec, który prowadził firmę z branży elektronicznej, postanowił przejść na emeryturę. A warsztat taty był częścią domu rodzinnego Łukasza. Co zrobić z 70 m kw. powierzchni na parterze i taką samą liczbą metrów na piętrze? – Wynajęcie byłoby dla moich rodziców i dla nas uciążliwe – wspomina Łukasz. – Owszem, już wcześniej myślałem o własnym browarze, ale w przyszłości. Jednak w tym



Etykiety projektuje córka Anny i Michała.



Kiedy w browarze wiele się dzieje, Łukasz Kojro ściąga do pomocy piwowara Michała.

momencie musiałem podjąć decyzję. Wspólnie z Anią zdecydowaliśmy, że stworzę browar. Czy miałem wystarczający kapitał? Nie. Ale liczyłem, że wypaszę browar, korzystając z leasingu.

Postanowili, że aby wyróżnić się na piwnym rynku, wprowadzą wyłącznie łacińskie nazwy. Browar dostał więc nazwę Palatum, co po łacinie znaczy podniebienie i smak, a premierowe piwo – Primus, czyli pierwszy. – W mojej rodzinie łacina jest językiem popularnym: mama jest magistrem farmacji, brat i bratowa także, a żona i teść są lekarzami weterynarii – wyjaśnia Łukasz. – W maju 2016 r. w multitalpie w centrum Warszawy zorganizowaliśmy premierę naszego browaru. Piwo Primus spotkało się z pozytywnym przyjęciem. Blogerzy piwni też dobrze je ocenili. Ich zdanie jest dla mnie ważne, wprowadzam ewentualne korekty w recepturach nowych piw. Do dziś Primus to nasze sztandarowe piwo i regularnie je warzymy.

– Browar funkcjonował, a Łukasz nadal pracował w korporacji. Sam prowadził biznes, z pomocą taty i moją, bo zajmowałam się księgowością i dostawami – mówi Anna. – Łukasz właściwie już nie miał czasu dla rodziny. Wytrzymał rok i trzy miesiące i zrezygnował z korporacji.

Dziś korzysta z pomocy dwóch pracowników, księgowością zajmuje się wyspecjalizowana firma, Anna wystawia faktury, odbiera dostawy,

► pilnuje wysyłki produktów do pubów, a w czasie festiwalu piwnych przez wiele godzin stoi za barem. Czy pomaga warzyć? Nie. Raz tylko musiała sama zrobić warkę. Łukasz pracował jeszcze wtedy w korporacji. Poszedł do pracy, a saszetka z drożdżami napęczniała – tzn. drożdże wystartowały. Zdenierowana zadzwoniła do męża, a on na to: „Dobrze, to ty rób. Jak ktoś umie zupę ugotować, to i piwo zrobi”. Podyktował jej przez telefon: ile czego, w którym momencie wziąć i co z tym zrobić. I robiła. Mówi, że czuła się, jakby to piwo było jej dziełem. Teraz sama nie warzy, najwyżej, jeśli Łukasz musi wyjść z domu, odczytuje temperatury na wyświetlaczu, mierzy czas i przyciska odpowiedni guzik.

– Wsiąkłam w piwowarstwo i nasiąkam wiedzą – przyznaje jednak. – Rok temu dostałam w prezencie kurs sensoryczny, więc zaczynam rozpoznawać różne smaki i zapachy piw, zauważać ich zalety i ewentualne wady. Ale przygotowywaniem receptur się nie zajmuję, najwyżej kiedy Łukasz tworzy nowe piwo, namawiam go, żeby było bardziej owocowe.

Anna mówi, że w średniowieczu browary były w miastach na niemal każdej ulicy i że prowadziły je kobiety. Teraz pań jest w branży kilka czy kilkanaście. Jedna z nich zdobyła tytuł Grand Championa w najważniejszym konkursie piwowarów domowych. Kiedy Anna o tym opowiada, z emocji błyszczą jej oczy. I można się spodziewać, że – czy to się Łukaszowi będzie podobać, czy nie – w końcu uwarzy swoje piwo.

POTRZEBNA CZUŁOŚĆ

Palatum to jedyny browar rzemieślniczy stacjonarnie funkcjonujący w Warszawie. Takie usytuowanie to jego mocna strona, bo stolica jest największym albo drugim co do wielkości rynkiem konsumpcji piw rzemieślniczych. Jeśli w którymś multitapecie w trakcie imprezy lub w dzień świąteczny skończy się któreś z piw beczkowych, szybko można podwieźć beczkę z browaru Łukasza. W portfolio browar ma ponad 70 piw, w minionym roku wypuścił na rynek 30 nowych. Nadal, zgodnie z przyjętą na początku regułą, każde piwo ma łacińską nazwę. I nadal wszystkie etykiety projektuje córka Anny i Łukasza. Dla niej to frajda, a przy okazji zarabia na kieszonkowe.



Kiedy temperatura brzezki zbliża się do 100 st. C, Michał Kojro dodaje do kotła zielony granulat chmielowy.

W taki dzień jak ten, kiedy w browarze wiele się dzieje, Łukasz ściąga do pomocy Michała. I gdy sam czuwa nad powstawaniem nowego piwa, Michał rozlewa Lunę i Siren. W kotle zacierno-warzelnym powoli podgrzewa się brzezka, czyli ciecz, która powstała po przefiltrowaniu zacieru, który z kolei powstał ze słodu zanurzonego w ciepłej wodzie. Łukasz kontroluje, co dzieje się w kotle. Kiedy temperatura zbliża się do 100 st. C, pojawia się z miseczką wypełnioną zielonym granulem chmielowym. Podsuwa ją do powąchania – granulat ma zapach mango. Te owocowe nuty to domena amerykańskich rodzajów chmielu. – Klient poszukuje nut cytrusowych, żywicznych, jakie mają chmiel amerykańskie, które są wyjątkowe pod tym względem – twierdzi.

Granulat chmielu wpada do kotła. W hali czuć zapach zieleninowo-mangowy. Wyświetlacz na kotle informuje, że temperatura wynosi 100 st. C. W końcu, jakieś półtorej godziny od rozpoczęcia podgrzewania brzezki, można zrobić tzw. wybicie. Łukasz mówi, że to najbardziej spektakularny moment produkcji – brzezka przepływa do filtra, gdzie jest wprowadzana w ruch obrotowy, by przez odwirowanie wytrącały się wszelkie zawiesiny, a przez otwór w zbiorniku bucha para. Przez ten otwór Łukasz dosypuje kolejną miseczkę chmielu, ale tym razem jest to inny gatunek, o odmiennym aromacie. Jaki i w ja-

kich proporcjach do pierwszego – pozostaje tajemnicą Łukasza.

– Piwo „na whirlpoolu” stoi przez godzinę, w tym czasie wytrącają się ciężkie białka i chmieliny – tłumaczy Łukasz, zakładając, że po dwugodzinnym pobycie w browarze już tak nasiąkłam wiedzą, że nie musi wyjaśniać, co oznacza „na whirlpoolu” – że brzezkę z chmielem wprowadza się w ruch wirowy. – Potem chłodzenie brzezki w wymienniku ciepła, tak aby uzyskać temperaturę ok. 18 st. C, i napełnienie zbiorników fermentacyjnych.

Trzeba jeszcze dodać drożdże. – Ze względów technicznych dla piwa bardzo ważne elementy produkcji to filtracja i gotowanie – wyjaśnia Łukasz. – Ale najważniejsza jest fermentacja. Ja jako piwowar przygotowuję brzezkę, ale piwo tak naprawdę wytwarzają drożdże. Dlatego trzeba bacznie obserwować, co się dzieje w fermentorze: jak intensywnie one pracują, jaką mają temperaturę. Trzeba reagować w odpowiednim momencie. Ponieważ drożdże to żywe organizmy, potrzebna jest pewna czułość. Ciągłe obserwuję, co się dzieje w tankach, rozmawiam z drożdżami. Uważam, że do produkcji piwa nie wystarczy perfekcja techniczna, niezbędne jest serce, aby drożdże nam zaufały. Ale trzeba je trzymać na wodzy, tak by – jak konie w zaprzęgu – jechały, ale się nie zerwały.

Łukasz mówi o drożdżach jak o współpracownikach. I wierzy, że – odpłacając mu za jego czułość – również tym razem go nie zawiodą, a za cztery tygodnie będzie można rozlać do beczek i butelek kolejne piwo Sauria. Bardzo dobre, może nawet genialne. Jasne, chmielone amerykańskim chmielem, o cytrusowych nutach i lekkie – 3% zawartości alkoholu. I że znowu na wieść o tym, że gotowa jest kolejna Sauria, która tego i tego dnia w tym i tym pubie lub multitapecie będzie „na kranie”, przybędą stęsknieni amatorzy tego trunku. Zaczego.

Ewa Smolińska-Borecka

Browary w Polsce

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości najwięcej browarów było w roku 1922 – 243. W kolejnych latach 20-lecia międzywojennego ich liczba wahała się między 170 a 190. Po II wojnie światowej część przedwojennych browarów była zniszczona. W PRL liczba browarów zbliżała się do 100, a w momencie przemiany ustrojowej, w 1989 r., było ich 80. W latach 90. jedne browary likwidowano, drugie zakładano. Najmniej – tylko 64 – było ich w 2010 r.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

JAK PREZYDENT JUŻ NIE TRZYMA SIĘ DUDY

Wracam myślami do sylwestra. Ciągłe jest w mojej pamięci ten kwadrans przed nowym rokiem, gdy wyszliśmy z kina w centrum Warszawy, by jechać do naszych przyjaciół, w pośpiechu, chcąc zdążyć przed północą. Na ulicach tłumy jak w Paryżu. I ów szczególny rodzaj napięcia, bo już widać zbliżający się nowy rok. A teraz ten nowy rok już zaczyna się starzeć, chociaż jest jeszcze niemowlęciem.

Strasznie obserwować, jak moloch władzy i ideologii wciąga ludzi, jak się radykalizują, okłamują sami siebie i innych. Minister kultury Piotr Gliński wierzy w „dobrą zmianę”, nie posądzam go o cynizm. Pamiętam go z czasów, gdy był średnio wyznającym religię smoleńską, o poglądach raczej umiarkowanych. W tym rządzie tańczy w pierwszej parze. Władza, ideologia, nawet półdyktatura wciąga jak mroczny odkurzacz. Nowy pomysł ministra to likwidacja zespołów filmowych – ma powstać jedna instytucja, no tak, wszystko ma być scentralizowane i kontrolowane. I w końcu zaczną powstawać filmy głęboko patriotyczne. Gliński zaczął unikać bywania w miejscach publicznych, gdzie siedzi elita, by nie zostać wybuczany. Elita nie umie gwizdać na palcach, więc buczy. Minister kultury, który boi się ludzi kultury. Czuje się prześladowany, skarży się: „Język, którym mówi się o PiS, ma wykluczać, unicestwiać, ma nas odczłowieczyć, delegitymizować, mamy być traktowani jak Żydzi przez Goebbelsa. Ma wzbudzić do nas obrzydzenie.” No, z tymi Żydami i Goebbelsem to pan przesadził, ale obrzydzenie rzeczywiście czuję do pana poglądów.

Słyszę, jak ktoś mówi: to, co się dzieje, jest nieestetyczne, oni są obrzydliwi i naród już to widzi. Figa z makiem. Estetyka jest czymś subiektywnym, jest też efektem kultury i treningu oka. W Polsce rwane były wszystkie tradycje oprócz tradycji niechlujstwa. Teraz dopiero zaczęliśmy się uczyć piękna, ale spora część społeczeństwa jest nadal w głębokim estetycznym lesie. Przecież te wszystkie niewiasty radiomaryjne uważają, że prezes jest wzorcem męskiej urody, wysoki, szczupły, wysportowany, szarmancki, a jak on całuje w rękę. I jaki szlachetny.

Już nikt z ludzi, których znam, nie mówi o prezydencie inaczej niż Duda, czasami, z rzadka, pan Duda. Jest to po

prostu zwykła Duda. Mnie też nie przejdzie przez gardło ani przez klawiaturę forma, jaką powinno się określać głowę państwa. Wszyscy poprzedni byli jednak prezydentami, nawet Wałęsa, chociaż raczej do tej funkcji się nie nadawał.

Czytam pamiętnik Mieczysława Lepeckiego, adiutanta Piłsudskiego. Marszałek, już pochylony pod ciężarem zbliżającej się śmierci, pytany o endecję mruczy: „To zapuszczony rak, ostatnia nadzieja tylko w chirurgii”. Otóż wydawało się, że hitleryzm, okupacja Polski, że to wszystko było o wiele więcej niż zabiegiem chirurgicznym. I co? I po tylu latach są przerzuty.

Oczywiście PiS ma kilka opowieści, teraz lubi się mówić narracja. Jest ona antyeuropejska lub nagle europejska, ale wyłącznie z nami jako wzorem europejskości. Jest nacjonalistyczna lub patriotyczna. PiS ma w sobie ideologię, ale podporządkowana jest ona taktyce, więc to czasami hasa od Sasa do Lasa. W sumie jednak ma to być państwo scentralizowane, religijne, nacjonalistyczne, kierowane egoizmem narodowym, dlatego w Unii PiS jest ciałem

obcym. Państwo z tęsknotą za wymyśloną piękną przeszłością, gdzie rodzina była ważna, a ono do niej się wtrąca, kiedy nie powinno, a nie wtrąca się, gdy powinno. To komórka z dominującym ojcem rodziny. Jak czasami przyłoży żonę, nie szkodzi, to ich wewnętrzna sprawa. Tu jednak bieda, bo liberałowie znowu podnieśli krzyk. Zadawane jest pytanie, do czego więc dąży PiS. Wzorcem jest model chiński. Tam silne państwo kontroluje każdy aspekt życia, jest wolność w gospodarce, a gdzie indziej zamordyzm. Teraz właśnie Chińczycy walczą z pornografią, kary są drakońskie. Jeszcze niedawno wszyscy byli pewni, że nie ma szybkiego rozwoju gospodarczego bez demokracji. Chiny udowadniają, że to nieprawda, niestety.

Morawiecki, w którego piersi bije wielkie europejskie serce, kilka miesięcy przed wyborami postanowił wzmocnić rząd młodym człowiekiem, który niedawno jeszcze chrząkał nacjonalistyczne, faszystowskie hasła, a w sposobie mówienia zapatrzył się na Mussoliniego. Teraz trwa nagonka lewackich pederastycznych mediów na biednego chłopca.

Była rzeź drzew, teraz ma być rzeź dzików. Czegokolwiek dotkną, niszczą to.

Minister kultury boi się ludzi kultury.

Życie codzienne, widok na ulicę Puławską, 1948 r.



Warszawa

Powrót do życia

Zakład fryzjerski pod chmurką,
róg Wspólnej i Marszałkowskiej,
wiosna 1945 r.



Na ruinach getta, 1945 r.



Zupa wprost z wagonu tramwajowego, prawdopodobnie ulica Nowy Świat, 1945 r.



Warszawiacy wracają, 1945 r.



Czyszczenie cegieł przed ich ponownym użyciu, w tle ruiny Dworca Głównego, 1945 r.



W oczekiwaniu na klienta, 1945 r.

Posłuchaj serca i podaruj 1% na dom dla opuszczonych dzieci



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE



W SOS Wioskach Dziecięcych mieszkają zastępcze rodziny SOS. Nowy dom znajdują tu dzieci pozbawione opieki rodzicielskiej. Dzięki wsparciu darczyńców wybudowaliśmy cztery Wioski SOS, w których przygotowujemy dzieci do dorosłego życia. Twój 1% przeznaczymy na zapewnienie dzieciom opieki oraz sfinansowanie specjalnych potrzeb medycznych i edukacyjnych.

Aby pomóc, wystarczy wpisać **KRS 0000 056 901**
w odpowiednią rubrykę formularza PIT.
www.wioskisos.org



Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Napisła przed miesiącem w „Wyborczej” Magdalena Środa: „Wielu jest przekonanych, że w Warszawie nie powinien stać pomnik Feliksa Dzierżyńskiego i dobrze się stało, że rozerwano go na strzępy. Ja uważam, że trzeba było go zostawić wraz z tablicą, która upamiętniałaby nie tylko jego zbrodnie, ale i system, który zbrodnie te traktował jako zasługi”. Brzydzę się rozrywaniem czegokolwiek na strzępy, wszelako tutaj jestem jednym z tych „wielu przekonanych”. A dlaczego? Już tłumaczę. Pomnik jest przypomnieniem i patetycznym wyróżnieniem zasług dla miejsca, kraju i narodu tej osoby, którą obrażuje. Bez względu na ocenę działań Dzierżyńskiego ani w Warszawie, ani Polsce niczym się nie zasłużył. Kto go ceni na miarę monumentu, niech go sobie honoruje. W stolicy Rzeczypospolitej obecność jego pomnika niczym jednak się nie tłumaczy poza chęcią podlizania się władzom radzieckim, czyli politycznego zniewolenia. Można też mieć zastrzeżenia do pomnika de Gaulle’a, który, owszem, młodym porucznikiem będąc, przebywał krótko nad Wisłą i podrywał

przeważnie estetyce wysyp, względnie wysypka, oba słowa pasują, pomników Jana Pawła II, Lecha Kaczyńskiego, a w kolejce stoi ponoć Piłsudski. Pierwszy był przeciętnym papieżem, za to Polakiem, i stoi za nim Kościół; drugi przeciętnym prezydentem, ale tragicznie zeszytym i korzystającym z protekcji kochającego brata i jego partii. Odłożywszy na bok estetykę, nie sprzeciwiałbym się nawet, gdyby nie nieznośny narodowy przesadyzm. Znajdź proporcją, mocim panie. Więcej ci się u nas buduje dzisiaj Kaczyńskich niż izb dla bezdomnych. Co prawda, Gavroche mieszkał w posagu przedstawiającym słonia, ale czy pozwolono by mu gnieździć się w brzuchu byłego prezydenta?

Wbrew Magdalenie Środzie wydałbym tu nie tylko zakaz mnożenia monumentów, ale i dotychczas postawione nieco przetrzebił. Także dla uniknięcia wysypki mózgowej, ogłupiania i ośmieszania Rzeczypospolitej. Wszelako ogólnie się z nią zgadzam. Niestety, tylko do momentu, kiedy wychodzi z niej fanatyczna feministka. Piszę oto pani profesor pod

JESZCZE O POMNIKACH

miejscowe panienki, lecz jako polityk ratował później z Londynu honor Francji, nie Polski, a objawwszy władzę, prowadził, co jest jak najbardziej zrozumiałe, skrajnie frankocentryczną politykę i wołał flirtować z Kremlen, niż ronić zbędne ze swojego punktu widzenia łzy nad losem Lechitów za żelazną kurtyną. Skądinąd ani pomnik Dzierżyńskiego, ani de Gaulle’a nie wrosły nigdy w pejzaż ani tradycję stołecznego miasta. Ten drugi nie przywołuje jednak negatywnych konotacji, niechże więc sobie stoi. Jestem w tym względzie bardzo tolerancyjny.

Przed parlamentem fińskim w Helsinkach stoi posąg cara Aleksandra II. Był on wprawdzie niewątpliwym okupantem kraju, ale otworzył ów parlament i na tyle rozumiał narodowe aspiracje Finów, że – jak pisze Osmo Jussila – „za jego panowania fińskie Zgromadzenie Państwowe postępowo tak, jakby Finlandia pozostawała jedynie w unii dynastycznej z Rosją”. Pozytywy na tyle przewyższały strony negatywne, że Finowie postanowili oddać Aleksandrowi II cześć utrwaloną w spiżu. Ważny okazuje się bilans. Jest to w jakiejś mierze podobne do sytuacji żołnierzy radzieckich padających na polskiej ziemi w walce z hitlerowcami. Nie wspominając o ofierze krwi (choć moralnie pominąć jej nie sposób), jeżeli nawet uznamy, że przynosili do Polski podporządkowanie Moskiewie, to zbawiali nas – tu nie ma żadnej możliwej dyskusji – od czegoś nieskończenie gorszego, niech o tym świadczą otwierające się na nowo drzwi polskich szkół, odbudowa z ruin, fakt, że przestały dymić kominy obozów zagłady itd. Dlatego niszczenie pomników tych żołdatów sprzed i zza Uralu jest podyktowanym doraźnymi gierkami politycznymi skończonym barbarzyństwem.

Zdaję sobie wszakże doskonale sprawę, że polskim problemem monumentalnym jest dzisiaj nie to, tylko urągający

śródtytułem „Jak uczcić ofiary tych, którym stawiamy pomniki”: „Mamy w Warszawie popiersie Napoleona, zdobywcy, wielkiego wodza, nadziei Polski rozbiorowej. Ale to jedynie pół jego biografii. Napoleon podbijał, grabił, zdradzał. (...) Wykorzystywał też seksualnie wiele kobiet. Dlaczego więc – gwoi prawdy – nie opatrzyć pełnym komentarzem jego popiersia, wspominając o ofiarach jego ambicji. Powinno się też postawić (obok) popiersie Marii Walewskiej z napisem: »Walewska, dar polskiego narodu dla Napoleona. Bezbronna ofiara molestowania seksualnego«”.

Śpieszę poinformować panią profesor, że to kobiety wypychały się Napoleonowi do łóżka tak nachalnie, iż mameluk Roustam Raza dostał nawet specjalną instrukcję, jak przepędzać spragnione wdzięków boga wojny, a nie odwrotnie. Jeżeli natomiast chodzi o panią Walewską, którą rodzina wydała za starszego o 50 (sic!) lat Atanazego, to w przeciwieństwie do jej krewnych i znajomych cesarz zachował się wobec niej z pełną dżentelmenią, a na dalszych etapach romansu to raczej ona była stroną natarczywą. Atoli prof. Środzie do głowy nie przychodzi, że szanowne panie mogą molestować seksualnie faceta, a jeśli nawet, jest to o wiele mniej naganne i właściwie niewarte wzmianki. Nie pisałbym o tym, gdyby nie myśl pokrętna, że gdyby magnat Jankowski gwałcił dziewczynki, to w swoim seksizmie *à rebours* byłaby nasza moralistka bardziej surowa, a tak, gdy chodzi o chłopców, wystarczy jej tablica: „Prawat Jankowski, spowiednik »Solidarności«, przestępca seksualny”. Pomijając już, że nie istnieje nic takiego jak spowiednik organizacji (spowiednik królewski to spowiednik konkretnej osoby), a przestępcą ogłasza sąd, w przypadku tym najlepiej jednak statuetkę zburzyć, choć wobec pań był ponoć bursztynowy fajdak najzupełniej OK.

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Śródziemnomorska, ekologiczna, bezglutenowa, proteinowa – a jaka dieta jest teraz w modzie?

– Pudełkowa (śmiech). Najczęściej dobrze zbilansowana, ale pozbawiona możliwości dokonywania przez nas samodzielnego wyboru, co rodzi pewne problemy. Nadal w modzie są też diety eliminujące węglowodany, gluten, mleko – stosowane przez osoby, które nie mają wskazań zdrowotnych do takich diet.

Ile procent Polaków je stosuje?

– Niestety, nie ma aktualnych badań na ten temat. Z ostatnich badań CBOS – za 2014 r. – wynika tylko, że jakąś dietę stosuje 26% Polaków. Przypuszczam, że teraz już znacznie więcej.

Czym to tłumaczyć?

– Brakiem dobrze ugruntowanej wiedzy żywieniowej. Kiedy pytam np. w gabinecie osoby, które chcą schudnąć, od czego tak naprawdę zależy masa ciała, to większość nie wie, że od bilansu energetycznego. I dotyczy to także tych, którzy deklarują, że odchudzają się od lat. Kojarzą co prawda, co jest wrogiem szczupłej sylwetki, wymienią tu spójnie: słodycze, tłuste mięsa, cukry proste. Ale już nie wiedzą, że produkty uznawane za zdrowe, takie jak tłuste ryby, orzechy, pełnoziarniste pieczywo, mogą powodować tycie.

Króluje przekonanie, że liczy się jakość produktu, a nie jego wartość energetyczna.

– A to nieprawda! Korzystne dla zdrowia tłuszcze czy węglowodany, jeśli nie zostaną spalone, też są odkładane w postaci tkanki tłuszczowej. A o tym już wiele osób nie wie. Podobnie spotykam się z nieracjonalnym lękiem przed niektórymi produktami, choćby tymi o wysokim indeksie glikemicznym – są wśród nich np. słodycze. One co prawda nie mają najlepszej wartości odżywczej i nie pomagają w utrzymaniu apetytu na wodzy, ale same w sobie nie powodują tycia, o ile oczywiście zostaną spożyte adekwatnie do potrzeb i organizm wykorzysta ten szybki dowóz energii.

Sęk w tym, że najczęściej dominuje u nas myślenie w kategoriach „wszystko albo nic”.

– Albo jestem na diecie i nie tykam słodczy i innych „tuczających” produktów, albo już nie wytrzymuję tego re-

SKĄD W NAS TEN GŁÓD?

Wystarczy kolejna nowa dieta cud, a Polacy łykają ją jak młode pelikany

DR ANNA JANUSZEWICZ

– prezes Instytutu Psychodietetyki i Towarzystwa Psychodietetyki oraz wykładowca Uniwersytetu SWPS



żimu i zarzucam dietę. Takie podejście sprawia, że nie jesteśmy w stanie trwać w danym modelu żywieniowym, tylko wciąż i wciąż próbujemy nowych kuracji. Ale problemem nie jest nieskuteczność danej metody, błąd tkwi w traktowaniu jej jak kuracji, która powinna być przestrzegana w stu procentach. A za tym idzie całkowite zarzucanie jej, kiedy tylko dojdzie do nawet drobnego odstępstwa. **I kolejna dieta postrzegana jest wtedy jako nowa szansa...**

– Zdecydowanie! I jest w tym magia wynikająca z założenia: to, co nowe, wydaje się inne, lepsze, skuteczniejsze i rodzi złudzenie, że „teraz będzie inaczej”, „tym razem się uda”. Niestety, jeśli problemem jest brak odpowiedniego podejścia, to nowa dieta najczęściej i tak nic nie zmieni.

Tyle że swoje zrobiła też popkultura. Przecież co chwilę słyszymy, że na dietę przechodzi a to Jennifer Aniston, a to Oprah Winfrey czy Victoria Beckham. Dlaczego działają na nas rozkapryszone celebrytki?

– Odpowiada za to m.in. zjawisko modelowania, czyli uczenia się przez obserwację innych. To ono sprawia, że silniej wpływa na nas przykład oso-

by, która osiągnęła sukces poprzez zastosowanie tajemniczej metody, a nie np. dane statystyczne, rekomendacje lekarzy i inne „banalne sposoby.”

„Każdy powinien jeść przez tydzień produkty bez glutenu. Wygląd twojej skóry, zdrowie i nastrój niesamowicie się poprawiają. Już nie wrócisz do dawnego żywienia!”, píše Miley Cyrus. Mnie to przekonuje, chociażby do spróbowania. A panią?

– Niekoniecznie. Bo jeśli cieszę się dobrym zdrowiem, znakomitym nastrojem i niezłą kondycją skóry, to eksperymenty żywieniowe uważam za bezzasadne. Jeśli z kolei pojawiają się problemy, to eksperymenty bywają już korzystne. Trzeba jednak pamiętać i o tym, że mogą nieść koszty zarówno zdrowotne, jak i psychologiczne. I nie warto decydować się na nie bezzasadnie. Bez zgłębienia tematu.

Co w takim razie koniecznie trzeba wiedzieć?

– Znać choćby prostą zasadę: kiedy myślimy o dietach, zdarza się, że zaczynamy jeść więcej. Bo dieta kojarzy się nam z katogą i uruchamia zachowania kompensacyjne, czyli np. jedzenie „na zapas”. To u jednych,

drudzy z kolei, czytając o dietach, zaczną odczuwać niepokój: „To już w końcu nie wiem, co jeść, każdy mówi co innego”.

Wychodzi na to, że w promowaniu diet więcej jest złego niż dobrego.

– Tak, jeśli rozumiane są one jako kuracje żywieniowe. Dużo korzystniejsze jest promowanie dobrych praktyk, takich jak zdrowe gotowanie, uważne jedzenie, przygotowywanie tradycyjnych potraw z uwzględnieniem ich wartości kalorycznej, w tym z wykorzystywaniem mniej znanych mąk do pieczenia ciast, zastępowanie cukru bakaliami itp. czy bazowanie na produktach ekologicznych i nieprzetworzonych, czytanie etykiet.

A co działa na nas silniej? Strach przed chorobami czy wizja zgrabnej sylwetki? Jak to w końcu jest?

– Nie ma na to jednej odpowiedzi. Bo lęk, według badań psychologów, działa krótkoterminowo i nierzadko powoduje, że zbyt dosłownie traktujemy różne doniesienia. Czyli jeśli w badaniach ujawniono związek między chorobą Alzheimera a dietą, jeszcze nie musi to oznaczać, że dieta jest główną przyczyną albo że w ogóle jest przyczyną choroby. Podobnie jak związek między mieszkaniem na wsi a występowaniem choroby nie oznacza, że samo miejsce zamieszkania wpływa na rozwój choroby, wskazuje natomiast, że ludzie mieszkający na terenach wiejskich czymś się różnią od tych z miast, np. mają utrudniony dostęp do opieki medycznej.

Z kolei wizja zgrabnej sylwetki to motywacja do diet głównie wśród kobiet. Ale żadna z tych motywacji nie jest optymalna.

Dlaczego?

– Bo jeśli odpowiednie jedzenie nie będzie nagrodą samo w sobie, tylko wysiłkiem, który ma prowadzić do określonych efektów – w postaci dobrego zdrowia lub wyglądu – to prawdopodobnie nie stanie się ona odpowiednio trwałym nawykiem. Nawyk bowiem to coś, co nie wymaga wysiłku i najczęściej przynosi natychmiastową przyjemność.

Do tego nam jednak daleko. Dużo szybciej dieta staje się religią, a jej stosowanie przestrzeganiem przykazań. Dlaczego?

– Bo bywa ona nie tylko środkiem do poprawy zdrowia i samopoczucia, ale może też pełnić różne inne funkcje.

Jakie na przykład?

– Zapewniać przynależność do grupy osób stosujących dany model żywieniowy, co podtrzymuje motywację i wytrwałość uczestników. Wiele promowanych trendów bazuje właśnie na tworzeniu wspólnot, jak Weight Watchers czy złoty „Gacowiczów”.

I wtedy często prowadzi to do zaburzeń odżywiania?

– Mechanizm wpływu społecznego sam w sobie jest korzystny, o ile oczywiście nie pcha w stronę praktyk, które są szkodliwe. A jeśli chodzi o nieracjonalne diety, to na pewno możemy mówić o takiej szkodliwości. Czyli, jeśli pytanie brzmi, czy diety mogą prowadzić do zaburzeń odżywiania, to moja odpowiedź brzmi: tak, zdecydowanie tak. Restrykcje żywieniowe są ważnym elementem mechanizmów powstawania zaburzeń odżywiania. A najczęściej zaburzenia odżywiania zaczynają się niewinnie od odchudzania...

A może po prostu potrzebujemy znaleźć kozła ofiarnego, jedną przyczynę naszych problemów i chorób, a potem dostać szybką receptę, proste rozwiązanie? Masz problem z wypadaniem włosów, zacznij jeść – a bo ja wiem – arbuzy.

– O tak! Szukanie jednoczynnikowych uzasadnień jest prawdziwą zmorą. Bardzo często wierzymy,

Na masę ciała wpływa bilans energetyczny, a nie jakieś konkretne produkty.

że problemy mają jedną przyczynę – słaby wzrok to brak witaminy A, problemy z gardłem to z kolei brak witaminy C itp. Oczywiście witaminy są tylko jednym z wielu czynników wpływających na wymienione problemy. Ale żeby tak widzieć tę kwestię, trzeba już dysponować nieco większą wiedzą.

Dlaczego w ogóle tak chętnie wybieramy dane, które potwierdzają nasze uprzedzenia? Choć wnioski końcowe same w sobie są nieoczywiste.

– Z jednej strony, może być to jakaś nieuważność we wnioskowaniu – zajęci, zestresowani, często funkcjonujemy automatycznie, słabo analizujemy informacje i kiepsko orientujemy się w temacie. Z drugiej – takie jednoczynnikowe wyjaśnienia rozprzestrzeniają się jak supernows,

są łatwe do przyswojenia, wydają się sensowne. No i dają poczucie wpływu – skoro witamina A jest dobra na wzrok, to mam lekarstwo na moje problemy!

Kiedy rozumiemy już, że witamina A nie jest jednak lekiem na wzrok...

– ...tylko jednym z koniecznych warunków – ale niewystarczającym – do jego prawidłowego funkcjonowania, to poczucie wpływu maleje.

Paliwo jest niezbędne, żeby samochód jechał, jak nie będzie paliwa, to nie pojedzie. Tyle że nie zawsze, gdy auto stanie na drodze, wystarczy wlać mu dużo paliwa, aby ruszyło. Zdarzają się różne awarie. Oczywiście paliwo pozostanie nadal ważne, ale nie naprawi samochodu, jeśli popsuł się jakiś mechanizm. Podobnie jest z odżywianiem, ono niestety najczęściej nie leczy, ale jest jednym z warunków zdrowia.

Eksperci mówią w tym wypadku o efekcie białego kapelusza. To nic innego jak naginanie faktów w imię wyższego dobra – co jeszcze nam ono daje?

– Kiedy uwierzmy, że coś jest dla nas pomocne, czujemy się zdrowiej. Wiele osób wierzy np., że gorąca herbata z cytryną i miodem jest dobra na przeziębienie. Nauka podaje z kolei w wątpliwość terapeutyczną moc kilku kropli soku z cytryny i miodu utojonych we wrzątku. Prawdopodobnie jednak jest nam lepiej, kiedy zakładamy, że coś działa, kiedy dostrzegamy

pozytywne następstwa danych praktyk. A tak naprawdę być może to efekt placebo, przypadek lub nieobiektywnej oceny faktów.

Albo ogólnikowych stwierdzeń, których też nie brakuje przy opisach diet cud.

– Oczywiście! One mocno zapadają w pamięć i są jak fałszywe drogowskazy. Te najbardziej szkodliwe dla grupy osób, z którą pracuję – czyli osób z zaburzeniami odżywiania, dietujących i przejadających się – dotyczą podziału produktów na te, które „tuczą”, i te, które „nie tuczą”. Na przykład kubeczek jogurtu, który zawiera 100-150 kalorii, nie tuczy albo wręcz odchudza; ważne, że to jogurt, czyli coś, co kojarzy się z dietą. Z kolei śmietankowy lód na patyku – także zawiera 100-150 kalorii – już rzekomo tuczy. Łyzeczka cu- ▶

► kru w herbacie też bywa problemem, choć zjadamy dziennie, powiedzmy, kilogram jabłek zawierający fruktozę, czyli również cukier.

Maksymy powtarzane od lat stają się niepodważalnymi prawdami. Co z tego, że wszystko opiera się na niespójnych dowodach.

– Powiem więcej, jeśli ktoś wielokrotnie słyszał, że coś tuczy, i jednocześnie nie chce przytyć, to nie tak łatwo go przekonać, że nie musi rezygnować z produktu, który ma zły PR. Nawet kiedy pracuję w duecie z dietetykiem (niektóre konsultacje prowadzimy razem) i staramy się obniżyć lęk pacjentów przed jedzeniem, wiele razy musimy im mówić, co wpływa na masę ciała – bilans

Jedzenie nie dzieli się więc na „zdrowe” i „niezdrowe” i takie podziały powinniśmy wyrzucić ze słownika. A zamiast tego zacząć patrzeć na produkty jako na źródło różnych typów energii i innych składników, których organizm potrzebuje w konkretnej sytuacji.

„Jestem tym, co jem” – to też mit?

– Tak, tym bardziej że znowu mamy tu do czynienia z jednoczynnikowym wyjaśnieniem. Nasze zdrowie czy wygląd zależą nie tylko od diety, ale również od genów i wielu zachowań, w tym od aktywności fizycznej, stresu, stosowania używek, takich jak papierosy, narkotyki itp. To powiedzenie, że jesteśmy tym, co jemy, jest mocnym uproszczeniem.

Dawno podważone przez naukę teorie, by jeść zgodnie z grupą krwi lub nie jeść owoców po godz. 14, wciąż mają zwolenników.

energetyczny, a nie jakieś konkretne produkty. A i tak często dużo czasu upływa, zanim to do pacjenta dotrze. Najczęściej słyszymy: „Ale czy to na pewno są takie same kalorie?”, „Niech mi pani jeszcze raz powie o tej gruszcze, że nie muszę się jej bać. Że po prostu ma trochę więcej kalorii niż jabłko. Ale ciągle mniej niż np. jogurt, który jadam”, „Bo ja to niby wiem, ale ciągle się boję. Tyle razy słyszałam, że wśród owoców gruszki, banany i winogrona tuczą...”.

Inne ogólniki, w które wierzymy?

– Dotyczą np. tego, że od „chemii w jedzeniu” tyjemy, a tego, co jemy wieczorem, organizm nie spala, tylko odkłada. Do tego zdrowe tłuszcze nie tuczą, a tuczą te trans...

Czasem wystarczą samo stwierdzenie, że coś jest szkodliwe dla dzieci, np. sól. Jakie jeszcze schematy myślenia obowiązują?

– Innym dobrym przykładem jest masło i margaryna, co do znaczenia których od lat toczy się spór. Jakoś nie potrafimy się pogodzić z tym, że one zawierają inne tłuszcze, a ich znaczenie dla zdrowia zależy od potrzeb organizmu – organizm potrzebuje pewnej ilości tłuszczów zwierzęcych i witamin zawartych w maśle, a więc dla tych, którzy nie dostarczają sobie tych składników z innych źródeł, będzie ono dobre. Natomiast dobrej jakości margaryny mają swoje walory w postaci nienasyconych kwasów tłuszczowych.

Takich niedorzecznych porad żywieniowych tymczasem nie brakuje: „Tłusto jadasz, tłuszczem obrosisz”, „Czerwone winogrona są dobre na krew”, „Otyli powinni jeść tylko mięso zwierząt dzikich, a już na pewno nie ślimaki”.

– Jedzenie zgodne z grupą krwi, niejedzenie owoców po godz. 14 – to inne teorie już dawno podważone przez naukę, ale wciąż mające swoich zwolenników. Do tego: unikanie bananów, winogron i gruszek jako owoców „tuczających” czy niedawno robiący furorę olej kokosowy, o którym dużo się mówiło, że jest „zdrowy”, ale niewiele było słyhać o tym, na czym polega jego wyjątkowość. Obecnie polecany do zastosowania w kosmetyce, ale nie w kuchni.

Skąd się w nas bierze to myślenie magiczne?

– Sądę, że z potrzeby kontroli, czyli potrzeby doświadczenia diet jako czegoś spektakularnego, czegoś, co, jak stosuję, to „poczuję, że działa”. Przypuszczam też, że wkłada się do tego założenie, że „kiedy cierpię”, to coś robię dla swojego zdrowia/swojej figury”. Mam wręcz poczucie, że niektórzy chcą czuć głód, chcą, żeby było „strasznie”, bo „strasznie” oznacza dla nich tyle, co „skutecznie”. Oczywiście potem nie wytrzymują reżimu.

Ogarnięci manią na punkcie (zdrowej) żywności – jesteśmy gotowi

uwierzyć w każdą dietę/bzdurę?

Nawet w to – tu cytuję – „że kwaśny ananas trawi mięso, nie pozwalając się odkładać tłuszczowi”?

– Niedawno usłyszałam od endokrynologa poradę daną znajomej mi osobie, że osoby otyłe powinny jeść dużo ananasów (z marchewką!), i przyznam, że jako osoba pracująca z otyłymi załamalam ręce... Bo nawet jeśli ananas ma jakiś wpływ na odkładanie tłuszczu, to skoro lekarz w gabinecie promuje coś takiego jako główny sposób na schudnięcie – a nie mówi nic o kluczowych zachowaniach dla masy ciała (takich jak utrzymywanie należytego bilansu energetycznego) – przestaję się dziwić, że pacjenci błędzą. Najpierw muszą przestać błędzić specjaliści! Zalecenie ananasa z marchewką pokazuje dobitnie, że są w lesie. Ba, założę się, że jeśli na jeden zjedzony cukierek lub krakers przypadnie nawet cały ananas i marchewka, to i tak nikt nie schudnie!

Niestety, takie praktyki specjalistów jak przedstawianie produktów na skróty, jako „dobre” i „złe”, „tuczające” i „nietuczające”, „dozwolone” i „nieodzwolone”, czy też promowanie diet eliminacyjnych bez podstaw, rozpisywanie tych o zbyt niskiej kaloryczności, to zła robota wielu doradców żywieniowych. Ona oddala od skutecznego, ale i elastycznego kontrolowania odżywiania.

A dlaczego my w ogóle musimy wiedzieć, co jeść?

– Bo odpowiednia wiedza jest punktem wyjścia do rozsądnej zmiany zachowań. Jej brak oznacza chwiejność i „skakanie z kwiatka na kwiatek” w poszukiwaniu tej jednej jedynej diety, która wszystko zmieni. A to droga donikąd! Tym bardziej że, jak obserwuję od lat modę na rozmaite diety, to widzę, że pod różnymi nazwami ciągle promuje się podobne zasady – jedne są korzystne dla zdrowia i oparte na wiedzy naukowej, drugie nie. Takie trendy każą najczęściej eliminować pewne grupy produktów. I tak na liście wrogów szczipłej sylwetki i zdrowia wciąż pojawiają się węglowodany, natomiast mniej boimy się teraz tłuszczów, co ma odzwierciedlenie w takich popularnych dietach jak dieta ketogeniczna, FODMAP, paleo.

Dorota Bartosiewicz

Nowe ceny w obrocie słowami

Edward Mikołajczyk

W styczniu podróżowały słowa, na razie te drukowane, czyli wyrazy.

Omenaa Mensah, piękna kobieta, prezenterka TVN, po trzech z górą latach zakończyła swoją wędrówkę w poszukiwaniu sprawiedliwości. Korzystne dla niej orzeczenie sądu apelacyjnego będzie kosztować właściciela internetowego Pudelka 30 tys. zł. Dodatkowo przez tydzień Pudelek musiał przeproszać panią Omenę, a to też są pieniądze i szkody wizerunkowe, bo trzeba będzie podkulić ogon. Kara spotykała go za to, że „w sposób rażąco niezgodny z prawem” rozpowszechniał wulgarne, rasistowskie i propagujące przemoc komentarze na temat prezenterki. Takie są skutki spuszczenia ze smyczy nawet niegroźnego pieska z czarnym podniebieniem.

Nie wiem, czy wysoki sąd wiedział, że Omenaa chce przeznaczyć zasądzoną kwotę na budowę szkoły dla dzieci ulicy w Ghanie. Taka szkoła to pewnie kosztowniejsza inwestycja, więc najwyższa sprawiedliwość mogła troszkę apgrejdować karę, żeby wystarczyło pieniędzy. Zwłaszcza że Pudelek to przecież recydywista, specjalnie przyuczany przez właściciela do rzucania się na ludzi.

„Sieci” (jest taki tygodnik) mają zapłacić 50 tys. zł Iwonie Sulik, byłej rzeczniczce rządu. Zadośćuczynienie należy się, zdaniem sądu, za naruszenie godności osobistej zawarte w określeniu „lubi sobie dziabnąć”. Każdy ma swoją wrażliwość i nie dziwię się byłej pani rzecznik, że poszła z tym do sądu.

To jest termin z zakurzonego dworca Pekaesu w dniu wypłaty albo imienin klienta ostatniego kursu. Nie nadaje się w ogóle do czernienia nim papieru, a tym bardziej do oczerniania kogoś z towarzystwa. Sąd miał ból głowy, ile się należy za szkaradne pomówienie, bo lud na Mazowszu

Zawód dziennikarza marnieje. Rzetelność nie jest w cenie. Liczy się to, co można tanio sprzedać.

używa „dziabnięcia” częściej niż pieprzu i do nazywania wielu czynności. Wahał się i liczył: w pierwszej instancji zasądził 10 tys. zł za knajacki wybryk, teraz pięciokrotnie podniósł cenę.

100 tys. zł zapłaci „Fakt” (tabloid, dawniej: brukowiec) Janinie Drzewieckiej, którą wpłatał w wymyśloną przez siebie kradzież futra ze sklepu w Ameryce. Był rok 2013. Pani Drzewiecka nieprzypadkowo była żoną ministra, który zaczął mieć kłopoty i – żeby afera była większa – miała współniczkę Monikę. Chodziło o sensacyjne pomnożenie futer, w których potem widywano niektóre stołeczne celebrytki. „Wspólniczka” już wcześniej skasowała „Fakt” na 150 tys. zł zadośćuczynienia za oburzające kłamstwo.

Pani Drzewiecka dopiero teraz dostała kasę, odczuwalnie mniejszą, niż się domagała.

W historii nauczania zawodu dziennikarskiego w Polsce utrwalił się obyczaj mierzenia zawodowstwa liczbą wygranych procesów. Nowa tradycja do tego stopnia zamieniła bieguny moralne aktywności publicznej dziennikarzy, że z najwyższym trudem nazywam jeszcze dziennikarzami dzisiejszych media workerów.

Liczba procesów rośnie, zawód marnieje. Rzetelność nie jest w cenie. Liczy się to, co można tanio sprzedać.



Dlatego z niekłamaną radością witam noworoczną podwyżkę cen w obrocie słowami. Rodzi ona nadzieję na renesans dziennikarstwa rozumianego jako służba publiczna postawiona na straży demokracji i kontrolująca zachowania administratorów ludzkich dążeń.

Kara dla Pudelka, który zaniedbał obronę dobrego imienia pani Mensah, choć najmniej dotkliwa, może być jakimś wskazaniem, co robić, kiedy mamy do czynienia z prawdziwym tsunami hejtu, nie tylko z pojedynczymi plugawcami i zapisanymi dowodami ich wrzasków, ale ze zbitym tłumem, który robi to samo, tyle że anonimowo, czyli bezkarnie. A to już dzisiaj także „bratnia” przypadłość.

W drugim dniu świąt Bożego Narodzenia w Mediolanie (bliżej Rzymu i Betlejem), na słynnym stadionie San Siro Inter grał z Napoli. Publiczność kwitowała odgłosami małą każde przejęcie piłki przez obrońcę drużyny gości, Koulibaly’ego, dobrze nam znanego z (przegranego) meczu Polska-Senegal na ostatnich mistrzostwach świata w Rosji. Piłkarz nie wytrzymał presji, szybko zarobił dwie żółte kartki i został odesłany do szatni.

Dokuczanie to coś zdrowego, powiedział wicepremier Salvini. Wszyscy poza rządem włoskim wiedzą, co zrobić z rasizmem na trybunach. Rząd natomiast wie, co robi. ■

DZIEWIĘĆ METRÓW POD ŚNIEGIEM

Dla lawiny nie ma znaczenia, czy porywa zawodowca, czy żółtodzioba



Wypadek skiturowca Hańczowej Przełęczy.

Beata Sabata-Zielińska

Miała porcelanowe oczy. Szkliste. Martwe jak oczy lalki. Nie oddychała, ale jej serce biło, słabo, słabiuteńko. Kurczyło się ostatkiem sił, ale wytrzymało do czasu przejęcia jej przez ratowników. Po czym stanęło.

Była pod śniegiem dwie godziny! Gdy ratownicy stanęli do walki o jej życie, ani przez moment nie wątpili, że się uda. Rozpoczynając reanimację, zaczęli heroiczną walkę o... nadzieję i nie odpuścili, choć wszystko zdawało się być przeciwko nim, przeciwno niej. (...)

Miała na imię Kasia i 25 lat. Lawina, która spadła z rejonu Świstówki, porwała cztery osoby. Ich los zdawał się przesądzony. Karty rozdane. Mimo to grupa zdeterminowanych ludzi stanęła do rozgrywki z Bogiem, wykładając na stół swo-

je doświadczenie, odwagę i wiarę w cuda. I cud się zdarzył.

Ale u jego podwalin leży jedna z największych tragedii w historii TOPR.

•
Bezradność, totalna bezradność. To uczucie dominuje w przypadku zetknięcia się z lawiną. Potęga natury i świadomość nieuchronności losu są obezwładniające, niezależnie od tego, kogo dosięga żywioł. Specjaliści bardzo często powtarzają, że dla lawiny nie ma znaczenia, czy porywa zawodowca, czy żółtodzioba – jeśli nie potrafili jej uniknąć, dla obydwu będzie równie bezwzględna, a to, czy i który z nich przeżyje, zależy wyłącznie od tego, co komu pisane.

Zima 1956 r. była wyjątkowo śnieżna, a pogoda parszywie zdradliwa. W lutym intensywnie sywał śnieg, a na początku marca przyszło gwałtowne ocieplenie, destabilizu-

jąc pokrywę śnieżną. Nabite w żlebach i nawiane na polach śnieżnych ogromne masy białego puchu były tykającą bombą zegarową, która 3 marca wybuchła.

– Koło południa przyszła do centrali wiadomość, że w Dolinie Pięciu Stawów Polskich zeszła lawina, porywając narciarza – wspomina Michał Gajewski. – Ruszyliśmy do akcji, ale na miejsce dotarliśmy około trzeciej! Takie to były czasy! Wszystko odbywało się na piechotę, dlatego już w drodze wiedzieliśmy, że będziemy zdecydowanie za późno, a to, co zobaczyliśmy na miejscu, utwierdziło nas w przekonaniu, że szukamy ciała. Nigdy nie widziałem tak dużej lawiny. Spadła na zalesiony teren, piekielnie utrudniając poszukiwania. Pod śniegiem było sporo kosodrzewiny, mieliśmy problemy, by rozpoznać, w co uderza sonda. Pracowaliśmy do nocy. Niestety, nie znaleźliśmy

zasypanego. Trafiliśmy na niego dopiero po kilku tygodniach, gdy wytopiły się śniegi. Okazało się, że leżał metr nad potokiem, zakopany w kosówce. Tego wieczoru po nieudanych poszukiwaniach mieliśmy odpocząć w schronisku w Roztoce, ale nadeszła wiadomość, że z Goryczkowej Czuby zeszła kolejna potężna lawina, która zmiotła z powierzchni... schronisko oraz szałas pasterski! Pięć osób zginęło.

Tego ranka nic nie wskazywało, że wydarzy się coś tak strasznego.

Zofia i Władysław Marcinowscy, małżeństwo prowadzące schronisko, jak co dzień pojawili się w pracy, była z nimi ich dwuletnia córeczka Marysia. Ponieważ mała kichała, kasała i leciała z rąk, pani Zofia postanowiła zawieźć ją do Zakopanego, a choć chciała zostać z dzieckiem chwilę dłużej, obowiązki na górze wzywały. Po kilku godzinach pojawiła się więc w Kuźnicach, a że dzień zaczął szarzyć, kładąc się mrocznym cieniem na szlakach, jeden z pracowników kolejki zaproponował kobiecie szybką podwózkę na szczyt. Łatwiej przecież zejść z Myślenickich Turni, niż samotnie przedzierać się w mroku pod górę. „Prawda to, prawda”, przyznała wdzięczna pani Zofia i rzutem na taśmę, jako ostatnia i jedyna pasażerka wagonika, ruszyła w górę... ku przeznaczeniu.

Ech, gdyby nie wsiadła do tej kolejki, gdyby szła piechotą – kto wie, może oszukałaby los? A tak... w chwili tragedii prawdopodobnie obierała kartofle, bo ratownicy znaleźli ją z charakterystycznym nożykiem w ręku. Jej mąż oraz trzej żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza odpoczywający przed schroniskiem wbici zostali w jeden kąt.

– To, co zobaczyłem po dojściu na miejsce zdarzenia, zostanie mi w pamięci do końca życia – kontynuuje opowieść Gajewski. – Czegoś takiego nie mógłbym sobie wyobrazić nawet w najstraszniejszych snach. Schronisko zostało dosłownie zmiażdżone. Mieliśmy przed sobą górę śniegu i belek. Wszystko razem wymieszane.

Tragedia wstrząsnęła Polską. W Tatrach nigdy nic podobnego nie miało miejsca. Rozmiar kataklizmu przerażał i przytłaczał, a jednak ludzie, którzy w odruchu serca ruszyli na pomoc, wierzyli, że być może zdołają kogoś uratować. Próżne to

były nadzieje. Sama lawina była potężnych rozmiarów, a w połączeniu z rozbitym schroniskiem tworzyła trudną do pokonania fortecę. Pół tysiąca osób dzielnie ją forsowało, by ostatecznie sprostać wyzwaniu: odnaleziono wszystkie ofiary.

– Szkoda ich. Marcinowscy byli cudownymi ludźmi. Gościnni, chętni do pomocy, uczynni, do tańca i do różańca. Ech, straszny los – mówi Michał Gajewski, dodając, że po tej tragedii miejsce dramatu zostało nazwane Żlebem Marcinowskich.

50 lat później – dokładnie w tym samym miejscu i niemal dokładnie w tym samym czasie – 19 lutego 2012 r. w Żlebie Marcinowskich lawina porwała dwie narciarki skitourowe. Jedna z nich miała sporo szczęścia. Po pierwsze, w okolicy całkiem przypadkowo wędrował ratownik TOPR, który od razu rzucił się

Tatrzańskie lawiny zabijają. Zazwyczaj ginie się w nich z uduszenia.

na ratunek, po drugie, spod śniegu wystawał jej kijek, dzięki czemu szybko ją zlokalizował i odkopał. Narciarki nie miały detektorów lawinowych, dlatego szukanie koleżanki zajęło godzinę. Nie pomogła udana resuscytacja, kobieta zmarła w szpitalu.

„Stuprocentowe szanse na przeżycie w lawinie ma wyłącznie ten, kto się w niej nie znajdzie”, mówią ratownicy, podkreślając, że wyraża to wszystko, co w turystyce zimowej jest najważniejsze. A najważniejsze jest UNIKANIE LAWIN. Z tym wiąże się cała skomplikowana wiedza: umiejętność oceny warunków w terenie i dostosowania wycieczki do tego, co widzimy wokół siebie, a co często powinno sprowadzać się do decyzji o zawróceniu.

Tatrzańskie lawiny zabijają. Zazwyczaj ginie się w nich z uduszenia. 25% przypadków to jednak śmierć na skutek urazów odniesionych w trakcie spadania, co wynika z rzeźby terenu.

– W polskich Tatrach nie ma dużych, otwartych pól śnieżnych, a mówiąc ściślej, jest ich procentowo mniej niż ostrych, drapieżnych skał. Dlatego nawet niewielkie lawiny, z małą ilością śniegu, stanowią duże zagrożenie – tłumaczy Marcin Józe-

fowicz. – Według statystyk najczęściej wypadków zdarza się przy drugim, a więc umiarkowanym stopniu zagrożenia lawinowego, choć były śmiertelne zdarzenia nawet przy lawinowej jedynce! Tatrzańskie lawiny, żeby zabić człowieka, nie muszą go zasypać, wystarczy, że strącą go w przepaść lub w bardzo skalisty teren. Są, mówiąc brutalnie, jak maszyny do mięsa, schodząc wąskimi, skalistymi żlebami, dosłownie miały swoją ofiarę. (...)

Lawiny to naturalny element krajobrazu gór o charakterze alpejskim i nie ma w tym nic niezwykłego. Dawniej jednak, w latach 70. i 80., zimą w Tatrach było po prostu pusto.

– Ruch turystyczny zimą, szczególnie wyjścia w najwyższe partie Tatr, wzrósł dopiero w ostatnich latach. Największy procentowy przyrost turystów odnotowujemy właśnie zimą, a to parcie na Rysy czy inne szczyty oraz duża liczba wypadków z tym związana

jest tego konsekwencją – mówi Jan Krzysztof.

– Nigdy nie zapomnę „mojej” pierwszej lawiny, o której dowiedziałem się z... telewizji – wspomina Jerzy Maciata. – Był luty 1987 r. Siedziałem w domu i oglądałem wiadomości, gdy dziennikarz nagle podał, że w Tatrach zeszła lawina ze Świńskiego Kotła, porywając ludzi. Nie dosłuchałem reszty wiadomości, bo natychmiast się spakowałem i pojechałem do centrali, gdzie już rozpoczęła się organizacja wyprawy. To, co zobaczyliśmy na miejscu, przerosło nasze najśmielsze oczekiwania. Lawinisko miejscami miało 11 m głębokości!

Masy śniegu zeszły z Goryczkowej Czuby po tym, jak dwóch niemieckich turystów, nieświadomych zagrożenia, podcięło masy śniegu. Panowie chcieli sobie skrócić drogę na Giewont, przetrąsali więc Pośredni Goryczkowy Wierch i wpadli prosto w szpony żywiołu. Ten, który szedł pierwszy, dostał się w główny nurt lawiny, drugiego zaś wyrzuciło na jej obrzeża, dzięki temu przeżył. Został tylko lekko zasypany, zdołał się samodzielnie odkopać i ruszył po pomoc.

Akcja poszukiwawcza trwała trzy dni. Trzy długie dni bez nadziei na

► uratowanie mężczyzny, a potem także bez nadziei na odnalezienie jego ciała. Trudno przesondować 11-metrową warstwę śniegu, skoro sondy lawinowe mają zaledwie 4 m długości. W poszukiwaniach brali udział żołnierze i ratownicy z podhalańskiej grupy GOPR-u. Na miejscu pracowało ponad sto osób.

W końcu zrobiło się trochę pospolite ruszenie ludzi, z których część była do tego totalnie nieprzygotowana. Mróz tymczasem trzymał sakramencki, minus 32 stopnie! Ludzie poodmrażali sobie nogi, ręce, twarze. Walka z tym śniegiem była prawdziwym piekłem. Kopaliśmy dwumetrowe rowy, licząc, że natkniemy się na jakiś ślad zasypanego. W końcu daliśmy za wygraną. Znaleźliśmy go dopiero w maju. Kiedy śnieg częściowo się wytopił, dyżurni z Kasprowego Wierchu wypatrzyli dziwną aktywność lisów w tym terenie, na lawinisko poszła więc grupa poszukiwawcza z psem, który błyskawicznie znalazł ciało. Okazało się, że turysta był 9 m pod śniegiem!

Dawniej, jeśli z lawiny nie wystawała jakaś część ciała zasypanego, odnalezienie go trwało tak długo, że nikt nie wierzył w ocalenie ofiary. Żywe osoby udawało się wydobyć niezwykle rzadko, i to właściwie tylko wtedy, gdy sprzyjało im szczęście. Gdy znaleźli się w miejscu, gdzie była wystarczająco duża przestrzeń, by dało się oddychać, gdzieś pod skałą lub blisko potoku, a jednocześnie mieli tyle farta, że spadając, nie rozbili się o skały.

– Pamiętam chłopaka, którego wyciągnęliśmy z lawiny po dwóch godzinach od zasypania – wspomina Andrzej Blacha. – To było w Świstówce. Przyszło zgłoszenie z Pięciu Stawów, że właśnie dotarł do schroniska turysta, którego razem z kolegą porwała lawina. On zdołał się wykopać sam, ale kolegi nie odnalazł. Piżdziło tego dnia jak w Kieleckiem. W pierwszym rzucie poleciałem ja i Marcin Józefowicz. Chcieliśmy obejrzeć lawinisko ze śmigłowca, ale wiało tak potwornie, że nie było szans, dlatego pilot podszedł od Doliny Rostoki, wysadził nas na czołe lawiniska i poleciał po następnych ratowników. Weszliśmy na śnieg, idziemy i nagle Marcin mówi: „Cicho!”. Nie wiem, jakim cudem... usłyszeliśmy coś spod śniegu. Chłopa

był w czepku urodzony. Nie mam pojęcia, ile było takich przypadków na świecie, ale ten 19-latek z Krakowa wyraźnie był w małej grupce wybrańców. Zasypało go w pozycji pionowej na tyle szczęśliwie, że ręka została przy twarzy, dzięki czemu miał poduszkę powietrzną. Był także znakomicie ubrany, co uchroniło go przed wychłodzeniem. Zaraz po zejściu lawiny stracił przytomność, dlatego nie słyszał szukającego go kolegi, odzyskał świadomość, gdy już nikogo nie było w pobliżu. Później dotarł do niego dźwięk nadlatującego śmigłowca i nasze głosy, dlatego zaczął krzyczeć. Dokopaliśmy się do niego błyskawicznie. Miał nad sobą 80 cm śniegu, w miarę lekkiego, dlatego przechodziło przez nie powietrze. Od pasa w dół był jednak strasznie zabetonowany. Dosłownie skała – łopaty nie chciały się wbić. Gdyby śnieg tak bardzo stężał na wysokości jego klatki piersiowej, nie zdołałby oddychać. Gdy nas zobaczył, powiedział: „Ale dałem w dupę!”. W szpitalu spędził tylko dobę. Po kilku dniach jego wdzięczna mama przywiozła nam w podziękcie pudło ciastek.

– 15 lat temu odkopaliśmy gościa, który siedział w lawinie trzy i pół godziny! To było na Słowacji – wspomina Jerzy Maciata. – Akurat byliśmy u nich na szkoleniu psów, gdy z rejonu Żółtej Ściany spadła lawina, porwując jedną osobę. Natychmiast ruszyliśmy na pomoc, tyle że warunki były tak straszne, że długo szliśmy na miejsce wypadku. Śnieżycą, zawieruchą, sakramencki mróz. Łatwo nie było. Na szczęście psy szybko oznaczyły zasypanego, który, jak się okazało, wygrał los na loterii. Śnieg wbił go pod skałę, obok potoku, dlatego miał dostęp do powietrza. Leżał odwrócony do góry nogami, jedną ręką mógł trochę ruszać, kiedy więc ratownik wbił sondę lawinową, chcąc go dokładnie namierzyć, natychmiast ją złapał i zaczął nią nerwowo szarpać. Ratownik, zaskoczony niespodziewaną reakcją z dołu, o mało z przerażenia nie wyzionął ducha. Nigdy wcześniej nie zdarzyła mu się taka bezpośrednia interakcja z zasypanym, ten z kolei bał się, że sondując go ominie. Uratowany okazał się ratownikiem, który szedł z kolegą do Chaty Téry'ego. Miał ze sobą radio i wszystko przez nie



słyszał, wiedział więc, że po niego idziemy, i jak potem powiedział, to trzymało go przy życiu.

Miał szczęście, bo wtedy na szkoleniu było chyba ze 20 psów lawinowych, i wszyscy ruszyli na lawinisko. Leżał 2 m pod śniegiem.

Te opowieści pokazują, że cuda się zdarzają, ale należy je rozpatrywać właśnie w kategorii cudów. Zdecydowana większość porwanych przez lawiny ginie z powodu zbyt późno nadchodzącej pomocy, mimo że teraz mamy już narzędzia, by szybko zasypanego odnaleźć i jak najszybciej odkopać. Nieprzypadkowo używam tu pierwszej osoby liczby mnogiej, wracam bowiem do idei ratowania ofiar przez świadków wypadku, którymi możemy być także my. Wszyscy zatem w razie konieczności możemy pomóc, o ile będziemy wiedzieć, jak i o ile będziemy do tego przygotowani. (...)

„Nikt nie jest martwy, dopóki nie jest ciepły i martwy”, to zasada, która od wielu lat obowiązuje w ratownictwie i która uratowała 25-letnią Kasię wyciągniętą z lawiny w Świstówce.

– Niewiele pamiętam z tego dnia – przyznaje bohaterka tej historii. – Czasami pojawia się jakaś migawka,



przebłytek, ale jeśli cokolwiek sobie przypominam, to z chwili przed wypadkiem. Reszta jest całkowicie wymazana.

Był 21 lutego 2015 r. Tego dnia chcieliśmy wejść do jaskini – Komina w Ratuszu Litworowym w Wielkiej Świstówce. Jestem grotofazką, od kilku lat chodzę po jaskiniach, do klubu speleologicznego zapisałam się jeszcze w czasie studiów, góry nie są więc mi obce. Ta wyprawa miała być jak każda inna. Rano ja i moi koledzy – szliśmy w czwórkę, dwóch chłopaków, dwie dziewczyny – spakowaliśmy sprzęt, podjechalśmy do wylotu Doliny Kościeliskiej i ruszyliśmy w górę. Nieopodal otworu jaskini spotkaliśmy grupę znajomych, którzy mieli w tym rejonie... szkolenie lawinowe, z instruktorem. Chwilę z nimi porozmawialiśmy i ruszyliśmy dalej. Pół godziny później byliśmy na miejscu, dochodziła 14. Zaczęliśmy podchodzić stromym zboczem do otworu jaskini i wtedy runął na nas śnieg.

Lawina porwała wszystkich, ale na szczęście jednego ze speleologów zasypała tylko do połowy. Samodzielnie wydostał się ze śniegu i błyskawicznie wykopał kolegę, odnajdując go po wystającym spod śniegu

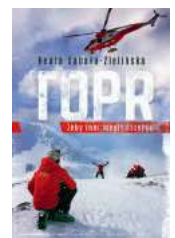
ubrani. Potem pobiegł do szkolących się niżej, wzywając ich na pomoc, powiadomił też TOPR. Dziewczyny wciąż były pod śniegiem.

Jedna z nich nie przeżyła, Kasia tymczasem w całym tym nieszczęściu miała sporo szczęścia. Została zasypana w pozycji pionowej z plecakiem, który trzymała przed sobą, dzięki temu miała coś w rodzaju poduszki powietrznej. Poza tym plecak prawdopodobnie zabezpieczył ją przed unieruchomieniem klatki piersiowej, mogła więc oddychać. Walczyła, ewidentnie walczyła. Podała się w momencie wyciągnięcia jej spod śniegu, ale wtedy walkę o jej życie przejęli ratownicy.

– To była niedziela. Tego dnia miałem iść z grupą turystów w góry, ale ponieważ pogoda była fatalna, po prostu wiało, odwołałem wycieczkę – wspomina Edward Lichota. – Leżałem na kanapie, gdy nagle usłyszałem śmigłowiec. Kiedy przeleciał pierwszy raz, nie zaniepokoiłem się, ale gdy usłyszałem go ponownie, wiedziałem, że coś się dzieje, i od razu pomyślałem o lawinie. Nie dostałem jednak żadnego esemesa, więc leżałem spokojnie dalej. Nie minęła minuta, gdy komórka nerwowo podskoczyła, wyświetlając wiadomość:

„Lawina w Świstówce!”. Kilka chwil później byłem w centrali, gotowy do wymarszu. Śmigłowiec, mimo usilnych prób, nie zdołał podlecieć na miejsce zdarzenia, wiatr rzucał nim na wszystkie strony, dlatego samochodem podjechalśmy pod szlak, a potem już na ski-tourach, obławowani potwornie ciężkim sprzętem, z noszami, z defibrylatorami i specjalną deską do masażu serca, zasuwaliliśmy ile sił pod górę. Ratowanie Kasi było walką ze wszystkimi możliwymi przeciwnościami. Sprzęt z powodu mrozu nie zadziałał, mimo że grzailiśmy baterie pod kurtkami. Niestety, lodowate wietrzyko i wilgoć zrobiły swoje, wszystko, co mieliśmy ze sobą, padło. Do tego droga w dół okazała się straszliwym torem przeszkód. Zbocze usłane było powalonymi drzewami, które pokonywaliśmy na wszystkie możliwe sposoby, górą, dołem, bokiem, mając na noszach dziewczynę i... siedzącego na niej ratownika, który cały czas ją reanimował. Zmienialiśmy się co kilkanaście minut, a ratownicy medyczni co kilkanaście minut zmieniali się na noszach, ani na moment nie przerywając masażu serca. Droga wydawała się nie mieć końca, po trzech godzinach morderczego marszu dotarliśmy do Kir, gdzie Kasię i jej reanimację przejęła załoga erki. Karetka dowiozła ją na lotnisko w Nowym Targu, tam czekał śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, by ostatecznie, cały czas walcząc o jej życie, dowieźć ją do krakowskiego Centrum Leczenia Hipotermii Głębokiej. Na żadnym etapie tej drogi nikt nie powiedział: „Stop! Dość!”. Nikt nie powiedział: „To nie ma sensu”, mimo że godziny mijały, a serce wciąż nie podejmowało pracy. Sześć godzin i czterdzieści pięć minut później na kardiomonitorze wyświetlił się rytm zatokowy, pozwalający rozpocząć proces ogrzewania Kasi. Proces długi, trudny, pełen napięcia i niepewności – jednej wielkiej niewiadomej.

Fragmenty książki Beaty
Sabaty-Zielińskiej **TOPR.**
Żeby inni mogli przeżyć,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2018



Bigos (nie tylko) sportowy

Aż do końca karnawału towarzyszy nam nie tylko swoista aura, ale także smak i zapach świątecznych potraw. Jedną z najbardziej tradycyjnych jest, jak wiadomo, bigos. Istnieje wiele jego odmian. Podstawowe składniki bigosu staropolskiego to drobno szatkowana kapusta kiszona, kapusta świeża (niekiedy używa się tylko kiszonej), różne gatunki mięsa i wędlin, suszone grzyby, suszone lub wędzone śliwki, cebula i przyprawy. Jednym słowem, smak bigosu zależy w dużym stopniu od ilości, jakości i różnorodności. Przypomniało mi się mało wyszukane, ale prawdziwe góralskie powiedzenie: „Panocku, bigosik, bigosik – w nim każdy znajdzie cośik”. Dlatego postanowiłem upichcić swój bigos – czyli powrzucać do jednego kociołka opowieści i anegdotki (ukazują się m.in. w internecie) znanych ludzi sportu – Andrzeja Lewandowskiego i Andrzeja Pstrokońskiego. Warto bowiem wiedzieć, że bigos, jako jedno z nielicznych dań, nie traci walorów smakowych przy wielokrotnym odgrzewaniu, wręcz przeciwnie, po każdym kolejnym jest coraz lepszy. Smaczno!

SPANIELSKI PTACZEK Andrzeja Lewandowskiego

Zaczynam od Wyścigu Pokoju. Tego, który różami wymościł naszemu kolarstwu drogę do sławy i wprowadził obowiązujące do dziś określenia: peleton, baliczek – paczka żywnościowa na drogę, czasówka – indywidualne zmaganie ze stoperem. Dwa ostatnie określenia pochodzą z języka czeskiego. Jednak jestem w stanie wyobrazić sobie, jak Anglik prosi kelnera o baliczek, a Francuz dyktuje styl czasówki np. w hiszpańskiej Vuelcie. Dla mnie wciąż spanielski ptaczek z Pragi znaczy coś więcej

niż nasz zraz zawijany. Ale tak czy owak uwielbiam.

Wspomnienie z igrzysk olimpijskich w Seulu w 1988 r. wiąże się ze stylem uprawiania opiekuństwa przez gospodarzy. Byli zawsze do pomocy, dyspozycji; do tego żądni informacji o Polsce. Chyba tamtejsze władze trafnie przewidziały rozwój wypadków, ściśle współpracę za niewiele lat, i zaczęły do tego szkolić ludzi. Starali się mówić po polsku, domagali się, byśmy w rewanżu coś zadeklamowali. Zaczynało się fajnie: „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie”, potem pamięć najczęściej nas zawodziła, a oni chcieli więcej i więcej. Był to czas (monachijski ślad) takich murów, że nawet akredytowany – czyli sprawdzony – dziennikarz rzadko miał dostęp do bohaterów igrzysk. A tu – jakaś luka albo gest zrozumienia – mamy medal i... kilka minut dostępu do medalisty. Coś powie poza szablonem o radości, wdzięczności, przekazaniem pozdrowień rodzinie i kibicom? Powie! Jak spędził przedstartowe godziny? Relaksował się i koncentrował czytaniem. Jest konkret! Jaka książka, tytuł, o czym? – Nie pamiętam, gruba była, ciekawa, ale trener zabrał i kazał iść spać.

Teraz dwa odskoki do boksu. Pierwszy – bardziej prywatny. Kiedyś spotykaliśmy się imiennowo. Od kolegi „Gargamela” dostałem butelczynę. Na etykietce informacja, że to przedni koniak Made in France. Polałem. Jeden gość wypił i zrecenzował: – Jednak co francuskie, to francuskie. Dr Jurek, wspaniały chirurg i znany w świecie wielkiego boksu działacz, też skosztował:

– Bieszczady, dobra robota, bardzo dobra. Wciąż to pamiętam. Podobnie jak bogate kanapki, które Jurek przynosił podczas igrzysk zgłodniałym żurnalistom. Oni „na dietach”, on – w restauracji wioski olimpijskiej. Každy – co chce i ile chce. Pewna ręka, świetna głowa, złote serce...

Legendarny Feliks Stamm był znany także z poczucia humoru. Do tego świetnie opowiadał anegdoty żargonem, który tak wspaniale naśladowali panowie Dziewoński, Brusikiewicz, Kobuszewski: „Lubartów czysta czydzieści czy”...

Podobno w Cetniewie „Papa Felo” chętnie zaczynał dzień takim dialogiem z Pawłem Szydłą, swoim pierwszym pomagierem:

– Paweł, po yle dzisiaj?

– Po jedenaszcze...

– Paweł, a co po jedenaszcze?

– A co, Felo, po yle?

POŁÓWKA Z EKSCYLENCJĄ Andrzeja Pstrokońskiego

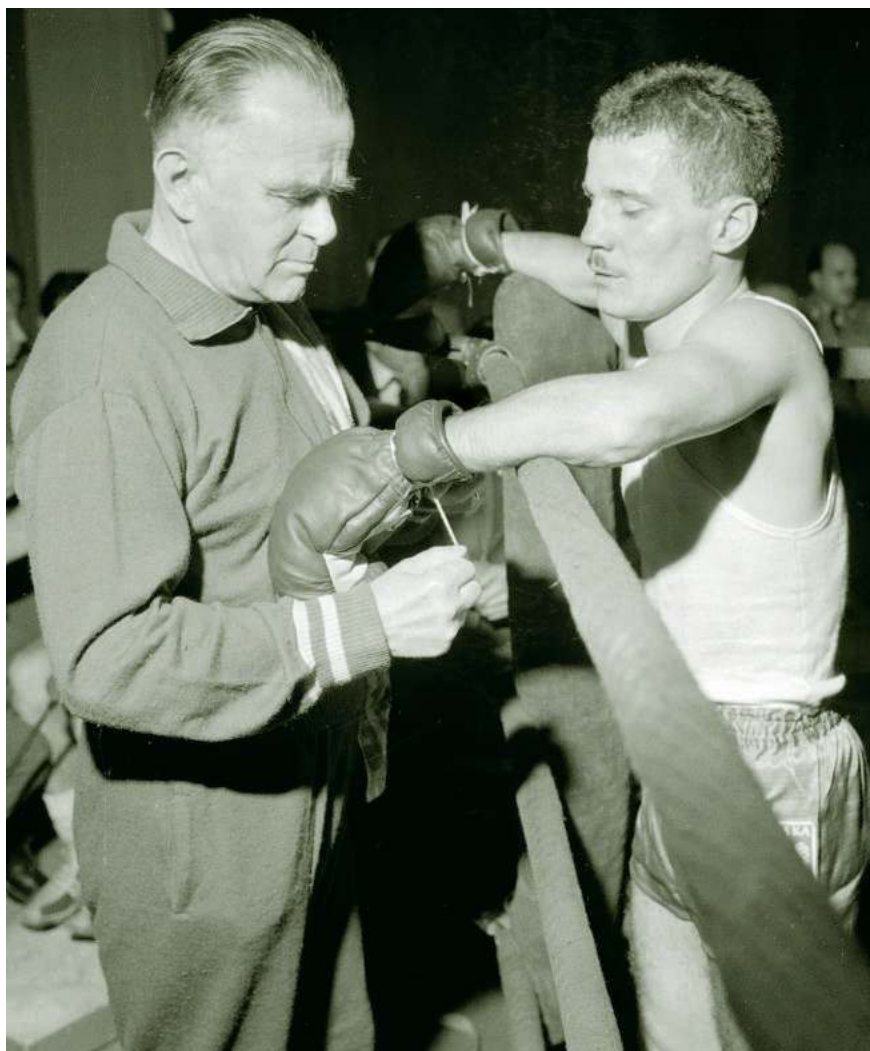
Jak się zostaje selekcjonerem kadry? Uświadomiłem sobie, że to już ponad 50 lat, jak polska reprezentacja żeńska grała na Sycylii w mistrzostwach Europy. Trenerem tej drużyny był AP, czyli ja. Zostałem mianowany kilkanaście miesięcy wcześniej przez prezesa Mariana Kozłowskiego. A wyglądało to tak. W obecności sekretarza generalnego związku usłyszałem: – Od dzisiaj jesteś trenerem kadry i poprowadzisz nasze dziewczyny na mistrzostwach Europy. Masz je nauczyć tego, co sam reprezentujesz, i od jutra bierz się za robotę. Odmowy nie słyszę.

Bardziej zaskoczonego człowieka w Polsce nie było. Nikt mnie nie pytał o papiery, praktykę, znajomość języków itd. Z tego powodu wielu ludzi było potwornie zdziwionych. Przestali się dziwić, kiedy wróciliśmy z brązowym medalem.

Rada dla koszykarzy, jak pojechać na olimpiadę. Kadra przebywała na obozie w Zakopcu. W noc sylwestrową otoczyliśmy ministra Włodzimierza Reczka i zagroziliśmy, że

Andrzej Lewandowski

wybitny dziennikarz sportowy. Od 1953 r. pracował w „Trybunie Ludu”, a potem do przejścia na emeryturę w 1996 r. w „Trybunie”. Był tam m.in. kierownikiem działu sportowego. Relacjonował m.in. igrzyska olimpijskie (1972-1992), mistrzostwa świata w szermierce, hokeju, podnoszeniu ciężarów i kolarstwie. Był członkiem komitetu organizacyjnego Wyścigu Pokoju, współorganizatorem Turnieju im. Feliksa Stamma, działaczem Polskiego Komitetu Olimpijskiego.



Legendarny trener bokserski Feliks Stamm był znany także z poczucia humoru.

nie puścimy go do sali, gdzie miał powitać nowy rok. Trzymaliśmy go w hallu wraz z siostrą Warszawską tak długo, dopóki solennie nie przyrzekł, że zrobi wszystko, abyśmy pojechali na turniej przedolimpijski. Dotrzymał chłop słowa i wystano nas na turniej w Bolonii, z którego trzeba było zakwalifikować się do Rzymu. No i się udało. Ale powstał problem. Olimpiada miała się rozpocząć za dwa tygodnie. Wracamy do kraju czy

zostajemy? Kazano nam zostać i pojechaliśmy do stolicy Włoch. Tam byliśmy pierwszą ekipą. Dopiero otwarto jedną stołówkę. Obie sale jeszcze zamknięte. Same kłopoty. Trenować też nie było gdzie i ćwiczyliśmy na betonie przy jakiejś szkole. To my witaliśmy wszystkich przyjeżdżających do wioski olimpijskiej.

Na któreś tam lecie Legii szef poprosił mnie, abym pełnił „hono-

ry domu” i poczekał na bp. Sławoja Leszka Głódzia. Przybył solidnie spóźniony. Powitałem go i zaprosiłem do sali, gdzie miał wystąpić. Idąc, stwierdził, że czegoś by się napił, więc skreśliłem do sali bogato zaopatrzonej. Natychmiast złapałem za szkło i zapytałem: – Cołę czy wodę? A ekscelencja do mnie bez ogródek: – A czy innych napojów nie masz? – Mam – odpowiedziałem i wyciągnąłem połówkę z kartonu. – O – stwierdził biskup – nalej. Nalałem. – A ty to abstynent? – spytał. Skoro tak, to złapałem drugą szklankę i nalałem sobie. Wypiliśmy prawie duszkiem, a biskup wyciągnął rękę z pustą szklanką, dając wzrokiem do zrozumienia, żebyśmy powtórzyli. Nalałem więcej niż za pierwszym razem i szybko wypiliśmy pod hasłem „do dna”. – O Boże, ratuj – pomyślałem – połówka w 30 sekund. – Zakąska? – spytałem. Biskup na to: – Szkoda czasu, idziemy, a kiedy awans? Odpowiedziałem, że pewnie za rok. – O, to dobrze, bardzo dobrze, takich pułkowników nam trzeba!

Po latach mogę zdradzić pewną tajemnicę. W stanie wojennym Legia była chyba najlepiej uzbrojoną jednostką wojskową w naszym kraju. Mieliśmy na stanie jeden karabin i do niego pięć naboji. Karabin, produkcji sprzed I wojny światowej, był okropnie długi, więc gdy służbę pełnił zapaśnik niskich wag, broń go przewyższała. Kiedyś postanowiono sprawdzić, czy można z niej strzelać. Strzelcowi kibicował tłum ludzi. Strzelec nacisnął spust, ale huku nie usłyszeliśmy. Okazało się, że naboje były pozbawione prochu. Tak więc w spokoju przystąpiliśmy do stanu wojennego. Z naszej strony na pewno nikomu nic nie groziło. Uważam, że ten karabin powinien się znaleźć w klubowym muzeum jako chluba legijnego oręża.

Jeszcze raz udało mi się obudzić. W nocy przyśnił mi się, a raczej przypomniał, sylwester, który spędzaliśmy w Kongresowej. Po toastach noworocznych Władek Komar postanowił „oczyścić ze wszystkich grzechów” Irenkę Szewińską i wrzucił ją do fontanny. Ilu to pamięta?

Wyszukał Maciej Polkowski

Andrzej Stefan Pstrokoński

znakomity koszykarz, olimpijczyk, trener. Reprezentant Polski podczas igrzysk olimpijskich w Rzymie w 1960 r. i w Tokio 1964 r. Pięciokrotny uczestnik ME (1957, 1959, 1961, 1963 i 1965). W kadrze narodowej występował w latach 1956-1966. W tym czasie wziął udział w 200 spotkaniach, notując na swoim koncie 1009 punktów. W latach 1968-1971 trener kobiecej reprezentacji Polski, od 1971 r. do 1975 drużyny warszawskiej Legii, a od 1976 do 1977 reprezentacji męskiej. Od 1980 r. był członkiem zarządu PZKosz.

BAŁKAŃSKI DISNEYLAND

Na budowę niezliczonych pomników i rzeźb Macedończycy wydali ponad 630 mln euro



Potężny łuk triumfalny jest nazywany Bramą Macedonii.

Paweł Drąg Korespondencja ze Skopja

Kiedy w 2010 r. ogłoszono wielką modernizację stolicy Macedonii, zapewne w niejednym skopijskim domu zapanowała radość. Kto by nie chciał mieszkać w zadbanym i atrakcyjnym mieście, które miały odwiedzać setki tysięcy turystów? Projekt „Skopje 2014” zakładał budowę ok. 40 pomników, rzeźb i nowych gmachów oraz neoklasycystycznych fasad modernistycznych budynków. Koszty miały się zmieścić w kwocie 80 mln euro.

Szybko jednak nowatorska idea zaczęła się rozrastać w niekontrolowanym tempie. Do tego stopnia, że w 2015 r. liczba skopijskich nowości co najmniej się potroiła, a koszt wszystkich prac zaczął oscylować wokół 560 mln euro. Wysokość tej kwoty udało się ustalić dzięki mozolnemu śledztwu BIRN (Balkan Investigative Reporting Network). Dane pozyskano z tego, co zawierała ustawa o dostępie do informacji publicznej, z oficjalnej strony

Urzędu Zamówień Publicznych, audytu „Skopje 2014” oraz wspólnego raportu rządu, okręgu skopijskiego i Ministerstwa Kultury, przedstawionego po wyborach lokalnych w 2013 r. Do 2018 r. kwota przeznaczona na urbanistyczny miszmasz zdążyła urosnąć do ponad 630 mln euro.

Mimo ogromu nakładów wiele inwestycji wciąż nie zostało ukończonych, np. filharmonia, siedziba państwowej spółki energetycznej ELEM, sąd karny czy pałac administracyjny Lazar Pop Trajkov. Przegląd danych zdobytych przez BIRN wykazał, że firma budowlana o swojsko brzmiącej nazwie Beton wygrała większość kontraktów na kuriozalne inwestycje, które stanowią część projektu „Skopje 2014” – miasta nazywanego kiczowatym Disneylandem. Przedsiębiorstwo do 2016 r. zarobiło ponad 163 mln euro, to jedna trzecia wszystkich pieniędzy wydanych na projekt. Do dziś ta kwota z całą pewnością urosła, ale nie wiadomo oficjalnie, do jakich rozmiarów. Według dokumentów najdroższymi budynkami w projekcie są Sąd Konstytucyjny, Muzeum Archeologiczne i Archiwum Państwowe, które kosztowały już ponad 42 mln euro.

tucyjny, Muzeum Archeologiczne i Archiwum Państwowe, które kosztowały już ponad 42 mln euro.

Skalę absurdów najlepiej oddaje przykład statuy Filipa II. W początkowej wersji miała ona kosztować 4,4 mln euro. Jej autorka, rzeźbiarka Valentina Stevanovska, planowała stworzenie rzeźby wojownika oraz jednej fontanny. Jednak w fazie negocjacji między miastem a Stevanovską nastąpiła drastyczna zmiana w projekcie. Do oryginalnego pomysłu, popartego wcześniejszymi decyzjami i stosowną dokumentacją, doszły nowe koncepty – na monumentalną całość miały się złożyć cztery fontanny oraz duża rzeźba wojownika z towarzyszącymi mu rzeźbami i reliefami ludzi, koni i lwów. Skutkowało to wyciągnięciem kolejnych kilku milionów euro z budżetu kraju. W zaciśniętych gabinecie, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, osiągnięto porozumienie, zgodnie z którym sama praca autorki została nagrodzona kwotą 1,5 mln euro. Według audytu procedura była sprzeczna z ustawą o zamówieniach publicznych. Uzupełniało to głośne

doniesienia, że ówczesny premier Nikola Gruevski traktował kraj jak prywatny folwark, ustawiając przetargi, podsłuchując tysiące obywateli czy tuszując polityczne przekręty.

Ta historia i wiele podobnych rozwścieczyły mieszkańców, którzy uważali, że lepiej byłoby wydać pieniądze na rozwój infrastruktury. Do najpilniejszych potrzeb zaliczano choćby budowę metra, nowych dróg oraz traktacji tramwajowych, a przede wszystkim renowację budynków mieszkalnych. Wśród głosów krytycznych pojawiła się również argumentacja, że projekt miał być próbą odciążenia społeczeństwa od rzeczywistych problemów kraju, takich jak wysokie bezrobocie, postępujące ubóstwo czy nieudane próby dołączenia do Unii Europejskiej i NATO.

Kontrowersyjne budowle podzieliły naród. Oprócz sprzeciwów pojawiło się wiele słów poparcia, że te inwestycje to kwestia dumy narodowej i walki o dziedzictwo historyczne. Chodzi o toczący się przez dwie dekady spór z Grecją. Według Greków starożytni Macedończycy byli ludem hellenistycznym,



Pomnik „Dzika Europa”.



Oficjalnie pomnik przedstawia wojownika na koniu, ale wszyscy Macedończycy wiedzą, że to Aleksander Wielki.

a prawdziwa Macedonia jest częścią Grecji. Z kolei Macedończycy twierdzą, że skoro ich ziemia była częścią starożytnego królestwa macedońskiego pod panowaniem Aleksandra Wielkiego, mają niezbite prawo nazywać się Macedończykami. Przykładem walki o dobre imię narodu było postawienie na środku głównego placu miasta posągu wojownika na cokole, w okazałej

fontannie otoczonej lwami. Nazywa się go wojownikiem na koniu, ale wszyscy rozumieją to jako przedstawienie Aleksandra Wielkiego, władcy starożytnego królestwa Macedonii. Wykonanie pomnika pochłonęło 7,5 mln euro.

Obiekty są rozmieszczone bez żadnego pomysłu. Wśród nich zwraca uwagę choćby potężny łuk triumfalny, nazywany Bramą Macedonii, czy

kilka wielkich statków pirackich tkwiących na mieliźnie rzeki Wardar. W szalonej wizji artystycznej nieistotne było, że kraj nie ma dostępu do morza. Pikanterii sprawie dodają informacje, że wiele pozornie imponujących fasad jest zbudowanych z tanich materiałów. – Mogę was zapewnić, że „zabytkowe” fasady są zrobione ze styropianu i tynku – grzmiał Harald Schenker, niezależny ekspert ds. demokratycznych rządów w Macedonii. – Było to widoczne podczas budowy, chociaż nikt tego nie ujawni. Jeśli chodzi o jakość, wiele budynków jest nieszczylnych, w tym siedziby Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Teatru Narodowego. Piwnica Archiwum Państwowego została poważnie zalana, a wiele dokumentów jest zniszczonych.

Można też zobaczyć pęknięcia na fasadach i w biurach. Poniesione koszty pozwoliłyby na renowację wielu szkół i przedszkoli w kraju lub na renowację wszystkich szpitali. Projekt „Skopje 2014” był przede wszystkim środkiem do zarobienia dużych pieniędzy – dodawał.

Pod koniec 2017 r. pojawiły się informacje, że Ministerstwo Kultury Macedonii przygotowało krótką listę posągów, które mają zostać usunięte z ulic Skopja, aby wyciszyć napięcia z Grecją. Macedoński premier Zoran Zaev, który miał wydać ostateczną decyzję o ich usunięciu, mocno lobbował za zmianą nazwy lotniska Aleksandra Wielkiego na Międzynarodowe Lotnisko Skopje, by uspokoić wzburzonych Greków. Premier przyrzekł również, że usunięte zostaną inne obiekty, których powstanie wiązało się z korupcją lub niewłaściwym postępowaniem rządu. Kilka faktycznie przestało istnieć. Zdemontowano choćby kontrowersyjny pomnik rewolucjonisty Andona Kyosety.

*

Niedawno firma Beton ogłosiła, że wybuduje Teatr Turecki w Skopju i że podpisała umowę o wartości 2,4 mln euro na budowę fontann: Matki Boskiej, Świętego Mikołaja, Świętych Piotra i Pawła oraz na budowę placu Matki Boskiej. ■

✉ Moja Łódź przestała istnieć

Po zmianie systemu politycznego w Polsce moja ukochana fabryczna Łódź przestała istnieć. Choć byłem lodzermenschem od trzech pokoleń, zacząłem czuć się w niej obco. Moja Łódź to miasto pulsujące życiem, pełne ruchu, dzień w dzień pociągi dowoziły bawełnę z Kirgistanu, Uzbekistanu, Egiptu, USA, wełnę z dalekiej Australii, a łódzkie perkale, flanele, tkaniny pościelowe, bielizniane, dekoracyjne i ubraniowe wywoziły na cały świat. Moja Łódź przestała istnieć i już się nie odrodzi.

Łódź była światowym ewenementem. Dzięki tutejszym fabrykom w ciągu zaledwie 100 lat liczba ludności wzrosła tysiąckrotnie – od 500 mieszkańców w 1820 r. do 500 tys. w roku 1920, a miasto należało do najbogatszych w tej części Europy. Znaczącą pozycję w polskim eksporcie przez 170 lat miał łódzki przemysł bawełniany. Prawdziwymi potentatami były Zjednoczone Zakłady K. Scheiblera i L. Grohmana (Uniontex)



oraz Zakłady Przemysłu Bawełnianego Izraela Poznańskiego (Poltex). Cała Kanada chodziła w koszulach z łódzkiej flaneli, bo była ona najlepsza na świecie. Łódzkie tkaniny dekoracyjne, pościelowe, koszulowe, sukienkowe także znane były na wszystkich kontynentach. I tak było do końca lat 80. ubiegłego wieku, dopóki neoliberałowie nie zarżnęli łódzkiego przemysłu.

Jeszcze w latach 80. rząd podjął uchwałę o przekazaniu ogromnych pieniędzy na modernizację tego przemysłu. Wszystkie inwestycje realizowane w ramach tej uchwały były bardzo udane, fabryki dochodziły do pełnej zdolności produkcyjnej w zakładanym czasie, nie przekraczając planowanych nakładów. Produkowano rocznie 650 mln metrów tkanin wysokiej jakości i całą tę produkcję sprzedawano. Zmodernizowane przedsiębiorstwa rocznie produkowały prawie 220 tys. ton wysokiej klasy przędzy.

Tak więc przy Okrągłym Stole nowy rząd otrzymał w prezencie nowoczesny, zmodernizowany, na światowym poziomie przemysł bawełniany i całe to dobro zmarnotrawił. W jaki sposób? Zmodernizowane fabryki zaciągnęły oczywiście kredyty w banku i sumiennie w terminie je spłacały. Do czasu, kiedy pojawił się zainfekowany utopią neoliberalną Balcerowicz i z dnia na dzień zmienił koszty kredytu bankowego z 8% na 120%. Dla zmodernizowanych fabryk oznaczało to śmierć. Umarły fabryki, które przez 170 lat z każdym obrotem wrzeczona, z każdym ruchem członka w krośnie, szczerze obsypywały nas rublami, markami, złotymi, a nawet dolarami. Razem z fabrykami umarła moja Łódź.

Grzegorz Ulman

f Czym Polacy się nie interesują, a powinni?

Niczym. Polak to ktoś niezwykły, kto na wszystkim się zna i wszystko wie (lepiej), niezależnie od tego, ile faktycznie wie i umie, a przy tym nie pozwoli na to, by ktoś

obrażał go prawdą o nim samym, czyli o tym, że wie niewiele i umie tyle samo. Przy tym przeciętny Polak da się pokroić za swoje racje i mądrości i nawet da po głębie tym, którzy spróbują je zdyskredytować. Trzeba też powiedzieć, że przeciętny Polak tak naprawdę swoich racji nie ma. Są to jedynie racje zapożyczone lub nabyte w drodze poznawania świata za pomocą nachalnej propagandy i niczego więcej. To takie bycie poniżej pewnego minimum przy zachowaniu ogromnego poczucia wyższości wobec innych.

Michał Czarnowski

Polacy są mądrym narodem i interesują się tym, czym powinni. Rodziną, pracą, wychowaniem dzieci, czasami zabawą... I za nic mają problemy, które „mądrale” chcą im wcisnąć! Zawsze jacyś przemądrzały wiedzą lepiej, ale pokazują tylko swoje niezrozumienie Polaków i polskości. To jak z patriotyzmem, który przez niektóre „postępowe” środowiska został wyrzucony na śmietnik. Dziś nawet ci, którzy jeszcze niedawno patriotyzm sprowadzali do kibicowania polskiemu sportowcom, próbują udawać troskę o Polskę.

Wenancjusz Juchniewicz

✉ Cud nad prądem

W komentarzu w pierwszym tegorocznym numerze PRZEGŁĄDU red. Domański pisze: „...to cud nad prądem. Prądem, który miał zdrożeć, ale nie zdrożeł. Dlaczego? Bo wynik wyborów można by już ogłosić”. Dostałem cennik sprzedawcy energii elektrycznej na rok 2019. Poszedłem 31 grudnia 2018 r. do BOK, by sprawę wyjaśnić. Pani mnie uspokajała, że jeszcze nic nie wiadomo, że zobaczymy... A w cenniku zapisano wyraźnie: 0,3863 za kWh, gdy do-

tychczas płaciłem 0,2435 za kWh (obie kwoty netto). To jest przeszło 50-procentowa podwyżka! A emeryturę mi zwaloryzują prawdopodobnie o 3,26%.

Józef Brzozowski, Żory



Krytycznie i drwiąco

Minister Jacek Czaputowicz miał w ostatnich tygodniach serię dziwnych wypowiedzi. Najpierw ogłosił, że Francja jest chorym człowiekiem Europy. Potem, że Donald Tusk znalazł się w Radzie Europejskiej jako przedstawiciel Niemiec. A ostatnio, że nie widzi ani przeciwskażeń do nominacji wiceministra Andruszkiewicza, ani niczego zdrożnego w jego poglądach. Dodał, że zagraniczne reakcje na tę nominację to nacisk na decyzję niezależnego państwa.

Co tu się rozwodzić? Zrobiła się z Czaputowicza gorsza wersja Stefana Olszowskiego.

I teraz nasuwa się pytanie, dlaczego. Po co przyjął rolę człowieka, który kąsa aktualnych wrogów PiS? Co się z nim stało?

Starzy MSZ-owcy nie mają w tej sprawie szczególnych złudzeń. Pozycja Czaputowicza w ministerstwie jest słaba, więc walczy on o polityczne życie, wygadując coraz większe głupoty. Żeby się podliznąć.

A skąd się bierze ta słabość? Przede wszystkim z tego, że MSZ w obecnym systemie władzy jest ministerstwem realizującym politykę nie państwa, tylko partii rządzącej. To dość istotna różnica. W efekcie resort podzielony jest na różne obszary kontrolowane przez różne grupy i frakcje. Na które Czaputowicz – chyba z racji charakteru – ma ograniczony wpływ. Zresztą zawsze był urzędnikiem specjalnej troski – przyszedł do MSZ jako działacz Ruchu Wolność i Pokój, kierował departamentem konsularnym, a potem przez całe lata szukano mu w ministerstwie zajęcia, wysyłano go na staże, szkolenia itd.

I tak zostało. Jego pozycja w MSZ jest bardzo słaba. Bo jak może wpływać na wiceministrów, mających swoje polityczne umocowanie? Albo na dyrektora generalnego Andrzeja Papierza? Ba! Doszło już do tego, że wiceminister Bartosz Cichocki, zaproszony na wywiad do jednej ze stacji telewizyjnych, jeszcze przed wejściem na antenę „w obecności kilkunastu pracowników krytycznie i drwiąco wyrażał się o swoim szefie Jacku Czaputowiczu”.

Cichocki sugerował, że Czaputowicz nie radzi sobie w dyplomacji i w roli ministra – takie informacje wyszły na miasto z tej pogawędki.

Cichocki, zanim przyszedł do MSZ, pracował w Ośrodku Studiów Wschodnich i był doradcą szefa Agencji Wywiadu. W MSZ odpowiada za sprawy wschodnie, a teraz ma zastąpić w Kijowie odwołanego grubo przed upływem kadencji ambasadora Jana Piekłę.

Piekło to publicysta od lat zajmujący się sprawami Ukrainy, którego na placówkę wystawił Witold Waszczykowski. O co więc chodzi? Sami go wystawili, a teraz odwołują? Co ciekawe, w jego obronie, z apelem, żeby go nie odwoływać, wystąpiła spora grupa publicystów i naukowców zajmujących się sprawami Wschodu. Podkreślają oni kompetencje ambasadora, wyczuwanie spraw i znajomość ludzi. Takie listy praktycznie się nie zdarzają. A tu – prawie bunt!

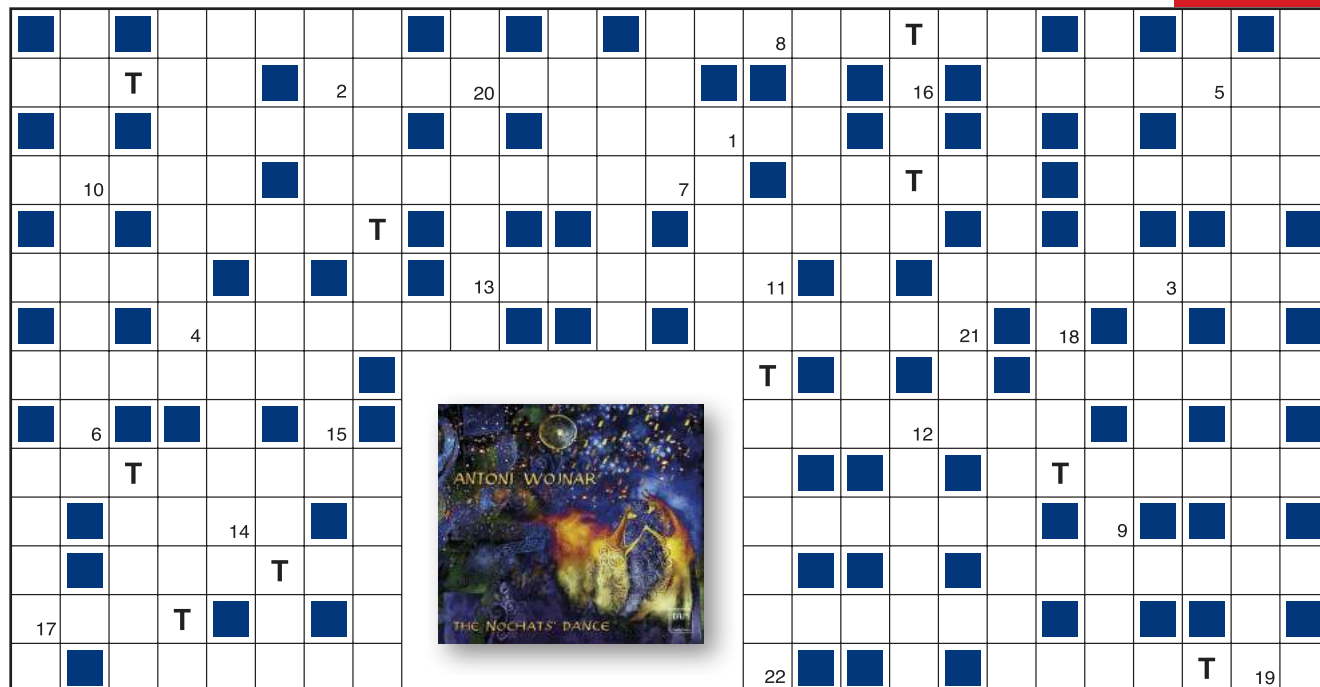
Ale list został zignorowany. PiS najwyraźniej uznało, że Piekło był złym ambasadorem. I że lepszą politykę prowadzić będzie niedawny wiceminister i były doradca szefa Agencji Wywiadu.

To znaczy, że nadchodzą trudne czasy...

Attaché



Palestyńskie kobiety szyją tradycyjne stroje w wiosce Idna niedaleko Hebronu na Zachodnim Brzegu.



1 2 3 4 5 6 7 8

9 10 11 12 13

14 15 16 17 18 19 20 21 22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- sposób ataku na statek
- Bóg, którego określa 99 atrybutów
- uwodzająca, jak zapisano w scenariuszu
- imię Sterna lub Litvaka
- jednostka objętości płynów jak beczka
- w dawnej Polsce urzędnik towarzyszący sędziemu
- ...czworga

- konserwa z ryb w zalewie pomidorowej
- monarchiczny ustrój w Rosji, Bułgarii
- wrażliwe – wymagają szczególnej ochrony
- partner na parkiecie
- duży, stary budynek mieszkalny
- obluda, dwulicowość, nieszczerłość

- żołnierz lekkiej jazdy węgierskiej
- wsadziła go baba do wora w piosence
- obraz w wizjerze kamery
- drażek z żabkami
- barwnik w papryce i batatach
- ślubny, na podłogę, kwiatów
- zdanie bez istotnej treści, ogólnie znane
- ...uzyskania przychodu
- ojczysta reżysera Eimuntasa Nekrošiusa
- region opiewany w szantach
- wylączany niektórym posłom
- „Chcę, byś założyła...”, śpiewają Czarno-Czarni
- podobny do motoroweru
- Remigiusz, autor powieści „Kasacja”

- bankowy, budowlany, ubezpieczeniowy
- siekana i dodawana do rosółu
- tłoczenie powietrza
- wartość na znaczku pocztowym
- chmura w spodniach (u Majakowskiego)
- oglądany w galerii
- ...Poczty Polskiej w 1939 r.
- botaniczny albo Oliwny
- litera po psi
- wiórki spod tarnika
- solidna podstawa, podwalina
- jagnię
- formacja roślinna w Argentynie
- program informacyjny TVP 2
- Katarzyna Aleksandryjska dla kolejarzy
- można się więc jak on
- miejsce postoju i obsługi statków
- złożona wokół obrazu
- socjalna – z ZUS
- romb lub prostokąt

- kiesza, dawny worek podróżny
- pieczony w rękawie, by był soczysty
- Józef, założyciel zespołu SBB
- ma symbol Na
- końcówka odkurzacza
- plonie w piosence Niemena
- potocznie o rodzicielskim zakazie
- na Podhalu nazywany smrekiem
- IMKA, Studio lub Polski
- „Twoja... Brzmi Znajomo”
- w bok, żeby nie oberwać
- z wędzidle
- jej certyfikat dla psów obronnych, myśliwskich
- nie zawsze dopisuje pocie
- rosochate wzdłuż dróg
- do budowania plastrów w ulu
- spinka przytrzymująca włosy
- może zostać udaremniiony przez służby

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-892”. Do rozlosowania CD „The Nochats’ Dance” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 stycznia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-892” z 30 grudnia: Moc najlepszych życzeń. Nagrody otrzymują: Elżbieta Dziekuć-Malej z Gdańska, Bożena Falaćńska z Malborka, Roman Juszkiewicz z Bydgoszczy.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Emmanuel Macron i Mateusz Morawiecki reprezentują dwie strony tego samego problemu. Gdy jeden wprowadza podwyżki cen benzyny i jednocześnie zniesienie podatku od wielkich fortun, drugi ordynuje podwyżki cen elektryczności i jednocześnie zapowiedź demontażu elektrowni wiatrowych, produkujących tanią energię. Obaj szkodzą klimatowi.

WO
magazine

MAŁGORZATA BOGDAŃSKA,
AKTORKA

Z Markiem Koterskim poznaliśmy się w Międzynarodowy Dzień Teatru, w marcu 2004 r., po setnym spektaklu „Nas troje” według jego scenariusza w Teatrze Ochoty. Marek był już wtedy dla mnie artystą, którego podziwiałam. Byliśmy z Tomkiem Saprykiem, z którym grałam, przeżeni, bo wiedzieliśmy, że Koterski jest na widowni, a chodzą słuchy, że u niego nie można nic w tekście zmienić, nawet przecinka. Ale spektakl się skończył, kłaniamy się i nagle widzę, jak Marek wchodzi na scenę, ściska nas i mówi do mnie: „Pani mi się bardzo podobała”. A ja mówię: „Jako aktorka?”. „Tak, jako aktorka, też”. Rozśmieszyło mnie to. Potem Marek mi mówi, że jemu głos wewnętrzny wtedy powiedział: „Wstań

i idź!”. Więc poszedł. Potem przegadaliśmy pół bankietu. W końcu Marek dał mi swoją wizytówkę, powiedział, że bym zadzwoniła, gdy będę miała ochotę się spotkać. Odczekałam parę dni, żeby nie było głupio, ale w końcu nie wytrzymałam i zadzwoniłam. Poszliśmy na randkę do Czułego Barbarzyńcy. Znowu nie mogliśmy się nagadać.

TYGODNIK
ANGORA

JAROSŁAW KUŹNIAR,
DZIENNIKARZ ONETU, WŁAŚCICIEL BIURA PODRÓŻY

Przez siedem lat sporo osób mi zaufało, zostawiając w biurze podróży niemało pieniędzy. To jest megawartość i megawaluta. Ciągłe rodzą się nowe, fajne podróżnicze pomysły, by wyróżnić się na rynku nie tylko tym, że mamy dobrze przygotowanych przewodników, że nasze grupy nie są duże, ale że dajemy możliwość poznania uroczego miejsca, a nie tylko zabawy w nim. Czasy przyszły takie, że ludzie coraz więcej chcą wiedzieć, a nie tylko ślizgać się po wiedzy. Biuro jest jedną wielką inwestycją Jarosława Kuźniara. Każde pieniądze, które zarobię, od razu inwestuję. W podróże na Grenlandię, Islandię, Kamczatkę i na Syberię. Ach, jak na zamrażniętym Bajkale pięknie brzmi mróz. Tam jest cudnie.

Aby język giętki...

JERZY OWSIAK O SOBIE

Mój luz, sposób bycia, nie jest wyuczoną pozą. Każdy gest, każde słowo to ja. Po prostu jestem.

PROF. MARCIN KRÓL O PRZYSZŁOŚCI

Kaczyński jest szkodliwy, a opozycja głupia. Może wie, jak wygrać, ale nie wie, co dalej.

JAN A.P. KACZMAREK O BANKACH

Ludzie stali się niewolnikami własnych banków poprzez zaciągnięcie kredytu.

JANINA OCHOJSKA O MEDIACH PUBLICZNYCH

Takie organizacje jak Polska Akcja Humanitarna czy WOŚP mogą liczyć wyłącznie na zainteresowanie mediów prywatnych.

PROF. ANDRZEJ RYCHARD O ELITACH

Kaczyński nie bierze pod uwagę, że elit wyprodukować się nie da. Błędnie zakłada, że ktoś może zostać elitą z partyjnego nadania.

KRYSTYNA JANDA O BABCI

Mówiła, że mam w sobie tzw. święte oburzenie: na kłamstwo, na krzywdę ludzką, na krzywdę zwierzęcia. Takie odczuwanie aż z trzewi.

KRYSTIAN LUPA O TEATRZE W JELENIEJ GÓRZE

Z aktorami tworzyliśmy komunę. Prawdziwą. Każdy z każdym mógł spać, seks zbiorowy był pięknym, czystym przeżyciem.

DOROTA GAWRYŁUK O MĘŻCZYZNACH

Są emocjonalni, często kapryszą, obrażają się, zachowują się jak przedszkolaki.

SZCZEPAN TWARDOCH O TYM, CZEGO SIĘ WSTYDZI

Tego, jak głośno mówię, gestykuluję i zapalam się w rozmowie.

MARIA SEWERYN O KOBIECIACH

Poszły do przodu, nabrały siły, ale niewielu mężczyzn umiało i umie sobie z tym poradzić.

WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI O REPREZENTACJI

To przeciętny zespół, którego nie stać na odnoszenie prawdziwych sukcesów.



Ostateczny test wytrzymałości maszyn i zawodników – tak się mówi o Rajdzie Dakar. Do pokonania 5 tys. km pustyń i bezdroży Peru.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Wykrywacze dopalaczy

Badacze z Instytutu Genetyki Sądowej w Bydgoszczy kończą prace nad nową metodą wykrywania obecności w organizmie związków psychotropowych, w tym dopalaczy. Metoda ta pozwala wykryć ok. 80% znanych dotąd środków psychoaktywnych na podstawie badania nie tylko krwi czy moczu, ale również włosów. Badacze wyjaśniają, że ślady po psychotropach we włosach są obecne do trzech miesięcy.

Kierunek Katowice

Agencja Bloomberg przygotowała listę 21 kierunków podróży, w które warto się wybrać w tym roku. Na liście stworzonej przez redaktorów i korespondentów znajdują się skrajnie różne cele. Możemy znaleźć tam Paryż, Baleary z Majorką, Minorką i Ibizą, Norwegię, jak również Czad. Wśród wymienionych miejsc wartych odwiedzenia znalazła się również Polska. Bloomberg radzi, żeby podróż do Polski przy dobrej pogodzie i mniejszej liczbie turystów zaplanować w kwietniu lub październiku. Co ciekawe, autorzy rankingu opis naszego kraju opatrzyli zdjęciem kamienic z centrum Katowic.

Zebra w supermarkecie

Francuska organizacja praw zwierząt 30 Millions d'Amis (30 Milionów Przyjaciół) protestuje przeciwko sprzedaży w supermarketach mięsa egzotycznych zwierząt. Supermarkety Carrefour, Auchan, Intermarché, Houra i Cora



sprzedają mięso m.in. zebry, strusia, kangura i bizona. Sprzedaż mięsa tych gatunków nie jest zabroniona, ale np. zebra jest gatunkiem zagrożonym, w ostatnim ćwierćwieczu dziko żyjąca populacja tych zwierząt zmniejszyła się o 25%. Jednak oferowane w sklepach mięso zebry pochodzi z hodowli na farmach w RPA.

Za karę do teatru

Burmistrz miasteczka Luzzara na północy Włoch wprowadził zakaz obelg, okazywania niegodziwości, wściekłości i przemocy słownej na placach, ulicach i w internecie. Inicjatywa Andrei Costy zakłada zwalczanie mowy nienawiści. Kary za łamanie przepisów mają charakter edukacyjny. Są wśród nich obowiązek czytania książek z ogłoszonej listy, obejrzenie wyznaczonych filmów, kilku sztuk teatralnych oraz dzieł sztuki.

GPS w szkole

Szkoły w chińskiej prowincji Kuejczou i w regionie Kuang-si wprowadziły system monitorowania lokalizacji swoich uczniów przez 24 godziny na dobę. W trosce o bezpieczeństwo podopiecznych w ich mundurkach umieszczono nadajniki GPS. Jeśli dziecko spróbuje opuścić budynek szkoły w czasie godzin lekcyjnych, włączy się alarm. To samo zdarzy się, jeśli uczeń nie dotrze do szkoły na czas – szkolna administracja i rodzice od razu o tym się dowiedzą i poznają lokalizację ucznia.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Zostaw swój płaszcz, spodnie i zahamowania w drzwiach – tak zapraszała pierwsza w Paryżu restauracja dla nudystów O'natu-rel. Po roku działalności zostanie wkrótce zamknięta z braku klientów. Paryskie Stowarzyszenie Nudystów ma 80 tys. członków.

Mamut w parku

Rosyjscy naukowcy chcą podjąć próbę sklonowania i odtworzenia zwierząt, które wyginęły. Chodzi o mamuty, nosorożce włochate czy lwy jaskiniowe, których dobrze zachowane szczątki odkrywano na Syberii. W tym celu, w ramach projektu Północno-Wschodniego Federalnego Uniwersytetu im. Ammosowa, zostanie wybudowane specjalne laboratorium. Wskrzeszone zwierzęta mają zamieszkać w parku plejstoceńskim na Syberii.

Superszybki bandaż

Amerykańscy i chińscy naukowcy z Uniwersytetu Wisconsin-Madison stworzyli nowy typ bandaży, który potrafi przyspieszyć proces gojenia się ran. Ma on wykorzystywać energię generowaną przez nasze ciało, by wysyłać do rany delikatne impulsy elektryczne. Impulsy o małej mocy mają stymulować komórki skóry i zachęcać je do łączenia się i tworzenia nowej tkanki. Nowe rozwiązanie ma być niewiele droższe od klasycznych bandaży.

Urny na plaży

Morze Północne wyrzuciło na plażę w Noordwijk (Holandia) trzy urny z prochami. Widniały na nich nazwiska zmarłych i daty zgonu, dzięki czemu udało się ustalić, że pochodzą z krematorium w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Okazało się, że pierwotnie prochy zmarłych miały zostać rozsypane nad wodą. Jednak w trakcie pochówku zamknięte pudełko z urnami wyslizgnęło się jednemu z pracowników i wpadło do morza.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kamila Bednarska Niedotykalne — Intymności

NEXT Galeria Sztuki
Bydgoszcz, ul. Poznańska 31
do 29 stycznia

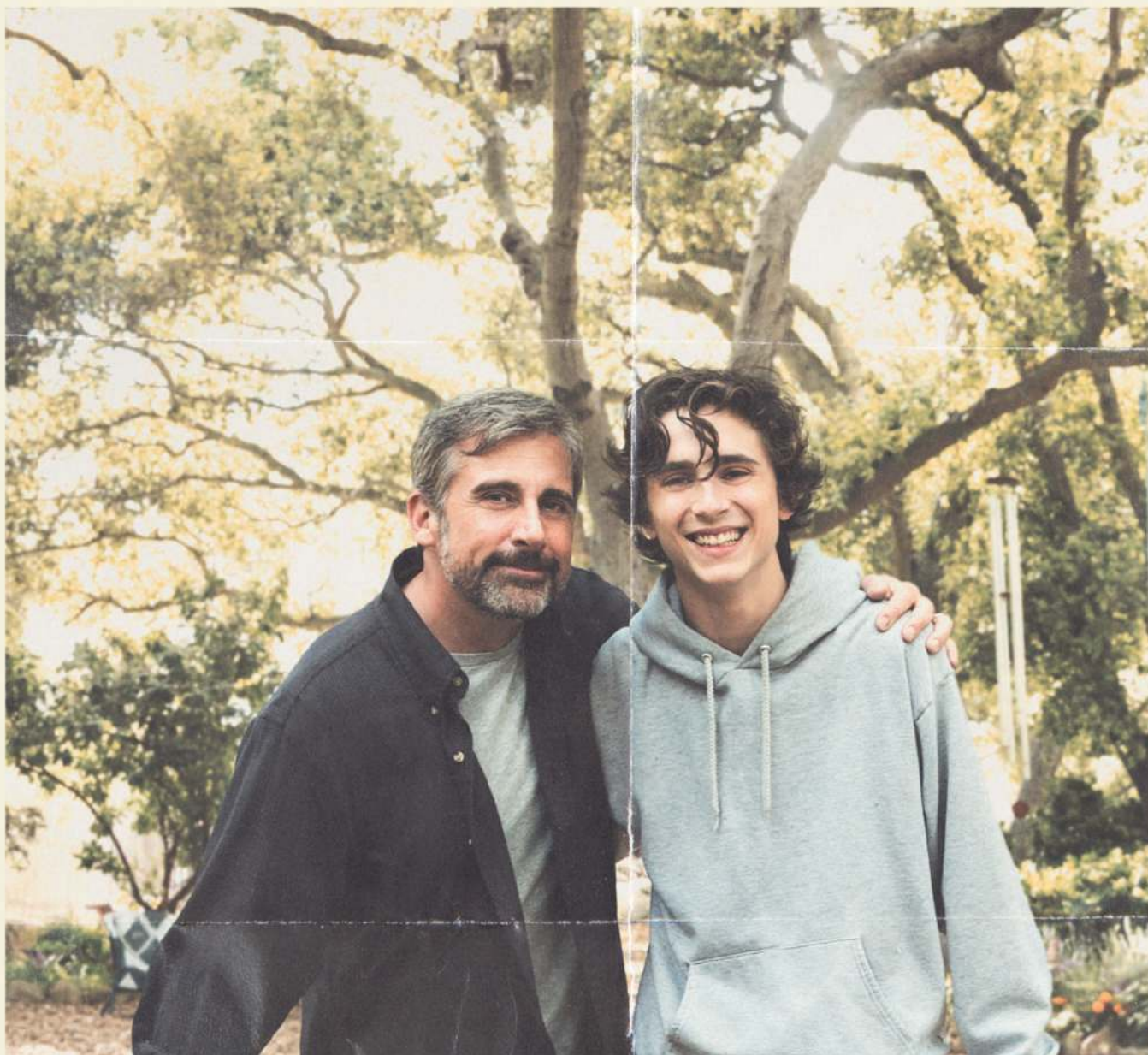
Każdy twórca pokazuje właściwy tylko jemu rodzaj obrazu, a z każdym stworzonym przez siebie obrazem – kawałek swojej intymności. Cykl prac malarskich Kamili Bednarskiej przedstawia przede wszystkim kobiety, w relacji z rozlanymi na płótnach barwnymi plamami. Artystka łączy różne techniki, a jej poszukiwania twórcze są ściśle związane z intencją, jaką jest opowieść o człowieku i jego odrębności, o zanurzaniu się w osamotnieniu z równoczesną potrzebą bliskości.



ZŁOTY GLOB

NOMINACJA

TIMOTHÉE CHALAMET



Steve Carell

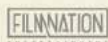
Timothée Chalamet

Maura Tierney

Amy Ryan

Mój piękny syn

AMAZON STUDIOS PRESENTS A PLAN B ENTERTAINMENT PRODUCTION STEVE CARELL TIMOTHÉE CHALAMET "BEAUTIFUL BOY" MAURA TIERNEY AND AMY RYAN CASTING BY FRÉDÉRIC MASSELER CSA MUSIC SUPERVISOR GARE HILFER COSTUME DESIGNER EMMA POTTER EDITOR NICO LEONEN PRODUCTION DESIGNER ETHAN TOOMAN DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY RUIJEN INFENS EXECUTIVE PRODUCERS NAW MOHALES AND SARAH ESBERG PRODUCED BY BOAD PITT P.I.A. DEDIE GARDNER P.I.A. JEREMY KLEINER P.I.A. BASED ON THE BOOKS "BEAUTIFUL BOY" BY DAVID SHEFF AND "TOMMY" BY RUC SHEFF SCREENPLAY BY LUKE DAVIES AND FELIX VAN GRIENINGEN DIRECTED BY FELIX VAN GRIENINGEN © 2020 AMAZON STUDIOS. ALL RIGHTS RESERVED.



PLAN B

amazonstudios

112

w kinach



OFFICIAL SELECTION
OUT OF COMPETITION
FESTIVAL DE CANNES

HISTORIA AGENTA,
KTÓRY ZDOBYŁ ZAUFANIE
PRZYWÓDCY KOREI PÓŁNOCNEJ

SZPIEG

W KINACH OD 18 STYCZNIA

HWANG JUNG-MIN LEE SUNG-MIN CHO JIN-WOONG JU JI-HOON

CJ ENTERTAINMENT PRZEDSTAWIA PRODUKCJĘ MOONLIGHT FILM I SANAI PICTURES „SZPIEG”

PRODUKCJA WYKONAWCZA MIKY LEE, JEONG TAE-SUNG FINANSE MIKE IM, SIMON LEE, LEE JAE-PIL PRODUKCJA HAN JAE-DUK, SON SANG-BUM
PRODUCENT KUK SU-RAN SCENARIUSZ KWON SUNG-HUI, YOON JONG-BIN ZDJĘCIA CHOI CHAN MIN C.G.K. SCENOGRAFIA PARK ELHEN MONTAŻ
KIM SANG-BUM, KIM JAE-BUM MUZYKA CHO YOUNG-WUK GAFFER YOU SUCK-MOON KOSTYUMY CHAE KYUNG-HWA CHARAKTERYZACJA
KIM HYUN-JUNG DŹWIĘK KIM CHANG-SUB NAGRYWANIE DŹWIĘKU YOON SUNG-KI B.O.B VFX SUPERVISOR KIM DAE-JUN REŻYSERIA YOON JONG-BIN

© 2018 CJ ENM CORPORATION ALL RIGHTS RESERVED

